NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 7

LONDYN LIPIEC 1944

W ROK
PO KATASTROFIE GIBRALTARSKIEJ

Rok temu depesze podały wieść tragiczną, że w samolocie który rozbił się u stóp Gibraltarskiej skały zginął generał Władysław Sikorski.

Rok czasu który upłynął, nie zabliźnił w niczym zadanej nam przez los rany, nie umniejszył straty. Był bowiem Władysław Sikorski jedynym człowiekiem który myśl polską zagubioną na bezdrożach dyktatury, rozbitą przez klęskę wrześniową umiał na nowo podnieść i podtrzymać.

Z chwilą gdy przyszło Polsce w błyskawicznym skrócie przeżyć raz jeszcze katastrofę rozbiorów, Sikorski odnalazł w postawie Kraju ten realizm, który nakazywał nieustępliwą i konsekwentną walkę z Niemcami. Skupił w swym ręku całą władzę, resztki środków które z rozbicia Rzeczypospolitej zostały. Wziął je nie jak tyran do czego skłonności nie miał, lecz jak przewódca powołany do ratunku w ostatniej chwili gdy beznadziejność sytuacji wymaga śmiałych decyzji. Zyskał oparcie w Sprzymierzeńcach, charakter rządu bez kraju utrzymując, czym dał wzór nowy w prawie międzynarodowym. Zyskał także wśród kierowników drugiej wojny światowej mię i szacunek bo propagował idee szerokie wewnętrznej sprawiedliwości społecznej i międzynarodowego porozumienia, a w postępowaniu swoim nie wahał się i wolę swą objawiał jasno. Jako prezes Rządu i wódz naczelny dowiódł że jest partnerem lojalnym, nawet w najciemniejszych chwilach wojny gdy klęska za klęską spadała na Sprzymierzonych. Pokazał wówczas, co ważniejsze, że jest politykiem bez kompleksów nieoglądającym się na przeszłość tam gdzie życie ludzi i jaśniejsza przyszłość narodu wchodzi w rachubę. Nie uznając

żadnych kompromisów z teutońską doktryną panowania, choćby czasowych tylko i na zyskanie sił obliczonych, objawił dość wcześnie że w imię walki z Niemcami gotów jest zapomnieć wszelkich sąsiedzkich krzywd, waśni i sporów.

W historii polskiej imię Władysława Sikorskiego złączone będzie z przebiegiem tej wojny a zasługi jego rosnąć będą w miarę gdy czas odsunie od nas namiętności chwili. Wówczas pokaże się że zespolił on w swym postępowaniu politycznym oba polskie programy wyzwolenia narodu, które w dziewiętnastym stuleciu kierowały na przemian społeczeństwem. Podtrzymując walkę z Niemcami nieprzerwaną, nieustępliwą, bohaterską, kierując z zagranicy ruchem podziemnym Polaków, szedł po drodze powstań i wolnościowych rewolucji polskich, a wysuwając program federacyjny z Czechosłowacją czy zawierając pakt pokoju z Rosją, szedł po drodze porozumienia i współpracy organicznej. Wziął w ten sposób w dziedzictwo zarówno myśl Kościuszki, Dąbrowskiego, Traugutta jak Czartoryskiego, Wielopolskiego, Bobrzyńskiego i urzeczywistniał ją w pośpiechu wojny ręką pewną.

Wypadki pokazały że się nie mylił i że wybrał właściwą drogę polityczną. Przewidział atak Niemiec na Związak Radziecki i co ważniejsze przewidział bohaterską obronę Rosji i jej zwycięstwa. Wyciągnął wcześnie rękę do zgody, w zgodzie tej widząc przede wszystkim budowę przyszłości, zakończenie odwiecznej waśni. Zawierając owe porozumienie z Rosją, niepełne i niedomówione jak wypadki pokazały, bo różnie rozumiane i tłumaczone w dyplomatycznym postępowaniu obu stron, czynił to w tym trafnym przekonaniu, że ponad ambicjami obu państw, ponad zadawnionymi sporami, krzywdami, błędami górować musi podstawowa chęć porozumienia się i zaufania.

Nie znalazł zrozumienia, nie znalazł dostatecznego poparcia. Emigracyjne społeczeństwo polskie poszło w dużej mierze za podszeptem reakcyjnej opozycji polskiej, żądając od niego by wtedy, gdy Rosja podejmowała trud walki z Niemcami, Polska po przegraniu swoistej wojny z Rosją zyskała najpełniejsze zadosyćuczynienie swych żądań. Ten program maksymalistyczny był Sikorskiemu obcy, bo obcy był wypadkom które przewidywał a które szły, bo w jego rozumieniu program walki z faszyzmem był jedynym zadaniem wielkiej wojny ludów.

Nie znalazł zrozumienia wśród Polaków, nie znalazł dostatecznego zaufania w Związku Radzieckim. Jak wśród emigracji polskiej zadawnione rany jątrzyły nasze stosunki z Rosją, tak w Rosji nieufność kół biurokratyczno-dyplomatycznych w stosunku do Polaków odżyła po krótkim czasie. Rzucono łatwe oskarżenia wietrząc u Polaków nieprzyjaźń wszędzie tam, gdzie różnice poglądów dostrzeżono. Namiętna i nerwowa

reakcja opinii sowieckiej na każdy postulat polski, brutalny niejednokrotnie ton prasy rosyjskiej pruły pakt, który zawarli dwaj przewódcy walczących z Niemcami narodów.

Zerwanie paktu polsko-rosyjskiego z 31 lipca 1941 roku było następstwem tych nierozumnych posunięć.

W tym momencie zginął Władysław Sikorski lecz nie zginęła jego myśl. Mimo wszystko żywimy nadzieję że Rosja komunistyczna nauczona doświadczeniem Rosji carskiej nie będzie dążyć do pozbawienia Polski wolności, lub do takiego rozwiązania sprawy polskiej które będzie nową raną Europy. Tylko na porozumieniu sąsiedzka przyszłość ludowej Rosji i nowej Polski może być oparta a nie na zwycięstwie którejkolwiek ze stron. Rok czasu który upłynął od nieszczęsnego zerwania paktu i od śmierci Władysława Sikorskiego nie pozbawił aktualności dzieła jakie stworzył on wraz ze Stalinem.

W stosunkach polsko-rosyjskich odrzucić trzeba pogląd militarny wyznający dyktat siły, a przyjąć trzeba zasadniczy pogląd że najbardziej nierozwiązalne spory są do rozwiązania, jeśli obie strony tego szczerze pragną. Nie na koniunkturze wojny opierać trzeba myśl polityczną lecz na trwałości pokoju.

Wołają o to nie doktryny ale ludy.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ZAGUBIONA ZWROTKA

AGONIA RADOSZYCKA I NARODZINY MEDIOLANSKIE

W listopadzie tego roku upłynie nie tylko stopięćdziesięcioletnia rocznica upadku insurekcji kościuszkowskiej, upłynie jeszcze — dokładnie, dnia 19 listopada — stopięćdziesięcioletnia rocznica zagłady dawnej polskiej armii. Wtedy skończyła swe istnienie jedna z najstarszych europejskich armii, wywodząca się gdzieś ze słowiańskich drużyn Mieszka i Chrobrego, odznaczona Psiem Polem, Głogowem, Nakłem, Grunwaldem, Kłuszynem, Chocimem, Beresteczkiem, Wiedniem, a ostatnio Zieleńcami, Dubienką, Racławicami, porażona wreszcie gromem maciejowickim. W dniu tym w Radoszycach kapitulował następca wziętego do niewoli Kościuszki, naczelnik Tomasz Wawrzecki, i w dniu tym resztki armii polskiej dostały się do niewoli rosyjskiej lub pruskiej. — Po Maciejowicach likwidowały się zresztą same. — Z jednej strony szlachecko-ziemiańskie oddziały tak zwanej „kawalerii narodowej" rozłaziły się powoli do domu, samowolnie i samopas, tak jak przedtem niejedna konfederacja i niejedno pospolite ruszenie. Z drugiej formacje ludowej milicji, kosynierów, masy chłopstwa pociągnięte przez Kościuszkę, rozbiegały się także. Z olbrzymiej stosunkowo armii jaką wybuch zdołał stworzyć, choć nie zdążył zorganizować i nie potrafił użyć, pozostały tylko kadry regularnej, zawodowej, armii. One to wywołały powstanie na wiosnę 1794 roku, kiedy rządy targowickie zagrażały istnieniu armii; one teraz wytrwały najdłużej. Skapitulowały dopiero w listopadzie. W styczniu następnego, 1795 roku, trzy państwa rozbiorcze podpisywały pierwsze układy trzeciego rozbioru Rzeczypospolitej. Jej ostateczna likwidacja — zupełnie usunięcie Stanisława Augusta,

dokładne wytyczenie granic zaborów, i tak dalej — miały zabrać trzem dworom zaborczym jeszcze prawie dwa lata czasu. Dyplomaci rosyjscy, pruscy i austriaccy targowali się więc dosyć długo. Akurat wtedy kiedy wreszcie konczyli swe dwuletnie targi, na ziemi włoskiej, nad Padem, w Lombardii, w Mediolanie, obsychał właśnie atrament i farba drukarska na dwóch aktach. Jednym była umowa zawarta pomiędzy Zarządem Generalnym Lombardii, a generałem lejtnantem Janem Henrykiem Dąbrowskim; drugą była odezwa tegoż generała do jego rodaków. Oba akty mówiły o powstaniu polskich jednostek posiłkowych przy oddziałach nowotworzonej armii lombardzkiej, niebawem zwanej cyzalpińską, a właściwie francuskiej. Modą rzymską—lubowała się w niej epoka, nazwano te oddziały legiami czy legionami. „Polacy, mówił odezwa, garnijcie się pod sztandary Francji. Ona się bije o sprawę narodów”. Tak to się zaczynało wtedy.

Dwa lata jakie minęły od upadku powstania kościuszkowskiego upłynęły po stronie polskiej jałowo, ale nie bezczynnie. Od owej jesieni, kiedy razem z Rzeczpospolitą upadła i polska armia, patrioci —ów wyraz właśnie wtedy wszedł w modę — chronili się na emigracji. Skupiła się ona w trzech różnych ośrodkach. Jednym z nich był Paryż, gdzie powstanie kościuszkowskie miało swoje przedstawicielstwo, innym Stambuł, gdzie funkcjonowało jeszcze normalne, ustanowione przez Stanisława Augusta, poselstwo Rzeczypospolitej, trzecim wreszcie była Wenecja, naówczas neutralna republika, która przez wiek XVI, XVII i XVIII była w bliskich stosunkach z Polską, jako aliant antyturecki. Wyłaniały się próby utworzenia polskiego rządu. Bardziej skrajni pragnęli czegoś na wzór francuskiego Komitetu Ocalenia Publicznego, który właśnie prowadził w Paryżu dzieło wojny i rewolucji, inni byli zwolennikami zwołania na obczyźnie Sejmu Czteroletniego, który przecież nigdy formalnie rozwiązanym nie został, a tylko w przededniu kampanii polsko-rosyjskiej 1792 roku był przez króla „limitowany”, to jest odroczony. Z Galicji, gdzie konspiracja polska była zorganizowana mocno i nieprzetrzebiona jeszcze aresztowaniami, szły pomysły stworzenia nowej narodowej reprezentacji. Ale w tych wszystkich planach brakło zgody. Brakło też i poparcia. Rząd francuski nie bardzo sprzyjał tej myśli. Zapewne nie chciał, aby powstała taka władza polska z którą trzeba by się było liczyć. Natomiast myśl o tworzeniu polskich sił zbrojnych trafiła na podatny grunt. Młoda rewolucja francuska znajdywała się właśnie w wojnie z całym szeregiem potęg, od Anglii zaczynając na Austrii kończąc, była zagrożona zewsząd i sama niosła wszędzie wojnę innym. Przede wszystkim ostoi europejskiej reakcji — Habsburgom. Było to tym łatwiej, że „Dom Austriacki” panował jeszcze nie tylko nad modrym Dunajem, ale nad włoskim Padem i za niemieckim Renem, w Mediolanie jak i Brukseli. Rewolucyjna Francja powołała pod broń masy chłopstwa, jej przemysł wyposażył je nie w kosy, a karabiny, jej poeci uzbroili ją w Marsyliankę, jej publicyści w zapalne hasła. Mieszczaństwo zaś europejskie sprzyjało tej Francji tak samo jak w innych czasach robotnicy portowi, tkacze, metalowcy, górnicy, transportowcy, sprzyjać mieli innej, nie mieszczańskiej już, a proletariackiej rewolucji.

Ale nawet znajdując się zwycięsko nad Renem generałowie rewolucyjni doceniali potęgę zjednoczonej przeciw nim Europy i szukali aliantów. Podsycając ruchy mieszczańskie wokół Francji szukali tą drogą pomocy. Polska nadawała się ku temu może lepiej. Już powstaniem kościuszkowskim spowodowała na tyłach Prus i Austrii pożyteczną (— dla Francji) dywersję. Jej armia w ostatnich latach biła się dwukrotnie. Była — po francuskiej —*największa z sił zbrojnych jakimi w ówczesnej Europie dysponował postęp*. Teraz jej oficerowie napływali powoli do Francji. Niektórzy z nich, jak Jabłonowski, późniejszy wódz z San Domingo, byli kolegami Bonapartego ze szkoły wojskowej: inni, jak Sułkowski, bohater

Żeromskiego i ofiara Kairu, byli radykałami jak najczerwieńsi z jakobinów. Inni, jak Amilkar Kosiński, umieli sobie jednać wielu. Za nimi szli mniejsi. Jednocześnie politycy polscy w Paryżu, Wenecji i Stambule, zawsze w kontakcie z Francuzami, podnosili projekty tworzenia wojska. Może najbardziej dreptał za tym w Paryżu samym Józef Wybicki. Nim przejdziemy do jego dzieła, zajmijmy się tym nader ciekawym człowiekiem.

Był to już prawie weteran walki o wolność, a bardzo dziwny w owej Polsce człowiek. Pochodził przedewszystkim z Pomorza, odłogiem leżącej dzielnicy, która w ostatnich stuleciach Rzeczypospolitej wydawała jeszcze nieco senatorów, ale bardzo mało działaczy. Wybicki był młodym posłem na sejm gdy przyszedł pierwszy gwałt Rosji, porwanie i uwięzienie senatorów Sołtyka, Rzewuskich i innych. Przeciw gwałtowi obcemu zaprotestował mniej jaskrawie, ale bardziej prawnie i formalnie niż potem Reytan: później bił się w szeregach Konfederacji barskiej: wreszcie był na obczyźnie. Z kolei powrócił do kraju i popierał dzieło odrodzenia i podniesienia przeprowadzane przez Stanisława Augusta. Do owej Rzeczypospolitej w której wodzili rej zaciekli, zaściankowi Litwini, krewcy, niespokojni ludzie z Rusi, mazowieckie pospólstwo i sejmikowa ciemnota, wszedł z nim człowiek o wykształceniu już zachodnim, o pomorskim spokoju i nieustępliwości. Kiedyś w Barze wśród kresowych szlagonów, bardziej wierzących w skuteczność różańca niż fuzji, czuł się obcy. Potem czuł się obcy wśród potoków patriotycznego gadulstwa Sejmu Czteroletniego. Tak samo jak kiedyś szedł z Barszczanami orężnie, ale nie szedł psychicznie, tak samo teraz, na uchodźtwie w Paryżu, czuł raczej odrazę do co skrajniejszych, a wpływowych żywiołów rewolucji. I tak jak za sejmów polskich myślał o armii. Kto ją będzie robił? Praktyczny Pomorzanin szukał człowieka i wynalazł krajana. Krajan ten był jeszcze w Berlinie, a może już w Dreźnie i wałęsał się wokoło dworu pruskiego tam szukając pomocy dla odbudowy Polski. Nie raziło to zbytnio wielu, zwłaszcza w Paryżu, gdzie reakcyjny Wiedeń czy Petersburg był znacznie bardziej na indeksie rewolucji niż Prusy, wróg Habsburgów, z którymi rewolucja paktowała w tym okresie nieraz. Największy popłoch rzuciło za to to nazwisko wśród rodzimych jakobinów. Albowiem nie był to najpopularniejszy człowiek, ów wzywany do Paryża listami Wybickiego Jan Henryk Dąbrowski.

Widocznie było już losem Legionów aby nawet przez swych założycieli, Legiony odeszły jak najdalej od tego czym do bardzo niedawna była ówczesna Polska. Albowiem Jan Henryk Dąbrowski był prawie że Niemcem. Pochodził z owych drobnoziemiańskich zapewne rodzin polskich ,które wcześnie bardzo przywarły do kariery wojskowej. Jeszcze jego dziad służył pod królem Janem Sobieskim. Ale niebawem armia Rzeczypospolitej miała zdrzemmąć się na całe stulecie, i ojciec Jana Henryka już był w służbie saskiej. Brał udział w wojnie siedmioletniej, ożenił się z Niemką, też z oficersko-wojskowej rodziny, i mały Jan Henryk wychował się w Niemczech i poszedł do służby saskiej, jak Kościuszko do amerykańskiej, Suffczynski do bawarskiej, Jabłonowski do francuskiej niejeden inny do piemonckiej, pruskiej, rosyjskiej. Wrócił z niej dopiero po konstytucji trzeciego maja, w pełni zatargu z Rosją, kiedy dojrzewało już nawet przejście króla do Targowicy. Wtedy Jan Henryk Dąbrowski należał do tych, dość zresztą licznych, oficerów polskich którzy nie porzucili demonstracyjnie służby jak Józef Poniatowski, Kościuszko, Niemcewicz, ale pozostali. Złożył przysięgę Targowicy.

Historycy polscy nie lubią mówić wiele o tym, albowiem historia w ich pojmowaniu składa się z pastelowych obrazków kościelnych, na których rozpoznać można od pierwszego wejrzenia co jest dobre, a co jest złe, gdzie każdy dobry jest malowany ze złocistą obręczą aureoli nad główką, a każdy zły jest czarny, ma rogi, brzydki grymas, długi ogon i koźle kopytko. Ale wbrew historykom historia jest życiem, więc nie przedstawia się wcale

tak prosto. Dlaczego Dąbrowski pozostał przy Targowicy? Mój Boże, a kto nie pozostał? Czy też — kto nie próbował pozostać? Wszak chciał pozostać nawet Hugo Kołłątaj, późniejszy spiritus movens powstania kościuszkowskiego, już wtedy jeden z współtwórców Konstytucji Trzeciego Maja; wszak pozostał Michał Kleofas Ogiński który niebawem napisze melodię polskiego hymnu narodowego jaki za lat parę powstanie w chłodnych, marmurowych, salach jakiegoś włoskiego pałacu. Próbowali ratować Państwo: myśleli, że ratować się ono uda.— Dąbrowski myślał o ratowaniu Armii.— Kiedy kończyła się polsko-rosyjska kampania miał zrestą na to inny, nie targowicki, projekt. Oto armia polska nie uzna akcesu króla do Targowicy, ale cofać się będzie na Zachód, ku Śląskowi, przekroczy granice i pójdzie precz przez Niemcy, ku błękitnemu Renowi gdzie walczą armie rewolucyjnej Francji. Projektu nie przyjęto; Dąbrowski z armii nie wystąpił. Służył z kolei, jako fachowiec, Targowicy. Polscy emigranci działający z Drezna nie dopuszczali go do swych planów, nie wciągnęli go do konspiracji, uważali za wroga. Jan Henryk miał wyjątkowo trudną sytuację. Przypominała ona może w niejednym sytuacje tych wyższych oficerów francuskich którzy po armistice 1940 roku pozostali pod rozkazami Pétaina, ale dokładali starań aby ratować w Vichy to co było jeszcze do uratowania z istotnej Francji. Były to syzyfowe prace. Państwa zaborcze, przede wszystkim Rosja, parły do likwidacji resztek armii polskiej jaką stworzył Sejm Czteroletni: Dąbrowski, wojskowy fachowiec, podwładny targowickich hetmanów, robił co mógł by do tego nie dopuścić. Był politycznie żołniersko lojalny. Kiedy wiosną 1794 roku brygada Madalińskiego wypowiedziała posłuszeństwo, a w Krakowie zjawił się Kościuszko i podniósł insurekcję, Dąbrowski należał do składu zaocznego generalskiego sądu nad Kościuszką. (O tem także nie lubią wspominać nasi historycy, tak jak nie lubią opisywać dziejów kariery wojskowej Kościuszki. Jakże to bowiem pisać że głównego bohatera narodowego dwukrotnie wylewano sromotnie z armii, ogłaszano dezerterem i czym tam jeszcze? Polskie władze wojskowe owego okresu wydawały, jak widzimy, wyroki które im zaszczytu nie przyniosły, i o które potem musieli prosić polskich historyków by raczyli je nie spamiętać.)

Kiedy w Warszawie powstanie pospólstwa pod wodzą szewca Kilińskiego zmiotło garnizon rosyjski, Dąbrowski omal nie podzielił losu tych Targowiczan których wieszano czy mordowano. Należał niewątpliwie do ludzi których ocaliła łagodność — czy też przewidliwość — Kościuszki. Być może, że Kościuszko cenił w nim autentyczny talent wojskowy: być może, że przemówiła w nim zwykła miękkość. Dąbrowski wszedł w służbę insurekcji. Podczas oblężenia Warszawy przez wojska pruskie i rosyjskie — właśnie stopięćdziesiąt lat temu, latem 1794 — dowodził odcinkiem Powązek. Powązki, dla nas nazwa brzmiąca dziś cmentarnie, brzmiała dla współczesnych zgoła inaczej. Był tam pałac i rozległe ogrody Czartoryskich, urządzone w stylu Rousseau, pełne sentymentalizmu, pasterek z kozami, chatek z porcelany holenderskiej, strumyczków i gaiczków. Był to jakby symbol rokokowej, beztroskiej Polski. Teraz w to wszystko wgniotły się koła dział, buciory żołnierskie rozdeptały klomby, nad strumykami rzęzili konający, a tam gdzie brzmiały czułe francuskie słówka huczało teraz od przekleństw w gwarze z hal mirowskich, Starego Miasta i Powiśla. Jan Henryk sprawił się tu dzielnie i kiedy oblężenie zdjęto dokonał śmiałego pochodu na Bydgoszcz, ku Pomorzu i Wielkopolsce. Towarzyszył mu w tym właśnie Pomorzanin Wybicki. Historycy polscy zbywają na ogół paroma słowami owo mieszczańskie powstanie jakie latem 1794 roku wybuchło w miastach zachodniej Polski przepędzając załogi pruskie. Poświęcają parę ukłonów w kierunku zwycięstw jakie odnosił tam potem Dąbrowski. Ich uwagę pochłonęły w tym okresie tragiczne szamotania się Kościuszki. A szkoda! Owo

powstanie wielkopolskie zawiera sporo ciekawych kart, choćby i w tym jeszcze, że niemiecka część mieszczaństwa, nieraz swieżo osadzonego w różnych Środach, Bydgoszczach i Gnieznach, poszła wtedy z masą polską, przeciw pludrom berlińskim, tak samo jak niejeden arystokratyczny ród wielopolski — zaczynając od Skórzewskich — szedł z tymże Berlinem. W owej wojnie front przebiegał nie tyle poprzez granice mowy, ile poprzez granice społecznych warstw. Bo była to naprawdę *rewolucja*.

Po Maciejowicach Dąbrowski raz jeszcze powraca do tragicznego projektu sprzed dokładnie dwóch lat. Zebrać co można wojska i przedrzeć się z nim poprzez całe Niemcy do Francji. Czy plan był do wykonania? Przeszkadzała mu przestrzeń, to pewna: ale Niemcy były tylko zlepkiem różnych księstw badeńskich, elektoratów saskich, margrabstw bayreuckich: armia biskupa Trewiru, czy arcybiskupa Kolonii nie przedstawiała także szczególnie groźnej przeszkody. Być może pochód by się udał. Ale i teraz zabrakło ku temu energii i chęci. Przyszła listopadowa kapitulacja. Dąbrowski dostał się do honorowej niewoli rosyjskiej. Suworow traktował go z atencją, może aby dokuczyć Prusakom którzy niecierpieli Dąbrowskiego za jego wyczyny wielkopolskie. I Rosja, i Prusy i Austria, każde po swojemu, starało się zresztą wciągnąć ile można polskiego wojactwa pod swoje własne sztandary. Albowiem czasy były wojenne, niespokojne, zanosiło się na nowe kampanie i burze i dwory cesarskie potrzebowały armatniego mięsa nie mniej niż czerwoni trybuni Francji. Można było i tę korzyść wyciągnąć z rozgrabu Polski. Ale Dąbrowski uniknął sideł suworowowskich, a kiedy z układów dyplomatycznych Warszawa przypadła Prusom, pozostał po pruskiej stronie zaboru. Był potem w Berlinie. Jak niejeden czepiał się myśli oparcia o Prusy przeciw Austrii i Rosji. Szybciej niż niejeden przejrzał, że nie ma takiej, polskiej drogi która by mogła prowadzić przez Berlin. Wówczas właśnie dotarły do niego listy i posły rodaka, komana z 1794 roku, z wielkopolskiego pochodu, Wybickiego. Podążył do Paryża.

Na Renie, „naturalnej granicy Francji", stały wojska rewolucyjne. Ich wodzami byli Kleber, który potem, pozostawiony przez Bonapartego w Egipcie, padł od szabli arabskiej, i Bernadotte, który miał przeżyć ich wszystkich i umrzeć w Sztokholmie jako prawowity król szwedzki. Tym dwum generałom szybko przypadł do przekonania Dąbrowski. Uznali w nim dobrego organizatora i polecili go Paryżowi. W Paryżu szło ciężej. Niedawna targowicka przeszłość Jana Henryka nie mogła — czy mamy się temu dziwić? — budzić wiele zaufania u polskich emigrantów, tym mniej u francuskich gospodarzy. Ale powoli pokonywały się opory. Plan tworzenia polskich sił zbrojnych odpowiadał potrzebie wojennej. Tylko jak to pogodzić...z konstytucją? A właśnie niedawna konstytucja republikańska (którą za lat parę miano znieść, ale jeszcze narazie sławiono), zakazywała uroczyście przyjmowania do armii obcokrajowców. Pokutowały w tym echa nienawiści do niemieckich Szwajcarów, z których składały się gwardie ochrony Ludwika XVI. Jak z tego wybrnąć ? Nie ma takiej konstytucji której by nie można obejść, i nie ma takiej rewolucji która by nie posiadała na swych usługach wytrawnych dialektyków. Tak, istotnie, nie sposób tworzyć polskich oddziałów w ramach armii francuskiej. Ale przecież, w miarę jak armie francuskie idą za Alpy i Ren, tworzą się tam lokalne armie „wyzwalanych" terytoriów. Od prawie roku wyzwolił już Włochy północne spod austriackiego jarzma generał Bonaparte. Ma tam jeszcze ciężkie walki z Austriakami zamkniętymi w Mantui. Jest, utworzony w Medjolanie Zarząd generalny Lombardii, republikanski i aliancki. Oto gdzie należy skierować Polaków. W grudniu, z listami polecającymi Paryża, stanął Dąbrowski w Mediolanie. Tu po raz pierwszy zetknął się z wschodzącą gwiazdą rewolucji i przyszłym jej likwidatorem, młodym generałem o oliwkowej cerze, włoskim nazwisku i skupionej, jeszcze

młodzieńczo pociągłej twarzy. Pochodził z Korsyki, właśnie się był ożenił i dopiero od niedawna zaczął się podpisywać Bonaparte.

Przyjęcie nie było najlepsze i Dąbrowski podobno chciał nawet zawracać. Zaszkodził naszemu generałowi przyjaciel Bonapartego radykalny Sułkowski. Ale znalazł się i poplecznik, także już w służbie francuskiej Antoni, Amilkarem przezwany, Kosiński. Zresztą Bonaparte potrzebował wojska. Nie czuł się zbyt pewnie na tej równinie lombardzkiej. To prawda, że w ubiegłym roku jego armia, zlatując z Alp, odniosła wspaniałe zwycięstwa. Ale w rozbitych na kilkadziesiąt państewek Włoszech, Kościół po dawnemu trzymał w swych ryzach masy ciemego, ubogiego, religijnego chłopstwa, Habsburgowie po dawnemu pociągali liczną i wpływową arystokrację lokalną, i warstwa mieszczańska, sympatyzująca z rewolucją francuską, była zbyt słaba wobec tamtych mocy, tym bardziej że „wyzwoleńcze" wojska francuskie wyzwalały Włochów nie tylko od Habsburgów, Świętej Inkwizycji, policji i feudalizmu, ale wyzwalały ich także z dzieł sztuki, z pieniędzy, z żywności i z wielu innych rzeczy od których nieraz w historii wyzwalający wyzwalali wyzwalanych. Rozjątrzenie wzbierało z każdym miesiącem francuskiego wyzwolenia, i nawet symboliczne zasadzanie w każdej dziurze lombardzkiej „drzew wolności" nie wiele już pomagało. W każdym zaś razie amatorów do bicia się u francuskiego boku było raczej niewielu. A tu na wiosnę zanosiło się przecież na wzmożenie działań. Co robić? Republika która potrafiła zapędzić do szeregów nieznane dotąd masy ludzi spróbowała z wrogów tworzyć żołnierzy. Wśród jeńców austriackich pędzonych na roboty do Francji były tysiące jeńców nie niemieckich, słowiańskich; polskich, chorwackich, słoweńskich. Dąbrowski wskazywał na nich. Była to prawda. Bonaparte uległ, a z chwilą gdy francuski głównodowodzący się zgodził, władze narodowe wolnej Lombardii miały już tylko formalności do załatwienia. 9 stycznia 1797 roku stanęła umowa między „Zarządem Generalnym Lombardii" a „polskim generałem lejtnantem", Janem Henrykiem Dąbrowskim w sprawie tworzenia polskich oddziałów posiłkowych przy wojsku lombardzkim. Resztki kościuszkowskiej konspiracji działały w Polsce sprawnie. One to rozprzesztrzeniły po kraju odezwę Dąbrowskiego, propagowały wieści o dalszych losach Legionów, dostarczały wreszcie papierów, pieniędzy i pomocy wielu ochotnikom śpieszącym na „ziemię włoską". Może nieraz uderzała ich obcością polszczyzna odezwy generalskiej, co było o tyle zrozumiałe że Jan Henryk napisał pierwotny tekst, jak prawie wszystko co pisał, po...niemiecku. Trudno proszę państwa, ale tak właśnie było z tym dziwnym człowiekiem którego nazwisko powtarza refren hymnu narodowego. I niech się na to przypomnienie nie irytują nacjonalistyczni gorliwcy, albowiem tym właśnie był Jan Henryk bardzo polskim. Polskość albowiem prawdziwa nie polega na mowie, nie polega na krwi, pochodzeniu czy nazwisku. Polega na polskim poczuciu.

Ochotników tych nie brakło. Już dnia 1-ego Pluviose — (świat musiał uczyć się właśnie nowego, republikańskiego, kalendarza), w „roku V-tym Republiki", to jest 20 stycznia 1797, Dąbrowski skupił koło Mediolanu „przeszło tysiąc ludzi zdrowych". Ściągali przede wszystkim polityczni emigranci polscy, znużeni dwuletnim zbijaniem obcych bruków w Paryżu czy Wenecji. Byli wśród nich młodzi uczniowie Kołłątaja, zagorzali rewolucjoniści, jak ów Konopka, usunięty przez Kościuszkę z armii za zbyt energiczne wieszanie hetmanów targowickich. Wielu dawnych podkomendnych Dąbrowskiego ściągało już przedłem na samą wieść, że ich szef z obrony Powązek i wyprawy wielkopolskiej pokumał się z Francuzami nad Renem: przypominano sobie zapewne jego poprzednie reńskie projekty. Był to szczególny element, ci byli oficerowie byłej armii Rzeczypospolitej: warto im się przyjrzeć: warto nad nimi medytować. Uchwała

ejmowa z 1790 roku o stutysięcznej armii, potem konstytucja trzeciego maja dająca synom mieszczańskim szeroki dostęp do stopni oficerskich, wreszcie powstanie kościuszkowskie, nafabrykowały całą klasę młodego oficerskiego narybku. Prawie wszystko synowie mieszczańscy; prawie wszystko nazwiska obce; Tremo, Chamand, Schulze, Pflugbeil, Filippi. Domowe związki ułatwiły im psychiczny kontakt z tym mieszczaństwem zachodnim które we Francji dokonało rewolucji antyszlacheckiej, a wszędzie do niej wzdychało. Byli oni radykalni, antyszlacheccy, rewolucyjni, zaciekli w nienawiści do Branickich, Potockich, Poniatowskich nie tylko jako wodzów politycznych, ale jako do przedstawicieli „ginącego świata". Zniesienie armii polskiej podcięło ich kariery życiowe wraz z nadziejami politycznymi. Nie mieli, jak niejeden syn ziemiański, żadnej Wólki, Sieciechowic czy Osmolic, żadnych Semerynek czy Grodowic aby na nich osiąść i orać. Nie chcieli iść do armii rozbiorczych i reakcyjnych: musieli więc pójść w świat. Dokądże mieli iść jak nie do ówczesnego ogniska rewolucji? Szli do niego, jak za bliższych nam czasów niejeden międzynarodowy ochotnik biegł pod Guadarramę, Guadalajarę czy Teruel do czerwonej Hiszpani pod rozkazy gen. Miaji, Listera czy Matuszczaka. Na francuskim sztandarze czerwień gorzała jeszcze naprawdę rewolucyjnie, a ów młody narybek oficerski polski był tak radykalny społecznie jak nigdy już potem, nawet w pierwszych latach innych legionów (z. 1914 r.) czerwonym już być nie miał.

Jeśli wodzowie i twórcy Legionów odbijali psychicznie od ówczesnej, upadającej Polski, to ów oficerski zestaw odbijał od niej tak samo silnie jak te nazwiska mieszczańskie i obce odbijały od różnych Sancygniowskich, Niedobitowskich i Sobieszczeńskich. Ale jeszcze dziwniejszy był zestaw żołnierski. Masa jeniecka pobrana przez Francuzów po rozbiciu austriackich armii była innym wykrawkiem polskiej rzeczywistości. Był to chłop polski. Chłop z osiemnastego wieku. Ciemny, biedny, zastrachany, bierny, gnany jak bydło do pułków cesarskich, z nimi za Alpy, potem brany tak samo biernie do niewoli, wreszcie przydzielany niemniej biernie do oddziałów polskich. W porównaniu z ochotniczym wysiłkiem Legionów ów haracz spłacany przez organizm narodowy polski naszym rozbiorcom miał się tak jak 1 do 10. Byli to ówcześni „rumlowcy", może tylko nie tyle struwani propagandą, co otępiali bezdusznością. Trzeba ich było dopiero wychowywać.

Gdyby ów element oficerski jaki ściągnął do legionów patrzył na tych ludzi tylko jako na mięso armatnie, widział w nich tylko materiał na tworzenie plutonów kompanii itd. na zapełnianie luk, na podmurówkę pod własne etaty, pewnoby owo „wychowanie żołnierza" pozostało, jak w niejednych innych czasach tylko czczym i pustym frazesem. No i może potem Legiony *nie wytrzymałyby nigdy tych ciężkich prób jakie na nich w następnych latach, a nawet miesiącach, nadeszły.* Ale element oficerski legionów Dąbrowskiego składał się nie ze zjadaczy kasynowego chleba, ale z ideowców i zapaleńców. Był to element nasiąkły ideami jakie wtedy szły światem. Na Zachód patrzył nie z nieufnością, ale z podziwem, a klęska Polski nie stała się dla nich kurtyną starannie zapuszczoną na głębokie błędy i ciężkie krzywdy jakie spowodowały upadek. Przyczyny upadku Polski omawiali obszernie i swobodnie, i w takim omawianiu nie widzieli wcale dowodu braku patriotyzmu. *Przeciwnie* Uważali, że dobry Polak musi przede wszystkim odciąć się właśnie od tego co w Polsce było złe. Także i od złych ludzi. Toteż nie dziw, że w owej pierwszej polskiej armii emigracyjnej nie roiło się od Szczęsnych Potockich, choć była artyleria (w dawnej Rzeczypospolitej Szczęsny był właśnie „generałem artylerii", coś jakby inspektorem tej broni) że nikomu nie przyszło, na przykład, na myśl, sprowadzić do Francji hetmana Branickiego, choć był to niewątpliwie najstarszy rangą polski wojskowy.

Pewno, że nawet przy najlepszej dobrej woli nie mogli by byli sprowadzić sobie innych hetmanów, na przykład Ożarowskiego czy Kossakowskiego, bo już ich byli poprzednio, za Kościuszki, nie zważając na wiek i szarże, przykładnie...obwiesili. Ale innych mogli. Mogli i nie sprowadzili. Legiony zaczynając tworzenie armii *od nowa i inaczej* brały wprawdzie bojowych, insurekcyjnych generałów, ale opancerzyły się starannie od wszelkich poprzednich sztabowców warszawskich: ani w Mediolanie, ani w Mantui, Weronie czy Brescii nie roiło się również od mniej winnych, tamtoreżymnych, leśnych dziadków. Rien. Legiony wykazały w tym prawdziwie rewolucyjną, rzadką w Polsce, czujność, a niezwykle mało arcypolskiej skłonności do puszczania w niepamięć. Odciąwszy się od przeszłości, można było prowadzić dzieło odrodzenia. Można było także przerabiać ciemnego austriackiego jeńca znad Wisły czy Pilicy w świadomego Polaka. Pomocą w tym byli dosyć liczni wśród nich kościuszkowcy, chłopi, kosynierzy czy żołnierze, którzy parę lat temu dali się porwać przez Naczelnika w sukmanie. Niejeden z nich wtedy coś widział z Racławic czy Szczekocin, poszedł z kosą, nałykał się pierwszych rewolucyjnych haustów, a potem był oddany tym skwapliwiej przez zaborcze władze do koszar. Ci mieli stanowić spoiwo pomiędzy młodym, rewolucyjnym oficerem, a chłopskim żołnierzem. Mieli też ułatwić wielkie dzieło *przemiany* tego żołnierza. Na czym ona polegała? Na tym że nowa armia do której wchodzili nie używała kija, jak wszystkie inne, nie szafowała w wyzwiska, nie wywyższała majestat oficera nad niebiosa, nie czyniła z żołnierza bydlę, pionka, bezduszną śrubkę do defilad i parad. Rekrut z „królestwa Galicji i Lodomerii" stawał się naraz na ziemi włoskiej obywatelem republikańskim.Citoyenem. Mówił do swego dowódcy: obywatelu, co brzmiało wtedy (r. 1797) znacznie bardziej rewolucyjnie i ludzko niż dzisiaj (r. 1944) gdzie indziej: towarzyszu.

Ponieważ Francja wypompowywała się z ludzi młodych na swe nowe wojny, przeto tych jeńców austriackich, pruskich czy rosyjskich gnano w owych czasach w głąb Francji, aby pracowali w winnicach, przy kanałach, gdzie tylko można. Najpierw mieli bić się za Austrię: teraz robić dla Francji. Spore transporty odeszły już były z Włoch i za nimi pognał adiutant Dąbrowskiego. Tremo. W Dijon dogonił takie transporty, szybko przebrał materiał ludzki, oddzielając Węgrów i Chorwatów od Polaków, i podniecając zapał Galicjan, którzy od dwudziestu lat będąc poddanymi cesarskimi mniej się poczuwali do polskiej wspólnoty. (Nie stawiał za to większych narodowych przeszkód Słowakom i Słoweńcom zwłaszcza gdy byli młodzi, zdrowi i silni, albowiem oficerów było dużo żołnierzy zaś, jak zwykle w emigracyjnych armiach, znacznie już mniej.) W ciągu lutego i marca zapełniały się szeregi dwóch pierwszych batalionów. Jeden z nich był grenadierski: drugi fizylierski, to jest, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, strzelecki. Umundurowanie było zbliżone do polskiego, a zbliżało się do niego coraz bardziej. Było to o tyle łatwiejszym że Francuzi i Włosi używali przeważnie sukna granatowych odcieni dla mundurów, podobnie jak armia amerykańska, a w odróżnieniu od angielskiej, gdzie przeważał czerwony, lub austriackiej, charakterystycznie białej. Na piersiach wyłogi były znamiennie polskie: karmazynowe u grenadierów, zielone u strzelców. Z czasem, kiedy przybywały dalsze bataliony, dawano im wyłogi w barwach dawnych pułków polskich, i dzisiaj kiedy ten czy ów oddział w Szkocji obnosi barwy pułkowe ułanów jazłowieckich, Podhalan czy takiego lub innego Daku, jest to tylko jednym dowodem więcej że wszystko się powtarza, zwłaszcza w wojsku. Kapelusze, zrazu francuskie, zastępowano z czasem rogatymi czapkami polskimi, które wywoływały duże wrażenie u Włochów a sprawiały niemniej wiele kłopotu krawczykom. Wojsko tworzyło się przeważnie w dwóch bazach lokalnych: w smutnej Brescii i romantycznej, szekspirowskiej Weronie. Naczalstwo

rezydowało najchętniej w Mediolanie, dokąd (znacznie mniej chętnie) dawało skąpe przepustki. Tym więcej, że rozbudowa legionów szła znacznie sporzej niż przedtem odbudowa polskiego rządu: już w marcu, kiedy Bonaparte poderwał swoje armie znowu na Austriaków, zapędzając ich na północ, w Alpy, hen ku Austrii, na Friul, legiony na jego tyłach miały już 3.600 ludzi i rozbudowywały się szybko. Kiedy w tym mniej więcej czasie padła bagienna twierdza Mantui, Francuzi zdobyli w niej nie tylko sporę ilość polskich jeńców w austriackich kamaszach, ale i broni oraz amunicji do niej. Legiony brały odtąd nie tylko austriackiego rekruta, ale i austriacką broń. Często nawet i austriackie umundurowanie, przerabiane, głównie farbowaniem, na polski fason. W listach narzekano na nieregularny żołd, na pogarszający się wikt, na brak dostaw sukiennych z Lyonu. Chwała Bogu, że Austriacy mieli mundury o tak łatwej do przebarwienia barwie jak biała. (Z ówczesnymi angielskimi byłoby trudniej.)

Tymczasem ze Wschodu przychodziła nowa pomoc. Likwidował się właśnie jeden jeszcze ośrodek emigracyjny — stambulski. Po upadku kościuszkowskiego powstania schronili się tam ci wszyscy, którzy konspirowali na Ukrainie, chcieli podnieść do buntu Ruś, byli bliżej Wołoszy niż Paryża, i woleli staroświecki Stambuł od nowomodnej Francji. Część ich później dała się porwać na nieprzemyślany, junacko fanfaroński wypad brygadiera Deniski ku Galicji, zakończony szybko i tragicznie jeszcze na Bukowinie, część dała się zwieść obietnicom rosyjskim, część strawiła swoje siły na pojedynkach emigracyjnych (które były dla ówczesnych czasów tym samym ropieniem co dla naszych przeróżne sprawy honorowe, z tym tylko że zabierały uczestnikom znacznie więcej krwi, a znacznie mniej czasu). Reszta na wieść o akcji Dąbrowskiego poderwała się; do Włoch! Rząd turecki, gościnny jak zawsze Wschód, nie był zbyt tym niezadowolony. Polskie rębajły zdążyły już dwuletnim postojem nadojeść, nie wypłacały się z długów, drażniły piciem wyznawców Proroka, niepokoiły temperamentem właścicieli haremów i wywoływały kwasy groźnej ambasady rosyjskiej. Wyposażano więc oficerów w sto piastrów każdego i wysyłano na statki które miały płynąć do Włoch, choć nieraz chwytali ich po drodze algierscy korsarze, nie wypłoszeni jeszcze z Morza Śródziemnego twardą miotłą Royal Navy. Ze swoim wodzem, generałem Rymkiewiczem, stanęli wreszcie na ziemi włoskiej. Mieli stać się rdzeniem drugiego legionu, czyli, wedle francuskiej rachuby, drugiej brygady. Bo Legiony zbliżając się do swej najwyższej cyfry w tym czasie — sześciu tysięcy żołnierza — obejmowały właśnie dwie brygady francuskiego typu. Wszystko to było piechota. Tworzyła się już jednak wiosną 1797 i artyleria. Narodowa broń polska — kawaleria — miała zjawić się tu najpóźniej.

W ten sposób wiosna 1797 roku zapowiadała się tak nadziei pełną jak niejedna zwodnicza wiosna wojen polskich. Wprawdzie Legiony polskie były tylko pomocniczym zaciągiem przy efemerydzie lombardzkiej, jednym z tych państw buforowych i sezonowych jakie nieraz wytwarza historia: wprawdzie nie miały orłów na swoich sztandarach, a tylko odznaki stopni, mowę i ustrój polski: wprawdzie nawet zamiast kokardy polskiej — wtedy starczyło to za dzisiejszego orzełka — nosiły kokardę włoską: ale jednak były. Wprawdzie nie istniały żadne formalne zobowiązania międzynarodowe Francji w stosunku do Polaków: były one nawet tak bardzo żadne, że w miejsce Francji występowała Lombardia, przezwana potem Cizalpinią, (potem jeszcze zmieniona w królestwo włoskie); a i jej zobowiązania nie mówiły nic o państwie polskim. Przeciwnie: przewidywały nawet, że ludzie Legionów może nie będą mogli wrócić do kraju, a wtedy otrzymają obywatelstwo wolnej Lombardii. Ale była WIARA. Ognisko rewolucji płonęło jeszcze ogniem jasnym, i ogień ten rozświetlał najdalsze nawet europejskie mroki.

Z początkiem wiosny i lata nie przeraziło nawet Polaków wstrzymanie kroków wojennych i rozpoczęcie targów pokojowych pomiędzy przedstawicielami Bonapartego, a wysłannikami Habsburga z Wiednia. Tyle było innych dobrych wieści! Legiony rosły w liczbę i spajały się w jedno ciało. Było coraz lepiej z mundurami i były coraz bardziej polskie. Co dnia przybywali nowi, co z Polski jakoś się przedarli, na piechtę nieraz. Kościuszko, po śmierci Katarzyny wypuszczony z petersburskiej niewoli, był w drodze do Ameryki: powiadano, że zawrócił na oceanie i lada tydzień będzie tuż tuż. To nazwisko znaczyło wiele. To Kościuszko był prawdziwym duchowym ojcem tej młodej rzeszy oficerskiej którą w ciągu dwóch lat swej żołnierki w Polsce 1790-1792— przerabiał opowiadaniami amerykańskiej walki na republikański ton. O nim wśród chłopskich rekrutów pobranych znad Pilicy, Wisły i Sanu w szeregi austriackie, zagnanych za Alpy, a teraz wcielonych w szeregi polskie, krążły liczne gadki. Kosynierzy... Bartosz Głowacki...• Racławice... Po Brescii i Weronie, po Mantui i Mediolanie, grenadierzy i fizylierzy wybijali gromko żołnierski krok. Pod arkadami, wokoł starej mediolańskiej katedry, do mowy włoskiej i francuskiej mieszała się coraz częściej zadzierzysta, niesforna polszczyzna. W pałacach miasta schodzili się coraz częściej patrioci, weterani krajowych walk o ocalenie Polski, posłowie Sejmu Czteroleniego, poplecznicy konstytucji majowet, konspiratorzy kościuszkowscy. Patrzyli na odradzanie się początku państwa — armii. O, bo było to *prawdziwe odradzanie się.* Z ducha.

W tym własnie czasie gośćmi Jana Henryka byli dwaj wspomniani już poprzednio ludzie. Jednym z nich był jego krajan, Józef Wybicki, pomorzak. Wiemy jak przyzwał nad Sekwanę Henryka: teraz widział go wodzem. Drugim był młody jeszcze dosyć magnat litewsko-białoruski, zagranicą bywający jako hrabia, choć po ruskich swych przodkach odziedziczył mitrę książęcą. Był to dziwny człowiek. Wielki pan o dwornych manierach postępowych sympatiach, miękiej woli, wplątywał się w politykę, a wyżywał —ku zgrozie dobrze urodzonych — w muzyce. Nawet koncertował publicznie byle miejskiemu pospólstwu (Tak samo jak Wybicki pisał chropawe zresztą wiersze. Parę lat temu właśnie, w okresie nadziei Sejmu Czteroletniego, pisał Wybicki taki wiersz, nigdy za życia nie opublikowany, że pomimo wszystkiego co jest nie traci nadziei, on, Wybicki, że „jeszczem Polakiem"...) Chodzili obaj, polityk poetyczny i muzyk politykujący. Pomorzanin i Białorus, po gwarnym od Polaków Mediolanie, aż Dąbrowski zażądał od nich pieśni. Polskiej pieśni wojennej. Nie ma jej. Wojsko *musi* mieć pieśń. Wojsko *musi* mieć pieśń do śpiewania. Ale już! W tej pieśni musi być wszystko to, czym to wojsko obecnie żyje i trwa, i oddycha. Jakieś tempo bratniej marsylianki. *Liberté*, *liberté*, *chérie*.

Historia, niestety, nie zapisała nam jak powstała owa pieśń skromnie nazwana przez samych autorów, lub ich generała, „piosneczką", „śpiewką" żołnierską, czy też „mazurkiem" lub „marszem". Wybicki napisał pamiętniki, i Ogiński — po francusku — pamiętniki, i pisali o swym włoskim pobycie, ale o tym zapomnieli tak jak każdy z nas zapomina o czymś co uważa w swym życiu za błahostkę wobec innych, poważniejszych rzeczy. Wybickiego bardziej pasjonowała konkretna, dorywcza polityka: kresowy pan bardziej cenił swe opery czy polonezy. Cóż tam, ta współpraca po prędkości: proszono o to, napisało się, i tyle? Ale niebawem młode panny polskie przywiozły z Włoch tę piosenkę, jak w innych czasach przywoziły paryskie tanga czy angielskie foxtroty, i grały ją z otwartych okien pałaców na Krakowskim Przedmieściu ku wsłuchanej warszawskiej ulicy, — bo ulica miała podnieść piosenkę.

Ale nie tylko autorzy mieli słabą pamięć. Słabą pamięć mieli, po wielu przemianach i sami legioniści, i potomni. Pozagubiali bowiem nie tylko

całe słowa, ale ba, całe zwrotki nawet, owej, *wtedy* napisanej, pieśni. Kto wie na przykład, że wtedy, gdy Legiony nie wystrzępiły jeszcze po wszystkich wygnańczych biwuakach swego świeżego, coetquidańskiego, zapału, nie skwasiły rewolucyjnego wina pierwszych tych dni, nie wymieniły swych rewolucyjnych ogni na ciepły popiół legendy, w Weronie, Brescii i Mediolanie, owego włoskiego ich lata spiewano, na przykład, tak:

„Chociaż wrogi nas pobiły
Ziemię nam zabrały
Sparcie piersi murem były
I te nam zostały".

Kto dzisiaj rozumie ile rewolucyjnej czerwieni i ile dziennikarskiej *aktualności* — (plotki o rychłym przybyciu Kościuszki) — było i w owych, dochowanych nam, słowach:

„Na to wszystko jedne głosy
Dosyć tej niewoli;
Mamy *racławickie kosy*
Kościuszkę Bóg pozwoli!"

Ale nie to jeszcze zatarło się w tej pieśni najsilniej.

Jak się to stało, że zatarło się tak mocno? Przecież pieśń ta stała się świętością narodową? Zastąpiła korony królewskie, przez Prusaków przetopione na talary, niepewnej autentyczności Szczerbiec, i wiele innych rzeczy! Jak to się więc stało, że milczeli o tym historycy, a dopiero nie historyk, ale literat, Berent, objawił obszernie Polsce 1937 roku jak brzmiała *autentycznie* jedna z niebagatelnych zwrotek hymnu narodowego:

„Z ziemi włoskiej do polskiej
Przyjdź z Prawem Człowieka
Marsz Marsz Dąbrowski
KRAJ na Ciebie czeka!"

Istotnie, słowa te się zatarły, zagubiły po drodze. Pozostała tylko Basia, a także...tarabany. Ale może dzisiaj, kiedy tupot innych nóg polskich przemierza „ziemię Auzonów", Monte Cassino krwią się bojnie barwi, warto przypomnieć *tamtych* ludzi, *tamtem* zryw, — i także *tamtą*, zagubioną zwrotkę polskiego narodowego hymnu, której, niestety, nawet i tamte Legiony, nie doniosły, choć to tak przysięgały, „z ziemi włoskiej do polskiej". Kto ją teraz doniesie? Ba: czy ją wogóle — podejmie? A jeśli nawet podejmie, to czy nie zagubi jej potem, jak tamci, i to może jeszcze wcześniej, dużo wcześniej, niż tamci?

Gorzkie są te rozważania o zagubionej zwrotce naszego narodowego hymnu. PRAWA CZŁOWIEKA, dzieło francuskiej rewolucji, istotnie nie doszły do Polski. Czekają, jak sto piećdziesiąt lat temu, by ktoś je doniósł do Polski. By z nimi przyszedł. Kto wie? Może w tej starej pieśni, ukochanej nade wszystko inne, jest jakaś zaklęta tajemnica. Może to dopiero o tym człowieku który owe prawa człowieka do Polski doniesie sprawdzi się zapowiedź rzucona Dąbrowskiemu w Lombardii:

„KRAJ na ciebie czeka"?

ANTONI SŁONIMSKI

LIBERTÉ

Ledwie słowo, już nas rozpłomienia,
Lica w ogniu, serce mocniej bije.
Czemu wzrusza sam już dźwięk imienia?
Liberté, liberté chérie —

Miłość budzi czułe zasmucenia,
Młodość czar niejeden w sobie kryje,
Ty jak dreszcz przebiegasz pokolenia,
Liberté, liberté, chérie —

Krew w nas burzy żar twojego tchnienia,
Głos w historji bębny werblem bije,
Imię twoje z wichru i z płomienia.
Liberté, liberté chérie —

Cóż nam dajesz w zamian za cierpienia
I za krew, co śladem twym się wije,
Że idziemy z tobą w śmierć bez drżenia,
Liberté, liberté chérie —

Dokąd wiedziesz krokiem rozmarzenia
Przez ścieżyny polne i niczyje?
W kraj miłości, w czułe zasmucenia —
Liberté, liberté chérie —

A. WÓJCICKI

WSPÓŁPRACA MIĘDZYNARODOWA W WYCHOWANIU

W kwietniu bieżącego roku położono kamień węgielny pod przyszłą współpracę międzynarodową w wychowaniu, powołując do życia „Organizację Odbudowy Kultury i Wychowania Zjednoczonych Narodów" (United Nations Organisation for Educational and Cultural Reconstruction).

Projekt uchwały powzięty na „Konferencjach Alianckich Ministrów Wychowania" wymaga jeszcze ratyfikacji właściwych rządów, niemniej nazwiska i pozycje polityczne inicjatorów, jak i gorące przyjęcie prasy wróżą szybkie przeprowadzenie potrzebnych formalności.

Po konferencji żywnościowej w Hot Spring i powołaniu UNRA, po zjazdach Międzynarodowej Organizacji Pracy, wzięto się do spraw dotąd traktowanych po macoszemu, słusznie rozumując, że obecna wojna wyrządziła równe a bodaj czy nie większe szkody kulturze i wychowaniu narodów niż ich substancji biologicznej. Duchy, umysły i ciała w równej mierze należy odratowywać. „Zaniedbanie któregokolwiek z tych 3-ch składników" — pisał „Times" 19.4.1944 — „byłoby dla ludów które tyle wycierpiały, pozbawieniem ich najistotniejszego elementu odbudowy".

Zastrzyk energii amerykańskiej

Ogromnie zasłużyła się w szybkim przeprowadzeniu pertraktacji delegacja Stanów Zjednoczonych A.P. przybyła w tym celu do Londynu. Młodzi i energiczni yankesi o mądrych i dobrych oczach pedagogów, a twardych i szerokich szczękach traperów wnieśli w ospałe dotąd debaty poryw szybkiej decyzji. Ułatwiły im tę pracę zarówno klimat, dojrzały wreszcie po kilku latach debat do bardziej energicznych posunięć, jak i waga i autorytet delegacji. Przewodził zespołowi *J. William Fulbright*, członek komisji zagranicznej Kongresu. W skład delegacji weszli: MacLeish, Dyrektor Biblioteki Kongresu, pisarz i poeta, członek amerykańskiej Komisji Ratowania Artystycznych i Historycznych Zabytków Europy, dr. J. W. Studebaker, komisarz federalny wychowania od r. 1934, rutynowany pedagog i organizator szkolnictwa, dr. Grayson Kefauver, profesor pedagogiki i dziekan wydziału wychowania Uniwersytetu w Stanford od r. 1933, ostatnio zatrudniony jako doradca w Departamencie Stanu. Dr. Kefauver był na terenie U.S.A. najgorętszym szermierzem idei współpracy międzynarodowej w wychowaniu, przewodniczył Komitetowi Wychowania Międzynarodowego, ponadto jest prezesem Narodowego Związku Nauczycieli Zakładów Pedagogicznych. Dr. Ralph Turner, wysoki urzędnik Departamentu Wychowania, były profesor historii Uniwersytetu w Pitsburgu i autor wielu prac z historii cywilizacji przybył już po raz drugi w tych sprawach do Anglii w czasie wojny.

Delegaci amerykańscy uzupełniali się wzajem znakomicie. Obok ostrożnego i małomównego raczej Fulbrighta kroczył jak uosobienie siły i energii barczysty, pełen dynamiki Turner. Rozwagę i spokój lat dojrzałych oraz ogromne doświadczenie Studebakera, uzupełniał entuzjazm i zapał pełnego młodości Kefauvera.

Charakterystyczne, że po wyjeździe większości członków delegacji pozostali na miejscu dla prac organizacyjnych Kefauver i Turner, dwa najsilniejsze w tym zespole akumulatory energii,co wróży jak najlepiej dalszym pracom wykonawczym.

Pierwszy krok ostrożny i praktyczny

Idealiści i marzyciele, którzy by chcieli już dziś wydać ustawy, że od jutra obowiązuje tylko obywatelstwo międzynarodowe i panuje jeden tylko język unijny na pewno rozczarowali się mocno, czytając wytyczne nowej organizacji.

Jest ona w stosunku nawet do dawnych prób i koncepcji, opieranych o Ligę, na pewno cofnięciem się, zwłaszcza jeżeli idzie o papierowe sformułowania.

Odsuwając na dalszy plan wszelkie zamierzenia koordynacyjne w zakresie wiedzy, sztuki i wychowania, nowa organizacja zakreśla ramy najbliższej pracy wyłącznie do odbudowy zniszczeń kulturalnych, dokonanych przez okupantów.

Najpierw potrzebna jest praktyczna pomoc, dyktowana nie tylko względami współczucia i braterstwa, lecz również nakazami rozumu, a potem... zobaczymy, co z tego wyrośnie.

Mimo że głos serca wyczuwa się wszędzie u podłoża tej inicjatywy, organizatorzy starannie wysuwają na pierwszy plan argumenty rozsądku, tłumacząc w przedmowie proponowanej ustawy że „przemyślane i celowe zniszczenie przez rządy faszystowskie kulturalnych zasobów wielkich części kontynentów Europy i Azji...*stworzyło warunki niebezpieczne dla cywilizacji, a więc i dla pokoju*, nie tylko w krajach, splądrowanych przez potęgi faszystowskie, lecz *w całym świecie*. Pozbawić jakąkolwiek z części współczesnego, tak bardzo współzależnego świata, zasobów kulturalnych ludzkich czy materialnych, służących do nauki ich dzieci oraz informowania ich ludów

— *to znaczy zniszczyć wspólną wiedzę i stałe porozumienie, na czym pokój świata i jego bezpieczeństwo musi się przecież opierać*".

Proponowana więc organizacja ma w pierwszym rzędzie „naprawić tak dalece, jak to jest możliwe, krzywdę wyrządzoną wspólnemu kulturalnemu dziedzictwu świata", a dopiero w dalszym etapie — „stworzyć organizację międzynarodową opartą na założeniu, że *wolne i nieskrępowane wychowanie ludów świata oraz wolna i nieskrępowana wymiana między nimi idei i wiedzy są istotnie potrzebne dla zachowania bezpieczeństwa i pokoju*".

Zasady nowej organizacji

W wyliczeniu celów na pierwsze miejsce wysunięto *zebranie informacji o rozmiarze szkód kulturalnych i potrzebach nieodzownych dla ponownego uruchomienia szkół* i innych agencyj kulturalnych. Pomoc międzynarodowa obliczana jest zarówno na akcję doraźną w okresie przejściowym, jak i w programie rekonstrukcji długofalowej. Organizacja ma ponadto koordynować ewentualną pomoc niesioną przez poszczególne narody, wybranym przez siebie terenom.

Członkami nowej organizacji zostają narody zjednoczone i „stowarzyszone". O dopuszczeniu obecnych wrogów zadecyduje później Walne Zgromadzenie.

Strukturę organizacji oparto na Walnym Zgromadzeniu, zbieranym raz do roku, Komitecie Wykonawczym, Biurze Głównym i Komitecie Funduszu Pomocy Doraźnej.

W Walnych Zebraniach bierze udział po 5 delegatów z każdego kraju, a w głosowaniu *każdy zespół dysponuje jednym głosem.* Zebranie ustala wytyczne polityki ogólnej, zatwierdza budżet, powołuje komitet wykonawczy i Dyrektora biura.

Komitetem Wykonawczym kieruje przewodniczący i zastępca Walnego Zebrania. Obok nich w skład Komitetu wchodzi 15 delegatów wybranych przez Walne Zebranie w ten sposób, aby było nie więcej niż po jednym z każdej narodowości.

Komitetowi Wykonawczemu podlega Biuro Główne z Dyrektorem na czele, wybieranym przez Walne Zebranie.

Wydatki na organizację obciążą według ustalonej proporcji wszystkie uczestniczące narody.

„Wielkie" i „małe" narody

Jak dotąd cały mechanizm organizacyjny nie robił żadnych, modnych dziś, różnic pomiędzy mocarstwami i „małymi" narodami, stwarzając demokratyczne ramy współpracy. „Wielka trójka" nienazwana zresztą po imieniu, zjawia się dopiero w Komitecie Funduszu Pomocy.

Fundusz tworzy się w celu rekonstrukcji instytucji kulturalnych krajów wojną zniszczonych. Składają się nań wkłady wszystkich narodów, gotowych do współudziału w pomocy, jednak Komitet Zarządzający, dysponujący funduszami, składa się z 3 reprezentantów tych narodów, które wniosą największy wkład do Funduszu oraz 3 „dodatkowych członków", wybranych przez Komitet Wykonawczy organizacji.

Trudno odmówić słuszności zasadzie, że *ten kto daje najwięcej, ma prawo większego wpływu na dysponowanie* darowizną. Nie trudno też zgadnąć, że U.S.A. i Wielka Brytania będą najhojniejszymi udziałowcami Funduszu i zajmą bezapelacyjnie 2 miejsca czołowe. Czy Rosja zechce być tym „trzecim" za cenę stosunkowo wysokiego udziału w kosztach, czy też zdystansują ją Chiny lub może Francja — trudno w tej chwili przewidzieć. W każdym razie z komplikacji wielkomocarstwowych wybrnięto zgrabnie, zachowując słuszne zasady równouprawnienia narodów.

Podkreślić należy, że nowa organizacja wiąże się z przeszłością i przyszłością liberalnymi zapewnieniami kooperacji z wszelkimi organizacjami, jakie dotąd zajmowały się współpracą międzynarodową w zakresie wiedzy, sztuki i wychowania oraz przyrzeka decyzją Walnego Zebrania wejść w skład ewentualnej przyszłej międzynarodowej organizacji ogólnej zabezpieczenia pokoju.

Organizacja wyrosła z wielu prób i inicjatyw

Zachowując pełne uznanie i podziw dla energii delegacji amerykańskiej nie można pomijać dorobku na tym polu innych i należy scharakteryzować krótko szereg prób i inicjatyw, podejmowanych w czasie wojny głównie w W. Brytanii, gdyż tylko z tego żyznego podłoża narad i dyskusyj mogła wyrość konkretna forma nowej organizacji międzynarodowej.

Najkonsekwentniej budziła zrozumienie dla sprawy wychowania międzynarodowego t.zw. „5-ta Komisja Wychowania", złożona z przedstawicieli London International Assembly oraz Council for Education in World Citizenship.

Korzystając z obecności w Londynie wielu przedstawicieli narodów sojuszniczych obraduje ona od r. 1940 pod przewodnictwem wybitnego pioniera kooperacji intelektualnej prof. Gilbert Murraya, przy sprężystym sekretarzowaniu Komisji p. Judda, działacza „League of Nations Union".

Rezultatem tych obrad był nie tylko raport z obrad Komisji, ogłoszony pod tytułem „Education and the United Nations", ale co ważniejsze coraz żywsze echa wśród sfer oficjalnych, organizacji oświatowych i opinii publicznej oraz rosnące zrozumienie potrzeby badania zniszczeń kulturalnych, szacowanie koniecznych rozmiarów pomocy oraz wykorzystanie wychowania, jako instrumentu najlepiej zabezpieczającego pokój światowy. Naciskom opinii publicznej należy przypisać powołanie periodycznych „Konferencyj Alianckich Ministrów Oświaty" pod przewodnictwem R. A. Butlera, które głównie zajęły się kwestią powojennej odbudowy kultury i wychowania. Z konferencji tych wyłoniły się komisje specjalne jak, Komisja Biblioteczna (Books Committee) pod przewodnictwem Sir Ernesta Barkera, Komisja Pomocy Szkolnych (The Film and Visual Aid Committee) oraz stałe Biuro Konferencyj.

Inicjatywa organizacji społecznych przejawiła się w licznych odezwach organizacji kulturalnych na Raport L.I.A. oraz poświęceniu uwagi sprawom rekonstrukcji kulturalnej przez Radę Brytyjskich Organizacji Pomocy (Council of British Societies for Relief Abroad). Uniwersytet Londyński powołał do życia United Nation Centre z zamiarem krzewienia współpracy intelektualnej między narodami.

Po drugiej stronie oceanu na uwagę zasługuje „Apel do Szkół" ogłoszony przez 28 wybitnych pedagogów amerykańskich, mocno akcentujący potrzebę wychowania młodzieży w zrozumieniu międzynarodowej wspólnoty kulturalnej, oraz szereg konferencyj i zjazdów. Całym sercem poparli prace te pedagogowie polscy, przebywający w U.S.A. Zarówno Central European Planning Board jak i Polski Instytut Naukowy brały czynny udział we wszelkich obradach nad kwestiami pomocy powojennej i współpracy kulturalnej narodów.

Czy w ogóle możliwa jest ściślejsza współpraca międzynarodowa w wychowaniu?

Wielu krytyków międzynarodowej współpracy intelektualnej na ogół czarno zapatruje się na możliwości ściślejszej współpracy międzynarodowej w zakresie sztuki, wiedzy, a zwłaszcza wychowania. Przecież te dziedziny—twierdzą oni—najmocniej charakteryzują odrębności narodowe i zmieszanie ich we wspólnym szarym tyglu jakiejś „nowej kultury międzynarodowej" pozbawi ich wszelkich barw charakterystycz-

nych, a może i zniszczy istotną strukturę. Inni twierdzą, że słowa współpraca i intelektualizm są wzajem sprzeczne. Przecież im bardziej człowiek staje się intelektualistą, tym mniej jest skłonny do współpracy. Najzazdrośniej strzeże każdy naród wychowania swej młodzieży i nie pozwoli na układanie programów według szablonów międzynarodowych, czy narzucanie zespołów idei i wartości, wysmażonych na międzynarodowych konferencjach.

Jakoż wydaje się, że daleką jeszcze do przebycia mamy drogę do jakiejś nieznanej formy kultury międzynarodowej, niemniej nawet nikłe i nieśmiałe próby współpracy okazały swoją twórczą wartość.

Historia — magistra vitae

Wskazuje się na jednotę duchową średniowiecza i renesansu Europy głów nie osiąganą przez ścisłą współpracę i daleko idące upodobnienie społeczności uniwersyteckich. Dziś już nie tylko Europa, ale i cały świat z pewną tęsknotą ogląda się za jakąś nową jednością cywilizacyjną, a ponadto z niepokojem patrzy, jak łatwo obecnie tymi samymi środkami technicznymi kultury i wychowania przez włożenie w to innej tresci można wyhodować naród barbarzyńców, grożący zagładą całemu światu kultury współczesnej. Przykład hitleryzmu wiele daje do myślenia i ostrzega na przyszłość.

Dlatego też, jak zwykle w życiu, prawda o konieczności współpracy międzynarodowej w tej dziedzinie leży gdzieś pośrodku. Życiem rządzą bez przerwy procesy całkowania i dezintegracji jednocześnie. Rośnie stopniowo wzajemne zrozumienie, narzucane zresztą techniczną rewolucją komunikacji i warunków współżycia oraz współuzależnienia narodów, jednak nie prędko jeszcze odrębności narodowych kultur wchłonie jakaś pan-europejska czy „światowa" kultura, — a zresztą kto wie, czy nie byłoby to obniżeniem wartości rozwoju cywilizacyjnego świata, powstałego z harmonizowania odrębrych kultur narodowych.

Jak było po tamtej wojnie?

Uderzającą różnicę w nastrojach, jakie budziły się wśród zjednoczonych narodów, widać porównując wysiłki myślowe na temat zabezpieczenia pokoju w pierwszej wojnie światowej i obecnie.

Pod tym względem postęp zrozumienia współpracy i technicznego jej zabezpieczenia jest niewątpliwy.

Pokój w r. 1918 zastał świat nieprzygotowany myślowo i technicznie do rozwiązywania spraw pokoju. Brak było koordynacji w zakresie pomocy powojennej, dziś posiadającej już własne czynne formy organizacyjne i głucho było prawie zupełnie o konieczności rozbrojenia duchowego i odbudowy kulturalnej. Dawna inicjatywa społeczna zastąpiona jest dziś o ileż potężniejszym aparatem współpracy narodów i koordynacją wysiłków społecznych.

O pomocy w rekonstrukcji oświaty czy o współpracy intelektualnej nie wspominano w tych czasach, a propozycja belgijska powołania „Międzynarodowej Komisji Współpracy Intelektualnej" zgłoszona na Konferencji Pokojowej w Paryżu spotkała się z tak chłodnym przyjęciem, że wycofano ją i ponowiono próby dopiero po kilku latach już w Lidze Narodów.

Między dwiema wojnami

Przegląd dorobku międzynarodowej współpracy intelektualnej jest o tyle pouczający, że wykazuje na jakie opory natrafiono i w czym tkwiły powody tak słabego rozwoju idei.*)

*) Gwilym Davies, „Intellectual Co-operation Between the Two Wars", London, 1943. Dr. Gilbert Murray, „Intellectual Co-operation". Raport wewnętrzny L.I.A.

Wspomnieliśmy o inicjatywie Belgów w Lidze Narodów. Wniosek ich długo napotykał na sprzeciwy, zanim poparty przez Balfoura i Gilbert Murray'a, ze strony brytyjskiej, a L. Bourgois i filozofa Bergsona ze strony francuskiej, doprowadził w r. 1921 do utworzenia przez Radę Ligi „Międzynarodowego Komitetu Współpracy Intelektualnej" z udziałem Bergsona, Einsteina, pani Curie-Skłodowskiej i innych.

Od początku prace te śledzone były z wielką podejrzliwością i niechęcią przez zawodowych polityków. Z ustaw projektu wykreślono starannie wszędzie słowo „ education". Pomoc finansową udzielano w tak szczupłych rozmiarach, że *całoroczny budżet równał się wartości* 2 „*Spitfire'ów*". Jedynie Francja okazała się hojniejszą od innych, gdyż zaofiarowała w r. 1926 2 miliony franków rocznie na „Instytut Współpracy Intelektualnej" pod warunkiem usadowienia go jednak w Paryżu, a nie w Genewie. Mussolini pozazdrościł laurów Francji i zaofiarował założenie w „Rzymie Międzynarodowego Instytutu Kinematografii Wychowawczej". Ofertę przyjęto w r. 1928, lecz niewiele z tego Instytutu było pożytku aż po r. 1938, kiedy wszyscy jego pracownicy Włosi na znak protestu zrezygnowali od dyrektora poczynając, a na woźnych kończąc.

Kilka inicjatyw I.C.I.C. (International Committee of Intellectual Cooperation) znalazło żywszy oddźwięk i rozrosło się w stałe organizacje przybudówkowe.

Powołano we wszystkich krajach ligowych Narodowe Komitety Współpracy Intelektualnej, które pracowały w różnych skalach i ze zmiennym powodzeniem i objęły 42 narody.

Poeci, pisarze i artyści zjednoczyli się w „Stałym Komitecie Sztuki i Literatury" pod przewodnictwem Paul Valery. Odbyto kilka zjazdów m.i. w stulecie śmierci Goethego i zainicjowano szereg wydawnictw i dyskusji. Odbywane pod przewodnictwem Sir William Beveridge'a konferencje Instytutów Naukowego Badania Stosunków Międzynarodowych zapoczątkowały szereg podstawowych badań ekonomiczno-politycznych i wsparte zasiłkami Fundacji Rockefellera i Carnegiego przerodziły się w stałą instytucję badawczą o charakterze międzynarodowym. Pracownicy muzeów doprowadzili pod przewodnictwem Madariagi do stworzenia „Międzynarodowego Urzędu Muzeów" i pisma „Museion".

Wychowanie, tak starannie wykreślane z pierwszych projektów współpracy intelektualnej, wbrew prawnikom Ligi wchodziło coraz szerzej w obręb współpracy międzynarodowej. Po r. 1926 powołano Komitet Doradczy w sprawach nauczania i utworzono „Międzynarodowe Biuro Wychowania" w Genewie od Ligi formalnie niezależne, a utrzymywane ze składek przez wiele państw. Wydawane przezeń Biuletyny zgromadziły wiele podstawowego materiału porównawczego o trwałej wartości naukowej. Periodyczne wystawy, zjazdy poświęcone nauczaniu historii, geografii i języków nowoczesnych, program nauki o Lidze Narodów—uzupełniały dorobek w tym zakresie. Największym sukcesem było zaproszenie przez Rząd Chin misji Ligi Narodów do prac nad rekonstrukcją oświaty w Chinach. Czterech ekspertów, w tej Liczbie Polak Dr. Falski, znakomity statystyk szkolny, — udało się do Chin, służąc tam radą i doświadczeniem.

Największe natężenie imprez I.C.I.C. przypadło na rok 1937. W związku z Wystawą Paryską odbył się w t.zw. „Miesiącu Intelektualnej Współpracy Międzynarodowej" szereg zjazdów, jednoczących organizacje młodzieżowe, i nauczycielstwo różnych narodów. Po raz pierwszy zwołane „Światowe Zebranie Intelektualistów" skupiło delegatów z 39 Narodowych Komitetów I.C.I.C.

Te i inne prace były jednak niewspółmierne w zasięgu i wadze z narastającą burzą wojenną, która miała zmieść Ligę wraz z jej przybudówkami i zamiast lepszej współpracy przynieść burzenie miast i ośrodków kultury, mordowanie uczonych, zamykanie szkół i grabież muzeów.

Główne Błędy

Analizując dziś z dystansu lat braki i niedomagania tego okresu podkreśla się wśród trudności finansowych kilka kardynalnych zaniedbań. Wielkim błędem było niedostateczne zainteresowanie współpracą międzynarodową wielkich związków nauczycielskich. Podczas gdy Międzynarodowe Biuro Pracy utrwaliło swój byt głównie dzięki entuzjazmowi i zabiegom przewódców związków zawodowych, to związki nauczycielskie nie wykazały ani energii, ani siły w przeprowadzeniu podobnej organizacji wychowania.

Zaniedbanie stworzenia silnych ośrodków międzynarodowych dla badań naukowych, gdzieby zdobycze wiedzy silniej wiązano z ideą służby ludzkości było dalszym osłabieniem wyrastającej spójni.

Niedostateczne wykorzystanie związków młodzieżowych i organizacji oświaty dorosłych uniemożliwiło przyswojenie idei współpracy przez szersze masy,a fatalny brak informacji prasowej i propagandy zagadnień współpracy międzynarodowej sprawiły, że o zbliżeniu intelektualnym wiedziały szczuple koła wyznawców bez wpływu na szeroką opinię publiczną narodów.

Najwięcej jednak zawinili zawodowi politycy i t.zw. mężowie stanu. Na ich usprawiedliwienie można by powiedzieć, że nie czując naporu i zainteresowania opinii publicznej nie chcieli angażować się w ambarasujące i trochę dla nich nieuchwytne umowy międzynarodowe zbiorowe na temat współpracy, kontentując się bilateralnymi układami, bardziej posłusznie uległymi aktualnym prądom i nastrojom politycznym. Od mężów stanu wymaga się jednak nie tylko realizowania pragnień opinii publicznej, ale w pewnym sensie inspirowania i prowadzenia jej. Uzupełnianie się harmonijne tych dwu procesów stwarza najzdrowszy klimat do tworzenia nowych form życia i pracy.

Tymczasem jak zachowały się główne mocarstwa wobec prób współpracy intelektualnej?

Rządy Wielkiej Brytanii i Dominiów bez przerwy i do końca wojny *odmawiały jakiegokolwiek poparcia finansowego* wszelkich inicjatyw i instytutów współpracy kulturalnej. Ta anomalia zdumiewa tym bardziej, że ze społeczeństwa brytyjskiego rekrutowali się najwytrwalsi pionierzy idei, a związki ligowe tu najmocniej się zakorzeniły.

Drugie mocarstwo: *Stany Zjednoczone* jak wobec wszelkich poczynań Ligi, tak i w tym zakresie zajęło *stanowisko obserwatora*, życzliwego i uważnego ale nic ponadto. Znów i w tym kraju znaleźli się najbardziej oddani ludzie i Komitet Narodowy Współpracy Intelektualnej okazał się jednym z najsprawniejszych.

Chiny przejawiły od r. 1932 najżywsze zainteresowanie, nie tylko zapraszając rzeczoznawców Ligi do rekonstrukcji narodowej oświaty, lecz również przez aktywny udział w różnorodnych pracach i gorliwe studia chińskich pedagogów nad systemami szkolnymi innych narodów.

Francja była najgorętszym szermierzem idei współpracy, najwięcej dla niej zrobiła, zarówno przez pomoc finansową i poparcie polityczne, jak również czynny udział swoich czołowych naukowców i myślicieli.

Wiele zapału i ofiarności wykazały również t.zw. „małe narody", ponosząc bez sprzeciwu koszta różnych imprez i instytutów i biorąc żywy udział w zjazdach, umowach i pracach zbiorowych. Polska była jednym z gorliwych adherentów współpracy intelektualnej i żadne na szczęście „abisyńskie grymasy" nie zakłóciły jej lojalnej współpracy do końca.

Horoskopy na przyszłość

Zdawałoby się, że obecny rozwój prac wróży jak najlepiej. Obojętna dawniej Wielka Brytania dziś daje inicjatywę i przewodnictwo w alianckich

naradach ministrów oświaty. Stany Zjednoczone przez usta Cordell Hulla oficjalnie podkreślają wagę sprawy i udzielają poparcia swej doskonale zmontowanej delegacji. Francja i inne kraje na pewno nie zmieniły swego nastawienia wobec idei współpracy intelektualnej, przeciwnie raczej upewniły się po doświadczeniach tej wojny w przekonaniu o konieczności większego zbliżenia kulturalnego. Na projekty z takim entuzjastycznym unisono podejmowane pada jednak wielki cień od strony północnej.

Mówiąc o międzynarodowej współpracy intelektualnej trudno pominąć Rosję, której ogrom i siła militarno-polityczna coraz mocniej ciąży na stosunkach międzynarodowych· Rosja miała co prawda swego przedstawiciela w I.C.I.C. — obecnie bierze udział przez milczących obserwatorów w aktualnych debatach i dyskusjach, ale żadnym pozytywnym gestem, czy oświadczeniem nie wyjaśnia swej sfinksowej postawy. Nawet przy idealnym założeniu istnienia pełnej harmonii wśród reszty zjednoczonych narodów, nawet przy arcy-optymistycznym przewidywaniu, że „reedukacja" Niemiec po zwycięskiej wojnie wyrwie z korzeniami hitleryzm, wrogi współpracy międzynarodowej i narzuci Niemcom zasady życia, sharmonizowane z całym światem kulturalnym, to problem współżycia intelektualnego 2 światów: demokratycznego zachodu i państwowo-komunistycznej Rosji wydaje się nie do rozwiązania w ciągu życia naszej generacji. Optymiści twierdzą, że rewolucja rosyjska przeorała do gruntu masy ludowe i stworzyła tak ogromną potencjalną tęsknotę za pogłębianiem wiedzy, sztuki i oświaty, rozbudziła tak ogromną ciekawość Zachodu, a głównie imponujących postępem technicznym Stanów Zjednoczonych, że żaden rząd Z.S.S.R. tego naporu nie powstrzyma przez dłuższy okres, zwłaszcza po tylu ofiarach, złożonych przez lud rosyjski w wojnie obecnej. Jednakże proces zbliżenia tak różnych ideologicznie światów wymaga po prostu technicznych możliwości współpracy, Rosja tak starannie izolowała się przez 20 z górą lat od Zachodu, tak poprzecinała wszystkie więzy naukowe, oświatowe, literackie i inne z instytucjami Zachodu, tak radykalnie zmniejszyła ilość ludzi wyjeżdżających za granicę na studia, czy utrzymujących naukowe kontakty, że nawet zakładając jej 100-procentową dobrą wolę, przewidzieć należy długi okres na powtórne mozolne nawiązanie kontaktów i zbliżenie do Zachodu. Musiałyby zajść również konieczne rewolucyjne przeobrażenia wewnętrzne Rosji, które by wartość człowieka wysunęły na plan pierwszy, a totalizm państwowy usunęły w cień. Trzeba by też wtedy mozolnie wypracować inne formy spójni narodów Z.S.S.R. i zrezygnować z tak łatwego „cementu" jakim dziś jest „NKWD". Rewolucję taką, czy ewolucję Rosji opinia Zachodu przyjęłaby z ogromną sympatią, a sąsiedzi Z.S.S.R. spokojniej patrzyliby w przyszłość.

Promieniowanie kultury anglosaskiej

Wojna obecna zakończona zwycięstwem narodów zjednoczonych utrwali prymat kultury anglosaskiej, narastający coraz potężniej w XIX w. i zbierający już w XX w. owoce pionierskiej pracy.

Geniusz polityczny i organizacyjny Anglosasów nie tylko opanował politycznie ogromne przestrzenie globu, zbudował zadziwiający przemysł — ale co ważniejsze dokonał tych zdobyczy, coraz bardziej podnosząc dobrobyt ogólny i poziom kulturalny swych obywateli i zachowując wartość jednostki ludzkiej.

Najzłośliwiej pracująca propaganda anty-anglosaska nie przekreśli zdumiewających faktów, że dawniejsi wrogowie Anglosasów są dziś w rzędzie współtwórców i współrządców imperiów, stanów i dominiów. Szkoci, Burowie, Amerykanie Południowych Stanów zapomnieli o dawnej lub niedawnej krwawej przeszłości i są dziś patriotami Imperium czy U.S.A. Goebbels nie zaprzeczy że w tych „zgniłych" demokracjach wartość jednostki leży u podstawy całego ustroju i każdy obywatel ma poczucie

godności własnej, bezpieczeństwa i równości wobec prawa, szanse zdobycia wykształcenia, zawodu i stanowiska, prawo wyznawania wiary i przekonań. Jeżeli nie osiągnięto nawet idealnego stanu w tym zakresie to idzie się zdecydowanie w tym kierunku. Stwarza to ogromną atrakcyjność nie tylko dla szczytów kulturalnych, ludzi wiedzy czy sztuki, których np. Ameryka przyciągała ostatnio setkami, ale i dla prostego szarego człowieka. Dla polskiego chłopa, żyda wyrobnika, dla każdego z Europy wschodniej i południowej wyrastał już przed I i II wojną światową mit U.S.A. jako ziemi obiecanej. Mit ten cierpienia obecnej opresji tylko utrwalą.

Atrakcyjność kultury anglosaskiej, zwłaszcza jej form politycznego życia jest na kontynencie tak ogromna że kultura ta, nie starając się propagandą o pozyskiwanie sympatii, jest raczej poszukiwana i nie nadąża wzrastającemu popytowi na jej produkty i objawy. Język angielski nie tylko w Europie, jestem przekonany że i w Rosji, Afryce czy Azji, jest najbardziej poszukiwaną umiejętnością i cenionym nabytkiem jako klucz do kultury świata anglosaskiego. W kraju, w nauczaniu tajnym popyt na lekcje języka angielskiego wielokrotnie przerasta podaż sił nauczających. Język angielski, dotąd język kupców i marynarzy, przeradza się w język dyplomatów i polityków, techników, nauczycieli i socjologów i krocząc zwycięsko na pierwszym miejscu t.zw. języków międzynarodowych wychodzi na stanowisko głównego języka światowego i głównego obok języków macierzystych języka pomocniczego.

To promieniowanie kultury anglosaskiej i zdobywcza penetracja we wszystkie dziedziny wiedzy i działalności angielskiego języka splata się korzystnie z rozwojem idei współpracy międzynarodowej i wróży jej mozolne, ale pewne ostateczne zwycięstwo.

Polska a współpraca międzynarodowa

W interesie Polski, wciśniętej pomiędzy potężne: Niemcy i Rosję, zawsze leżeć będzie jak najszerszy rozwój politycznej współpracy międzynarodowej, silne wiązanie się z tym ruchem i walka o jego zwycięstwo. W świecie pożerających się bestii często będziemy rozszarpywani w zawieruchach wojennych, jako jedni z pierwszych, w świecie pokoju i współpracy rozkwitać będzie nasza kultura i wzrastać dobrobyt.

Na współpracy międzynarodowej w zakresie wiedzy, sztuki i wychowania tylko zawsze zyskać możemy, stracić nic, lub niewiele.

Polska zawsze chciwie poszukiwała tej współpracy i ilekroć warunki polityczne ułatwiały pokojowe współżycie narodów, młodzież polska tłumnie wypełniała uniwersytety obce, a nauka i sztuka polska godnie rywalizowały w środkowej Europie o palmę pierwszeństwa.

Szczyty naszych osiągnięć kulturalnych: literatura wieku złotego, Komisja Edukacji Narodowej, wspaniałość rozkwitu Uniwersytetu Wileńskiego w początku XIX w., literatura wielkiej emigracji — wszystko to związane mocno z żywą wymianą idei międzynarodowych.

Ilekroć zamykaliśmy się ściśle w naszym własnym domostwie, jak to było za czasów saskich, kiedy wystarczała mądrość jezuickiej szkoły, lub gdy nas okupanci hermetycznie od świata odcinali — więdła polska kultura, chyląc się do upadku.

Szczególnie teraz, gdy zapowiada się era dominacji kultury anglosaskiej, jej rosnący wpływ na rozwój naszej kultury narodowej może być tylko zbawienny. Narastający pogląd, że wysiłkiem całego świata należy odbudowywać z ruin i zgliszcz zniszczone ośrodki kultury europejskiej, najbardziej dotknięty wojną naród wita z największą radością i nadzieją.

M. PAWLIKOWSKA

STARY OLEJNY OBRAZ

Święty Sebastjan:
Cel dla łuczników — pogan...
Czyli młodość ofiarna, niebiańsko wierząca
W hasło i slogan.

Święty Sebastjan:
Strzała w młodzieńczem ramieniu —
Strzała w pasie —
Jeszcze jedna w smukłem kolanie —
Jeszcze jedna w omdlałej ręce —
Podczas gdy oczy, gasnąc, patrzą ku ojczyźnie,

Jak w głębię nieba.

Aż w serce które nie zna trwogi,
Z drżeniem padła ostatnia strzała.

Święty Sebastjanie, przebacz!
Nie ja, nie ja tego chciałam...

PORUCZNIK HERBERT

SARAT WRACA

Kartka Czerwonego Krzyża z oflagu od Górala i depesza od Sarata z Gibraltaru nadeszły jednego dnia.

Góral pisał:

„*Zestrzelili nas w drodze powrotnej znad Berlina, w północnej Francji. Wszyscy zdrowi, czekamy końca wojny. Nie wiemy, co się stało z nawigatorem. Mam trzech spośród naszych do bridge'a i czas jakoś mija. Jeżeli będziecie przysyłali paczki, a zwłaszcza papierosy, to wytrzymam. Pocieszcie Lucy, tylko nie za gorliwie! Piszę do niej, ale dajcie jej znać, że i do Was pisałem. Wszystkich Was pozdrawiam serdecznie. Do zobaczenia !* *Góral*".

Właśnie zaczęliśmy się zastanawiać, kto w tej załodze był nawigatorem — (jakże krótka jest pamięć o zdarzeniach, gdy idą jedne za drugimi, wstrząsając nami, rzucając groźne cienie jak od czarnych chmur przepływających nad nami, zalewając nas jak fale u brzegu, potrącając nas jak brutalni ludzie którym się śpieszy, mijając nas w pędzie jak samochody prowadzone przez pijanych nieprzytomnych kierowców, osuwając się dokoła nas jak lawiny — o zdarzeniach, piętrzących się za nami jedne na drugich, że nie sposób rozeznać ich szczegółów, utrwalić wrażenia, uporządkować je w czasie i przestrzeni!) — zaczęliśmy przypominać sobie nawzajem tę wyprawę na Berlin, ostatnią, w której Góral brał udział, gdy nadeszła krótka depesza z Gibraltaru, adresowana bezimiennie „Do Dowódcy polskiego dywizjonu bombowego Nr....":

„*Nie sprzedawać mego samochodu. Wracam w tych dniach. Sarat*".

Ubawiła nas tej treści pierwsza wiadomość od Sarata, i—naturalnie— przypomnieliśmy sobie zaraz, że to on właśnie był nawigatorem Górala w ostatnim locie na Berlin.

Nie urządziliśmy jeszcze sprzedaży z licytacji rzeczy tej zaginionej załogi (robi się to bowiem raz na parę miesięcy — hurtem), co zaś do samochodu, to i tak nikt by go nie kupił: był to stary grat, który złośliwie psuł się Saratowi raz po raz, przeważnie w nocy i przeważnie daleko od jakiegokolwiek garażu. Można było tę „Złotą Strzałę" spokojnie zostawić przez tydzień na szosie i z pewnością nikt by jej sobie nie przywłaszczył; co najwyżej policja odszukałaby w końcu właściciela i ukarałaby go w drodze administracyjnej grzywną za brak świateł na postoju w nocy. Ale Sarat bardzo się do tego archaicznego pojazdu przywiązał i pierwszą jego troską było, czy go zastanie w garażu gdy wróci.

Zawiadomiliśmy „Lordównę" o dobrych nowinach, wcale nie licząc na to by Sarat tak prędko z Gibraltaru przyjechał. Lucy miała już wiadomość od Górala, o Saracie zaś wiedziała więcej niż my: w trzy dni później zobaczyłem jej szary roadster stojący przed kasynem i ją samą w otoczeniu kilku kolegów w pokoju dla pań.

— Sarat wrócił — powiedziała, witając się ze mną. — Będzie tu za godzinę. I am so happy!

* * *

Siedział naprzeciw nas, wyciągnąwszy prawą nogę w szynie daleko w przód, i mówił, zacinając się czasem lekko gdy zwracał się do Lucy, by wtrącić objaśniające zdanie po angielsku.

— Ja rozumiem — zapewniała go z uśmiechem. — Niech pan mówi po polsku. Ja wszystko rozumiem.

Wtedy spoglądał dokoła po naszych twarzach i sam się uśmiechał, ale ten uśmiech nie odbijał mu się w oczach: oczy miał jakby przesycone cierpieniem, głębsze, jeszcze czarniejsze niż dawniej. Czasem przerywał wpół zdania i spoglądał nagle, jakby z niepokojem, w stronę drzwi. Potem przygryzał wargi i — pochylając głowę — kończył zdanie, lub zaczynał inne, porzucając, czy też gubiąc myśl poprzednią.

Zauważyłem, że jego czarną, gęstą czuprynę przyprószyła siwizna. Rysy pięknej męskiej twarzy wyostrzyły się, pionowa zmarszczka między brwiami pogłębiła się jeszcze, a sieć błękitnych żyłek na skroniach występowała wyraźnie w świetle stojącej za nim lampy. Zawsze był szczupły choć silny: kości miał cienkie, długie, mocne ścięgna i zwarte mięśnie; teraz wysechł na drzazgę — mundur wisiał na nim jak na wysokim drewnianym krzyżu.

Mimo to nie wzbudzał bynajmniej politowania. Przeciwnie — jego wzrok, chwilami niespokojny, te nagłe przerwy w opowiadaniu, ta sztywna noga ze stopą w gipsie, nawet ten uśmiech, który wybiegał tylko na cienkie wargi pozostawiając resztę twarzy w mroku — czyniły wrażenie czegoś bardzo mocnego, częgoś — powiedziałbym — wielkiego; wynosiły Sarata ponad nasz poziom; ponad poziom tego, co mówił o sobie. Kazały się domyślać takiej siły, zdolności do takiego napięcia woli, o jakich nie można by sądzić na podstawie samych tylko słów tej opowieści, której słuchaliśmy przecież z zapartym tchem i którą czuliśmy się przejęci głęboko.

— Więc Góral umówił się z nami, że zbombardujamy gmach kanclerski Hitlera — powiedział Sarat, wracając do wątku, który mu przerwano pytaniem o jakiś szczegół. — Załoga się zgodziła i sierżant Ratajczak miał znaleźć ten cel, bo znał Berlin równie dobrze, jak dajmy na to ja znam Warszawę. Naturalnie nie podjąłbym się zbombardować na przykład gmachu Gestapo w Alei Szucha z wysokości dwudziestu tysięcy stóp, w nocy, kiedy Warszawa jest nieoświetlona; ale z dwóch-trzech tysięcy — — myślę, że trafiłbym. No i właśnie zeszliśmy na trzy tysiące nad Berlinem...

— Zeszliście na trzy tysiące?!... — powtórzył ktoś z niedowierzaniem i podziwem. — Jak?!!

— Ratajczak się przymierzył od jakiegoś tam przedmieścia, które paliło się jak cholera i poszliśmy piką w dół.

Zygmunt trącił mnie łokciem.

— Zwariowali — powiedział, wzruszając ramionami i marszcząc brwi.

— No i — co? — spytał Lejba.

— Bardzo dobrze wycyrklował — rzekł Sarat. — Bałem się, że przy wychodzeniu z tej piki urwie nam bomby, albo nie wytrzymają skrzydła, ale wytrzymały i jedne i drugie. Góral wyrównał nad jakąś szeroką ulicą, która płonęła po obu stronach. Nikt do nas nie strzelał, choć nurkując przechodziliśmy kilka razy przez reflektory. Nie złapali nas w stożek i albo nas w ogóle nie dostrzegli, albo uważali nas za wykończonych. Nigdy nie byłem tak nisko nad celem jak wtedy. To robi wrażenie... Szliśmy przez dym, jak przez chmury, rzucani podmuchami wybuchających bomb, które padały to tu, to tam, niemal wprost na naszym szlaku. Nad nami — rozumiecie? — były inne maszyny. To było strasznie denerwujące: mogliśmy zderzyć się z taką baryłką w powietrzu; mogła nas trafić po drodze... Rzucało także od słupów nierówno nagrzanego powietrza, które kotłowało się nad Berlinem jak lotny ukrop. Niewidzialne, potężne gejzery rwały w górę; poskręcane, pionowo płynące strumienie podrywały nas, zmiatały nas ze swej drogi, niosły nas w prądzie i zatapiały w wirach. A my... My — uparliśmy się dolecieć nad cel. Chwilami zdawało mi się, że lecimy przez piekło, po którym tańczą oszalałe zgraje diabłów, czarownic, czy innych potępieńców — tańczą i potrącają nas, spychają nas z drogi, wciągają w ten cwałujący taniec bez rytmu, porywają ze sobą na zatracenie. Wtem zeszliśmy znad obszaru objętego ogniem i Ratajczak powiedział, że cel jest wprost przed nami. — „Tylko flara by się przydała, panie kapitanie — powiada — bo ciemno, nieprawdaż, a szkoda żebyśmy teraz goala nie strzelili, jak już tu jesteśmy”. Rzuciliśmy flarę, jedną i drugą. Wtedy zaczęli do nas grzać — no! Myślałem, że to koniec z nami. Ale cel był tuż: wchodził mi właśnie na celownik. — „Ten dom z okrągłym podjazdem?”—pytam.—„Ten—mówi. — Drugi od rogu; jak te trawniki — o! Teraz, panie kapitanie, teraz!” Położyłem całą serię bomb, ileśmy ich mieli. Nie widziałem, gdzie padły, ale strzelcy narobili wrzasku, że „w celu”. Góral dał tymczasem pełny gaz, i rwaliśmy w skrętach, coraz niżej, bo nie było sensu pchać się do góry: na dwa tysiące, czy na pięć — jednakowo nas mogli zdjąć. Do dziś nie wiem, jakim cudem wymknęliśmy się reflektorom i artylerii; chyba połowa obrony przeciwlotniczej Berlina uwzięła się, żeby nas wykończyć. Ze wszystkich stron pochylały się ku nam reflektory; ze wszystkich stron pędziły na nasze spotkanie świecące koraliki pocisków, jak bańki gazu w szampanie; co kilka sekund stawały przed nami zapory ogniowe — a my lecieliśmy jeszcze i jeszcze; żyliśmy, wymykaliśmy się, kluczyliśmy przez ten gąszcz śmierci, wsłuchani w warkot silników i w grzechot odłamków, które strzępiły nam skrzydła i stery, napięci w oczekiwaniu nieuniknionego — zdawałoby się — końca, gdy wreszcie jeden z owych tysięcy pocisków rozwali maszynę w kawały. Nic podobnego nie nastąpiło. Nikt nie był nawet draśnięty. Może tylko dzięki temu wytrzymałem nerwowo tych kilka minut i nie zacząłem krzyczeć, szlochać, czy śmiać się, jak na to miałem ochotę. Jestem przekonany, że gdyby kto z nas jęknął, odezwał się, gdyby coś się stało komukolwiek albo gdyby jeden z silników przerwał — cała załoga dostałaby ataku histerii. Wyszliśmy spod obstrzału daleko poza Berlinem i Góral dopiero wtedy zaczął nabierać wysokości, ja zaś dopiero wtedy zauważyłem, że lecimy na zachód z lekkim odchyleniem ku południu, kursem 240°. Musiało minąć z pół godziny od chwili zrzucenia bomb, gdy zidentyfikowaliśmy

Elbę, gdzieś na południe od Magdeburga. Wtedy dopiero zaczęliśmy rozmawiać i Góral powiedział, że spada mu ciśnienie smaru...

Sarat przerwał nagle i zwrócił się do Lucy:

— Do you know, what it means?

— Yes, I know — powiedziała cicho. — Continue.

Więc mówił dalej, rozważnie dobierając słowa, jakby się wystrzegał by nie przesadzać; jakby to, że mówił o sobie, czy o swojej załodze krępowało wrodzoną mu żarliwość opowiadania i plastykę opisu.

Dla nas, którzy znamy takie przejścia z własnych doświadczeń, z własnych niepokojów, z odpartych przez każdego z nas szturmów strachu, przerażenia, czy nawet rozpaczy — dla nas fakt zawarty w tych kilku słowach „spada ciśnienie smaru" — ma zupełnie inną wymowę, niż dla ludzi, którzy tego nie przeszli.

Nawet teraz, gdy piszę te słowa, wyrastają one z tekstu jak coś, w czym mieści się groźba, niebezpieczeństwo, utajona zawierucha fatalnych zdarzeń, których nie można przewidzieć, nie można objąć myślą, ale które przeczuwa się, o których się wie, że nabrzmiewają, zbliżają się, zawisają nad nami.

„Spada ciśnienie smaru"... Nad Elbą, w samym środku Niemiec, o setki mil od Anglii, w nocy, na wysokości kilku czy kilkunastu tysięcy stóp. Na jak długo starczy tego smaru, który zapewne wycieka przez uszkodzony przewód lub z przestrzelonego zbiornika? Czy można będzie dolecieć do Francji? Czy tylko do Belgii albo do Holandii? Kiedy zatrą się silniki? Kiedy zwolnią, a potem staną rozpędzone łopaty śmigieł i cisza poświstująca pędem wedrze się do gondoli samolotu?

„Spada ciśnienie smaru"... Nie dolecisz do bazy. Szczęknie odwracana wieżyczka tylnego strzelca; przedni przeciśnie się ku włazowi w pokładzie i otworzy klapę; gondola napełni się zimnym wichrem i załoga kolejno będzie skakać w ślad za tylnym strzelcem, który opada już ku ziemi, daleko za ogonem samolotu, zagubiony w mroku, sam — sam jeden! I ty będziesz sam. Zupełnie sam.

„Spada ciśnienie smaru"... Coś przecina wstęgę dni i spraw, wśród których żyłeś. Coś odgradza cię od wszystkiego ścianą nie do ominięcia, nie do przebicia, za którą pozostaną: dziewczyna, która na ciebie czeka, zaczęta książka, list, który miałeś jutro napisać, niedokończona rozmowa i wszystko, *wszystko*!, co było do tej chwili — urwane nagle, dalekie, nieosiągalne — przepadłe na lata, albo na zawsze. Przed tobą jest noc i ponury świt w obcych, nowych, straszliwie nowych warunkach: w niewoli. Wszystko o czym myślałeś, wszystko o czym marzyłeś, wszystko coś miał — zostało tam, daleko. Ze sobą zabierasz może tylko tęsknotę do tego, co już przedtem zostawiłeś w Polsce. Tęsknotę stokroć teraz większą, gorszą, trudniejszą do zniesienia.

Na to czekasz, usłyszawszy słowa: „Spada ciśnienie smaru"... Jak długo trzeba będzie czekać: godzinę? pół godziny? może dwie? — nie wiesz. I — nic na to nie można poradzić: tak być musi!

Sarat nie mówił o tym wszystkim. Zwracając się do Lucy zapytał tylko: — „Czy pani rozumie, co to znaczy?" — i można było przypuszczać, że chodzi mu wyłącznie o angielskie znaczenie słów „spadek ciśnienia smaru".

Nie wracał już zresztą do tego, podobnie, jak nie starał się uprzytomnić Lucy znaczenia innych wypadków i innych słów, skąpych, odmierzanych na nasz użytek, a zawierających przecież treść nam tylko znaną do głębi.

Mówił o tym, jak zdecydowali się przebyć największą część drogi nad lądem, aby uniknąć przymusowego wodowania na Morzu Północnym. Jak przelecieli na południe od Zagłębia Ruhry i minęli Ren, ostrzeliwani wielokroć przez artylerię niemiecką. Jak wyszli na Liège, a stamtąd wzięli kurs na Calais.

Tu, już nad departamentem Nord we Francji, zaatakował ich myśliwiec niemiecki. Pierwsze jego serie zapaliły prawy silnik, po czym lewy bądź zatarł się z braku smaru, bądź został również uszkodzony.

Załoga wyskoczyła. Sarat skakał przed Góralem, jako czwarty.

— I na tym się kończy to, co wiedziałem o nich wszystkich przez tych parę miesięcy — powiedział do Lucy po angielsku. — Bardzo byłem o nich niespokojny...

— A oni sobie w bridge'a pogrywają — odezwał się ktoś głupio.

Sarat nie od razu zrozumiał:

— Kto — w bridge'a? Przecież oni...oni są tam.

Źrenice rozszerzyły mu się, jakby w przestrachu. Przygarbił się, skulił ramiona i nagle spojrzał szybko w stronę Lucy. Oczy ich spotkały się na ułamek sekundy i uciekły od siebie spłoszone. Mięśnie Sarata, napięte przez chwilę, zwolniały. Coś, jak błysk przypomnienia, przemknęło po zmarszczonym czole, przewinęło się po ustach jak jakieś słowo pomyślane i omal nie wymówione, zatrzymało się w drgnieniu szczupłej ręki o długich, nerwowych palcach.

Uśmiechnął się znowu samymi wargami i nagle powiedział:

— Ach, naturalnie: grają. To tylko ja tak się bałem... To jest: mnie się udało, a oni...

Przerwał, pochylił się w przód, jakby czegoś wypatrywał na dywanie zaścielającym podłogę przed kominkiem i nie podnosząc wzroku, opowiadał dalej, już tylko o sobie.

Sprawdził klamry spadochronu i rzucił się w czarną przepaść, huczącą wichrem, zwinięty w kłąb, z kolanami pod brodą i rękami skrzyżowanymi na piersiach, trzymając kurczowo rękojeść zwalniacza, żeby mu się gdzie nie przesunęła.

Natychmiast po skoku doznał uczucia gwałtownego pędu w górę: tęgi, zwarty opływ powietrza, jak elastyczny hamak podłożył mu się pod plecy i obejmował go coraz silniej w miarę wzrastającego przyśpieszenia. To uczucie nie ustępowało jeszcze przez parę sekund po szarpnięciu zwalniacza. Przez parę długich sekund, które potęgowały do kwadratu i sześcianu początkową niewielką sumę niepewności i obawy: czy spadochron rozwinie się prawidłowo?...

Zadarłszy głowę, usiłował zobaczyć, co się dzieje powyżej, za jego plecami, i właśnie dostrzegł w ciemności bladą smugę wywleczonych linek, gdy przyhamowało go i odwróciło nagle twarzą ku ziemi, czarniejszej niż niebo ponad nim. Pęd zwalniał, rozwiał się, uciekł — i Sarat uświadomił sobie, że siedzi w dobrze dopasowanej uprzęży, zawieszony—jak mu się wydało — nieruchomo w samym środku nocy, między niebem a ziemią. Wydało mu się także, iż do tej ziemi jest chyba równie daleko, jak do gwiazd, które teraz widział poza obrębem wydętej czaszy spadochronu nad głową.

Mylił się jednak: ziemia była blisko. Ciemność pod nim zgęstniała raptem, i zanim zdążył podciągnąć się na linkach, aby złagodzić lądowanie, już zderzył się z nią gwałtownie, jak brutalnie rzucona kłoda.

Chciał się zerwać natychmiast, chciał biec, uciekać nie wiadomo dokąd, ale był tak słaby, że zaledwie z trudem powstał. Pierwsze stąpnięcie powaliło go zresztą z powrotem na ziemię: rwący, głęboki ból w stopie obezwładnił go całkowicie, przenikając nagle przez cały układ nerwowy aż do mózgu,jak prąd elektryczny. Myśl spięta tym prądem błysnęła jasno i ostro:

— Złamałem nogę!

Poczuł krople potu na czole, duszność i mdłości. Coś, jak szpony, wpiło mu się pod żebra, sięgnęło do trzewi, do płuc, pod gardło.

Kto inny na jego miejscu pomyślałby chyba, że umiera. Ale Sarat powiedział:

— Pomyślałem, że trzeba działać spokojnie i systematycznie: musiałem, rozumiecie, odpocząć, bo się trochę zdenerwowałem.

Odpoczywał więc, powoli odpinając i zwijając spadochron, a wreszcie wstał znowu i zaczął próbować: jak stąpać, żeby najmniej bolało. Doszedł

do wniosku, że ma pękniętą kość pomiędzy wielkim palcem a stawem stopy, i — kusztykając na pięcie — powlókł się polami w stronę zarośli, które czerniały na pagórku, widocznym na tle nieba.

Nie myślał, co będzie dalej, nie miał żadnego planu, nie powziął żadnego postanowienia. Szedł tam, instynktownie szukając ukrycia, jak ranne zwierzę, tropione przez psy. Chciał zaszyć się w krzaki, nie widzieć otwartej przestrzeni, która wydawała mu się teraz wroga i niebezpieczna. Chciał mieć dokoła siebie, blisko, gałęzie i drzewa, żeby tam, wśród nich chociaż przez chwilę mieć złudzenie, że nie wypatrzą go natychmiast, że to, co ma nastąpić, odwlecze się na godzinę, na pół godziny, na wtedy gdy będzie silniejszy, gdy będzie w stanie myśleć, rozumować, bronić się. — Jak? — Czym? — W jaki sposób i poco? — nie wiedział. Kierował nim instynkt; silniejszy niż ból, silniejszy niż on sam. Instynkt: to, co pozostaje w człowieku pobitym, obezwładnionym, skazanym nieodwołalnie na klęskę; w człowieku, któremu odebrano możność walki i wszelką nadzieję ucieczki; w człowieku osaczonym, samotnym i w dodatku — rannym.

Wlókł się przez jakieś warzywniki, rżyska i role, jęcząc z bólu, ze wzrokiem utkwionym w owe zarośla, i wspinał się pod górę, jakby tam rzeczywiście czekało go bezpieczne schronienie. To był jedyny cel; to było tymczasem wszystko, czego chciał: dostać się tam; tam usiąść.

Dopiero gdy wchodził między drzewa i krzaki, pomyślał:

— Wyłamię sobie kij: będę się mógł podpierać, idąc jutro dalej.

I wtedy nagle zdał sobie sprawę z całej beznadziejności tego zamiaru. — Jutro? — Przeraźliwie jasno uświadomił sobie w skrócie, gdzie jest i co się dzieje lub co się zacznie dziać lada chwila: departament Nord; Francja; garnizony niemieckie, policja, żandarmeria, telegraf, telefon, motocykle i samochody, patrole, poszukiwania; „jeden z członków załogi polskiego Wellingtona jest w tej okolicy".

Zwinięta płachta spadochronu wyśliznęła mu się z rąk. Popatrzył na rozpełzły ślisko tłomok jedwabiu, bielejący u jego stóp i — ostatecznie wyczerpany — osunął się na ziemię.

* * *

Nie umiałby powiedzieć, czy spał. W każdym razie — nie myślał przez resztę tej nocy, a pierwszym bodźcem zewnętrznym, który wyrwał go ze stanu odrętwienia, był ryk krów i szczekanie psa. Wtedy stwierdził, że jest widno i — zimno. Zaraz potem usłyszał głos i rozpoznał słowa francuskie, jakkolwiek po francusku mówił słabo. To chłopak gnający krowy nawoływał psa i przemawiał do jakiejś Petronelle. Petronelle odpowiedziała przeciągłym rykiem i omal nie nadepnęła na Sarata, a pies zaczął ujadać i warczeć w sposób wyraźnie wrogi.

Wtedy ukazał się chłopak. Dostrzegł obcego i stanął jak wryty z otwartymi ustami.

Sarat od razu przystąpił do rzeczy i wyjaśnił, skąd się tu wziął. Ale tamten zdawał się nie rozumieć. Stał i gapił się, nic nie mówiąc.

— Pomóż mi — powtórzył Sarat, jak mógł najwyraźniej — Potrzebne mi jest ubranie. Cywilne ubranie, rozumiesz?

Chłopiec obejrzał się. Od strony drogi, z tyłu słychać było turkot wolno jadącego wozu.

— Ja nie mogę — powiedział nagle. — Tu są Niemcy. Wszędzie są Niemcy...

Sarat spojrzał również ku drodze i zobaczył dwukołowy wóz chłopski w jednego konia.

— Kto to jedzie? — spytał z niepokojem.

— Madame Carotte, wdowa po mleczarzu. Bonjour, madame Carotte! — zawołał postępując ku drodze i oglądając się niepewnie, czy człowiek z krzaków go nie ściga.

— Bonjour, Pierre — odrzekł gruby, prawie męski głos. — Qui est là?

Wóz stanął, Sarat zaś podniósł się i rozchylił gałęzie. Tęga, rumiana kobieta w słomkowym kapeluszu na ciasno zwiniętych szpakowatych włosach wychylała się z siedzenia i przyglądała mu się bacznie.

— Kto to jest? — zwróciła się znów do chłopca.

— Bo ja wiem? Tu leżał w krzakach. Mówi, że jest lotnikiem. Że Niemcy go zestrzelili. Ubranie chciał ode mnie kupić, ale przecie ja nie mam ubrania na sprzedaż, więc...

Madame Carotte żwawo zeskoczyła z wozu i — rozejrzawszy się na wszystkie strony — podeszła bliżej.

— Pan jest angielskim lotnikiem?

Sarat powiedział, że jest Polakiem i że służy w polskim dywizjonie bombowym w Wielkiej Brytanii. Ofiarowywał pieniądze i swój piękny skórzany kombinezon wzamian za stare ubranie, którego by mu dostarczono.

Ale wdowa po mleczarzu nie chciała o tym słyszeć:

— Nie, nie! Mon Dieu — to grozi rozstrzelaniem... Rozumie pan? Fusillement!... Nie mogę. Niech pan stąd odejdzie. U nas we wsi są Niemcy. U mnie w domu. Niech pan stąd idzie!

— W mundurze? — zapytał Sarat. — To już najlepiej pójdę wprost do pani domu.

Przeraziła się.

— Co?! Dlaczego do mnie?! Ja pana nie znam. Ja nic nie wiem. Ja...

Bezradnie dreptała w miejscu, nie mogąc zdecydować się by odejść, a widocznie obawiając się pozostawać tu dłużej oko w oko z tym niebezpiecznym człowiekiem, który mógł ściągnąć nieszczęście na jej głowę.

— Więc dobrze — powiedziała wreszcie. — Przyślę panu ubranie. Ale to, co pan ma na sobie, trzeba ukryć i — — Bon Dieu! Spadochron! Tego tylko jeszcze brakowało...

Sarat spojrzał z uśmiechem na bielejącą poza nim płachtę.

— I am sorry... — zaczął. — Je vous demande pardon — poprawił się swoją niezgrabną francuszczyzną; — widzi pani: skacząc bez spadochronu, bardzo łatwo można się zabić...

Veuve Carotte nie zareagowała na tę subtelną ironię. Postanowiła działać, i to działać szybko. Siadając na wóz, wydawała ostatnie polecenia, jak dowódca swoim podkomendnym:

— Niech pan zawinie w to parę kamieni i dobrze zwiąże. Pierre, zabierzesz ten pakunek i wrzucisz do rzeki pod tamtym brzegiem. Tylko żeby nikt nie widział. I — ani słowa, rozumiesz? Ja tu zaraz przyślę dziewczynę z ubraniem i coś do jedzenia. Więcej nic dla pana nie możemy zrobić.

Sarat odpowiedział, że o nic więcej nie prosi i że bardzo, bardzo dziękuje.

— I tak się zaczęła moja wędrówka — mówił teraz wolno, podnosząc wzrok od dywanu i spoglądając po naszych twarzach. — Długa, bolesna wędrówka ze złamaną stopą, która za każdym krokiem zdawała się pękać na nowo. Postanowiłem, że nie dam się schwytać Niemcom; że wrócę do Anglii, bo...

Urwał nagle, jakby powstrzymując się w ostatniej chwili od wyjawienia wobec nas — dlaczego powziął to postanowienie. Wobec nas, czy może tylko wobec Lucy?...

W jego zachowaniu się, w jego sposobie opowiadania, w tych niedokończonych zdaniach, w ucieczkach jego wzroku przed jej wzrokiem było coś dziwnego. Coś, czego nie mogłem zrozumieć. Coś, jakby obawa, żeby nie powiedzieć za wiele o własnych myślach; o tym, co działo się w nim samym. Jakby chęć ograniczenia tej opowieści do zdarzeń i faktów zewnętrznych, bez ukazywania pobudek i doznań, myśli, wahań, walk,

upadków i wysiłków, a przede wszystkim tego wewnętrznego nakazu woli, któremu zawdzięczał, że wrócił.

Kilkakrotnie podkreślał, że „miał szczęście". Widocznie chciał ją przekonać, że okoliczności składały się dla niego szczególnie pomyślnie, czemu zresztą przeczyły fakty, które podawał później. Może sam myślał, że Góral zbyt łatwo, bez walki, bez próby ucieczki poddał się swemu losowi i — być może — nie chciał, aby Lucy też tak o Góralu myślała. A może po prostu poczucie solidarności z załogą krępowało go wobec nas? Oni zostali, bo nie mieli szczęścia: zapewne schwytano ich natychmiast po lądowaniu. Nie nadarzyła im się żadna sposobność; los nie dał im żadnej szansy, nawet tak niewielkiej jak jemu. On — wrócił i trochę wstydził się tego szczęścia, którego reszta załogi mogła mu zazdrościć.

Mówił tak, jakby się usprawiedliwiał że tu jest z nami, a jednocześnie — jakby chciał usprawiedliwić Górala, że wrócić nie zdołał.

Obaj pochodzili z gór. Góral — spod Nowego Targu; Sarat, lub raczej jego przodkowie, gdzieś z południa Europy — z Gruzji, z Czarnogórza, czy może z Kaukazu. Obaj zapewne ponad wszystko cenili wolność. Obaj wybraliby największe niebezpieczeństwo, podjęliby największe ryzyko, aby uniknąć niewoli. Sarat miał możność takiego wyboru; Góral — nie. Ale Sarat nie chciał również, aby Lucy uświadomiła sobie w pełni, czym jest niewola dla Górala; czym byłaby dla niego samego. Dlatego zapewne pozostawił bez komentarzy powiedzienie któregoś z kolegów, że tamci w niewoli „pogrywają sobie w bridge'a", choć zgoła inaczej o tej niewoli myślał, choć bał się jej bardziej niż śmierci, choć wytrzymał to wszystko, byle jej uniknąć, zdobywając się na wysiłek niemal nadludzki i — inaczej — zupełnie niezrozumiały...

Szedł przez wiele dni drogami na południowy zachód, nocując najczęściej pod gołym niebem, bo mało kto zgadzał się przyjąć go pod swój dach. Wobec Niemców udawał Francuza, inwalidę wojennego niespełna rozumu, powracającego do domu. Ale za słabo władał francuskim, aby to stosować wobec policji miejscowej. Nie miał żadnych dokumentów, więc unikał miast, ale w końcu musiał do jakiegoś miasta wstąpić, bo stopa siniała, puchła i dokuczała mu straszliwie.

Na małej stacyjce wsiadł do pociągu. Na próżno szukał przedziału, w którym nie byłoby Niemców, i w końcu musiał zająć jedyne wolne miejsce obok dwóch żołnierzy niemieckich rozpartych niedbale między stłoczonymi cywilami. Starał się nie zwracać na siebie uwagi i udawał że drzemie, myśląc przy tym, co odpowie jeśli ktokolwiek z rozmownych Francuzów o coś go zagadnie. Układał sobie francuskie zdania i z niepokojem zauważył, że wciskają się do nich wyrazy angielskie. Nawet krótkie „przepraszam" i „dziękuję", nawet „tak" i „nie" podsuwały mu się po angielsku. Każde z tych słów mogło go zdradzić, nie mówiąc już o cudzoziemskim akcencie jego słabej francuszczyzny. Postanowił więc milczeć, a odzywać się tylko w ostateczności, udając na pół głuchego.

Żołnierze rozmawiali o minionych „dobrych czasach" i o obecnych działaniach lotnictwa Sprzymierzonych nad Niemcami i nad Francją. Kilkakrotnie wspominali o Polsce, gdzie im się tak dobrze powodziło; gdzie tyle mieli jedzenia...

— Teraz tam jest bardzo niebezpiecznie — powiedział jeden z nich. — Ci przeklęci Polacy zabijają spokojnych Niemców. Zwłaszcza urzędników, i to najlepszych ludzi Führera...

Sarat dojechał na miejsce, szczęśliwie uniknąwszy rozmowy, wysiadł i — wyszedłszy z dworca — nie wiedział, co począć. Był głodny, zmęczony, obolały, przemarznięty. Miał bardzo niewiele pieniędzy i nie mógł sobie pozwolić na obiad. W jakiejś kawiarni wypił szklankę mętnej, zjełczałej kawy i rozgrzał się trochę, a potem zapytał usługującą dziewczynę, gdzie mógłby znaleźć lekarza.

Wzruszyła ramionami:

— W szpitalu. Szpital jest na Rue de la République.

Poszedł tam, dopytując się o drogę. Ale szpital był zajęty przez Niemców. Zawrócił więc sprzed wejścia i włóczył się po ulicach, szukając lekarza prywatnego.

Na drzwiach jakiegoś domu znalazł wreszcie mosiężną tabliczkę:

„*Dr. R... Przyjmuje od czwartej do ósmej*".

Wszedł na schody, zadzwonił. Otworzyła mu pokojówka w białym czepeczku i w kokieteryjnym fartuszku z koronką. Czysta, elegancka, nieomal — wykwintna.

— Pan ma zamówioną wizytę?

Powiedział, że nie, ona zaś spoglądała na niego podejrzliwie i wyniośle.

— Pan doktór musi mnie przyjąć — oświadczył, pokonując onieśmielenie i upokorzenie. — Mam złamaną kość w stopie. Proszę mnie zameldować.

Lekarz rozmawiał z nim niechętnie. Nie chciał w ogóle zbadać tej jego stopy:

— Niech pan idzie do szpitala.

Sarat zdecydował się. Powiedział kim jest i dlaczego tu przyszedł. Ale to wywołało jeszcze większą niechęć doktora:

— Mój panie, cóż ja na to poradzę? Nogę trzeba prześwietlić, unieruchomić kość, no i — musi pan leżeć. Od tego jest szpital...

Drzwi zamknęły się za Saratem. Od wewnątrz zachrobotał łańcuch. Doktór mówił poirytowanym głosem do pokojówki:

— ... i proszę takich pacjentów nie wpuszczać! Jeszcze mi tu policję albo Gestapo ściągnie.

Na dworze padał deszcz ze śniegiem. Zimny wiatr hulał po wyludnionych ulicach. Sarat szedł utykając i nie wiedział, co ma począć dalej.

Trzeba było gdzieś przenocować. Myślał o tym niemal z rozpaczą, spoglądając na światła zapalające się w oknach domów i natychmiast przysłaniane czarnymi storami. Zobaczył policjanta, więc skręcił w jakąś przecznicę i niespodzianie natknął się na wojskowy patrol niemiecki. Omal nie rzucił się do ucieczki.

Ból w nodze zreflektował go. Minął żołnierzy, którzy zresztą nie zwrócili na niego uwagi, i szedł dalej, coraz wolniej, coraz bardziej zrezygnowany, coraz dotkliwiej odczuwając swe osamotnienie i beznadziejność tej pieszej wędrówki ze złamaną stopą.

Marzył o łóżku, o czystej pościeli, o ciepłej wannie i odpoczynku pod dachem, wśród czterech ścian, w przyjaznym otoczeniu domowych sprzętów, gdzie choć przez jedną noc mógłby się czuć bezpieczny.

Z uporem czepiał się myśli, że przecież ktoś mu wreszcie pomoże. Że zdoła otrzymać jakieś dokumenty, że znajdzie jakiś przytułek i będzie mógł podleczyć tę nogę, która teraz, poowijana szmatami, puchła potwornie i sprawiała mu niewypowiedziane cierpienia.

Przystawał, spoglądał na nią bezradnie, i — gnany obawą, że zwraca uwagę policji lub niemieckich patroli—wlókł się dalej. Wiedział, że w mieście obowiązuje godzina policyjna. Wiedział, że musi spędzić noc w ukryciu, i daremnie szukał, rozglądał się, błądził, aby wśród obcych ulic i domów znaleźć schronienie do rana.

Wreszcie na rogu jakiegoś placu w zapadającym zmroku zauważył znak Czerwonego Krzyża wymalowany w oknach pierwszego piętra. Przekonawszy się, że jest to Czerwony Krzyż francuski, postanowił tam pójść.

W korytarzu spotkał młodą pannę, która właśnie szła ku wyjściu. Gdy zwrócił się do niej o pomoc i powiedział o co mu chodzi — zaprowadziła go do siostry dyżurnej, bardzo przejęta jego losem. Od razu nabrał do niej zaufania i pozbył się natychmiast tego onieśmielenia, które ogarniało go teraz szczególnie wobec młodych, czysto ubranych kobiet.

Siedząc w wygodnym fotelu, odpowiadał na pytania ich obu, nie wyjawiając jeszcze, kim jest naprawdę. Mówił, że był w niewoli i że go zwolniono. Że wędruje do krewnych w południowej Francji. Że stracił wszelkie dokumenty, a jako Polak woli unikać spotkania z policją lub z władzami niemieckimi.

Nie spodziewał się wcale, że to ostatnie wyznanie może go zgubić. Zauważył wprawdzie, że kobiety wymieniły między sobą szybkie spojrzenie, ale przypisał to obudzonemu ich współczuciu. Dopiero gdy starsza, siwiejąca już, siostra dyżurna zapytała chłodno, czy rzeczywiście nie mógłby wylegitymować się wobec władz niemieckich — pojął, że nie może liczyć na daleko idącą pomoc z jej strony.

Instynktownie zwrócił się do młodszej, szukając u niej poparcia. Mówił teraz gorączkowo, śpiesznie, by mu nie przerwano zanim zdoła przedstawić swoje rozpaczliwe położenie. Prosił o przytułek. Bodaj o nocleg. Ona zaś zdawała się być wzruszona i — jakby szukała w myśli sposobu, jak spełnić tę prośbę.

Wtedy starsza pochyliła się ku niej i zaczęła coś mówić szeptem. Potem wstała.

— Dam panu kupony do jadłodajni — powiedziała, idąc ku drzwiom. — A co się tyczy noclegu...

— Mais non, mais non, Suzanne! — zawołała za nią młodsza. — Nie można tak...

Zawahała się jakby, wstała szybko i wybiegła za tamtą.

Sarat jeszcze nie zupełnie rozumiał, o co im chodzi, ale obudzony instynkt ostrzegł go o niebezpieczeństwie: nie można było ufać tej drugiej kobiecie.

Zbliżył się do drzwi nasłuchiwał. Z sąsiedniego pokoju dochodziły podniecone głosy. Po chwili — jak mu się zdawało — siostra dyżurna zaczęła rozmawiać z kimś przez telefon. To zaniepokoiło go tak dalece, że wymknął się na korytarz.

Nie zdążył jeszcze domknąć pocichu drzwi, gdy następne otworzyły się gwałtownie. Dziewczyna, którą tu spotkał wchodząc, chwyciła go za rękaw.

Szarpnął się w tył, zaskoczony. Ale ona powiedziała prędko:

— Niech pan stąd idzie. Niech pan ucieka, tędy!

Wskazała mu drogę do innej klatki schodowej.

— I niech pan to weźmie — sięgnęła do torebki.

Poczuł, że wciska mu w dłoń pieniądze.

— Prędko, prędko — nagliła, gdy się zawahał. — Tu przyjdzie policja.

Machinalnie wsunął banknot i srebro do kieszeni, i odszedł bez słowa.

Namacał w ciemności poręcz i schody. Chroniąc ile się dało opuchłą stopę, wydostał się na ulicę i ruszył przed siebie — w mrok.

— Ta przygoda odstraszyła mnie na kilka dni od miast i od ludzi — powiedział, poprawiając się w fotelu. — Z początku byłem nią wzburzony i złorzeczyłem owej starszej siostrze. Później doszedłem do wniosku, że — cóż chcecie — ona tylko ratowała siebie i ten oddział Czerwonego Krzyża przed ryzykiem, przed niebezpieczeństwem, jakie mogłem na nie sprowadzić. Dla niej wojna była dawno skończona i — — należało jakoś żyć: należało pomagać innym, ale tylko o tyle, o ile to nie stwarzało konfliktu z władzą; pomagać tylko tym, którzy się tej władzy poddali. A ja... Sami rozumiecie... Szedłem znów na południe i na zachód. Szedłem coraz wolniej, bo każdy krok opłacałem bólem. W końcu znów pojechałem do miasta. Do innego małego miasta, daleko na południu, gdzie można było w powietrzu wyczuć słony powiew wichrów znad Zatoki Biskajskiej, od Atlantyku. Przed rokiem nie było tam jeszcze Niemców. Gdybym się był tam wówczas znalazł... No, ale teraz — teraz Niemców było pełno; wszędzie! Tropili mnie. Przynajmniej tak mi się zdawało. Otaczała mnie zewsząd niepewność, ciągła obawa aresztowania, stała,

niezmienna atmosfera niebezpieczeństwa. Ocierałem się nieustannie o policjantów i o żandarmów. Nie mogłem odpocząć, nie mogłem usiąść na ławce, przystanąć pod murem, ogrzać się w bistro, aby nie ujrzeć po chwili podejrzanego osobnika, który wydawał się być agentem Gestapo. Wyobrażam sobie, że sam wyglądałem dostatecznie podejrzanie, aby zwracać na siebie ich uwagę. Ale najgorsze ze wszystkiego było chyba to, że noga sczerniała mi aż do kolana i bolała coraz bardziej. Bałem się ludzi, nauczony już gorzkim doświadczeniem, ale przecież musiałem szukać ich pomocy, bo czułem, że sam zginę. I znów omal nie wpadłem. To było właśnie w tym miasteczku. Zobaczyłem otwarty kościół i wszedłem tam, żeby choć trochę odpocząć — i fizycznie i nerwowo. „W kościele — myślałem — nikt mnie nie będzie ścigał". Było niewiele osób i — półmrok. Nikt na mnie nie patrzył. Mogłem przysiąść na stopniu pod ścianą bocznego ołtarza i — odetchnąć. Tak: poczułem się przez chwilę bezpieczny. Ale to rozkleiło mnie zupełnie: po raz pierwszy od kilku tygodni nic mi nie groziło. Nie musiałem mieć się na baczności, nie trzeba było strzec się ciekawych ludzkich spojrzeń, nie trzeba było przygotowywać odpowiedzi na pytania, udawać głuchego i niespełna rozumu. Mogłem przez chwilę być sobą. Uświadomiłem sobie to wszystko i natychmiast ujrzałem całą swoją nędzę, wszystkie upokorzenia, daremne wysiłki i cierpienia. Próbowałem się modlić, ale zamiast tego zacząłem beczeć. Rozżaliłem się tak nad swoim losem, że... To, naturalnie, nerwy. Pofolgowałem sobie, jak nigdy w życiu. Ale — pomogło. Uspokoiłem się i — dziwna rzecz — nabrałem jakoś otuchy. Pomyślałem, że jeśli dotąd mnie nie złapali, jeżeli udało mi się przeżyć tyle czasu i przebyć tyle drogi, to przecież przebędę jeszcze te sto pięćdziesiąt kilometrów do granicy, a tam... tam już wszystko wydawało mi się łatwe i proste. Tylko ta stopa... Stopa przypominała mi o sobie pulsującym bólem, który sięgał coraz wyżej i wyżej, rozpalając mi ciało gorączką. Gangrena — oto czego się bałem. Tok myśli przerwał mi dzwonek na podniesienie. Usłyszałem nosowy głos księdza: „Dominus vobiscum...", potem zaś — organy. Rozejrzałem się: kogo poprosić o pomoc? — Tego starszego pana ze wstążeczką Legii Honorowej? A może tę dziewczynę, która się tak rozgląda? — Nie: pewnie tu na kogoś czeka. Więc — tego pana. Tylko jak zacząć? Co powiedzieć?...

Ogarnął nas pytającym spojrzeniem i nagle zmieszał się nie wiadomo dlaczego.

— Dajcie-no papierosa — powiedział, jakby ze zniecierpliwieniem. — Tam nie paliłem prawie wcale — zauważył, sięgając do wyciągniętej przez kogoś papierośnicy. — Dopiero w Gibraltarze...

Lucy mu przerwała:

— Co było dalej w tym kościele?

— W kościele? — powtórzył niechętnie. — E, nic.

Ale uparła się, żeby opowiedział szczegółowo, więc mówił dalej, starając się omijać wszystko, co nie dotyczyło samych tylko zdarzeń. Zamknął się znowu i widocznie pilnował się teraz, by nie zboczyć na tory dygresji uczuciowych ze szlaku opowiadania o faktach.

Jednak to, z czym zdradził się mimo woli uprzytamniając sobie przebyte cierpienia, wymykało się i teraz spod jego kontroli. Spoza faktów wyzierały myśli i uczucia, którymi się kierował. Wyłaniała się inna opowieść, jak wyłaniają się zwolna tu i ówdzie półcienie i szczegóły drugiego planu na kliszy ostrego zdjęcia fotograficznego w pełnym słońcu, gdy podziałają na nią odczynniki chemiczne.

Myślę, że obrazy tej jego opowieści tak właśnie nabierały miękkości półtonów i tak występowały w szczegółach przetrawione w umysłach niektórych z nas. Z pewnością tak właśnie widziała je Lucy, usiłując zresztą nie okazywać tego po sobie. Lucy, która myślała o Góralu...

Sarat mówił, że zdecydował się dopiero przed samym końcem nabożeństwa. Dojrzał pogrążoną w modlitwie siwą panią w żałobie. Pomyślał, że zapewne straciła syna albo męża i że ta okoliczność ułatwi mu — być może —pozyzkanie jej współczucia i zrozumienia. Nie chciał jednak narzucać się jej, póki nie wstała i nie skierowała się ku wyjściu. Wówczas podszedł nieśmiało i powtórzył to, co mówił już tyle razy tylu innym ludziom:

— Przepraszem panią. Czy pani mogłaby mi dopomóc? Jestem lotnikiem. Mam złamaną stopę...

W odpowiedzi ofiarowała mu parę sous, a gdy nie chciał przyjąć i nalegał, by go wysłuchała — zagroziła mu policją.

Nie znalazł w mieście noclegu. Nie jadł nic od rana, bo miał w kieszeni tylko bilet kolejowy, za którym tu przyjechał, i — gdy uspokoił się trochę — żałował, że nie przyjął jałmużny.

Powlókł się na dworzec, aby przenocować w zatłoczonej ciemnej poczekalni, i próbował zasnąć, oparłszy się w kącie na cudzym worku kartofli. Porzuciwszy myśl o wypoczynku, o ratowaniu nogi przed amputacją i o uzyskaniu czyjejkolwiek pomocy — zastanawiał się, jak dotrzeć do granicy. Wiedział, że pieszo nie dojdzie. Bał się żebrać, bo łatwo mógł zostać za to aresztowany. Mógł zaryzykować tylko raz: ukraść...

Sam zdziwił się, że tak spokojnie przyjął tę myśl. Odrzucił ją natychmiast ale — wracała. Coraz realniejsza; coraz bardziej natrętna, uporczywa, nie do odpędzenia. Próbował jeszcze z nią walczyć, ale już z góry wiedział, że przegra: zaczął paktować z własnym sumieniem, skłaniał się już ku argumentom, które wiodły do kompromisu: „pożyczę, oddam później”...

Rozejrzał się po sąsiadach: kto może mieć pieniądze?

Obok niego spała jakaś kobieta, obejmując przytuloną do niej dziewczynkę. To był ich worek z kartoflami. Wyglądały biednie, nieomal nędznie.

Na lewo przy stole, o brudnym, lepkim blacie, siedzieli dwaj robotnicy stary i młody— zapewne ojciec i syn. Stary chrapał przeciągle; młody budził się co hwila, unosił głowę opartą o ramiona wyciągnięte przez całą szerokość stołui rozglądał się, ziewając.

Dalej — chudy szpakowaty mężczyzna w czarnym surducie, wyglądający na księdza. Jakieś małżeństwo, zapewne drobny urzędnik z prowincji z brzydką, zwiędłą przedwcześnie małżonką. Samotna młoda dziewczyna, o strapionej, głupawej twarzy, z wyskubanymi brwiami. Blady, o ziemistej cerze chłopak z garbatą kobietą, która ćmiła straszliwie cuchnący tytoń, zwijając go wprawnie w bibułki. Kilku chłopów z wielkimi tobołami; jakiś młodzieniec w wyświeconym palcie; jacyś wyrobnicy; przekupki; handlarze...

— Kto może mieć pieniądze? — myślał Sarat.

Tak był zajęty tą myślą, że nie zwrócił uwagi na równy, zbliżający się z zewnątrz odgłos kroków kilku ludzi w butach podkutych gwoździami. Dopiero głośna komenda: „Patrol — halt!” poderwała go nagle, jak wybuch petardy.

W tej samej chwili drzwi szczęknęły, zaskrzypiały w zawiasach i od progu błysło światło latarki.

— Ausweiss und Fahrkarten-Kontrolle! Schnell, bitte.

Chlusnęło ukropem strachu. Nie było czasu do namysłu, nie było drogi ucieczki, nie było żadnej kryjówki, nie było ratunku.

Sarat udawał, że śpi. Wiedział, że to nic nie pomoże. Wiedział, że zostanie aresztowany. Ale — chciał odwlec tę chwilę jak najdalej, aby choć trochę ochłonąć, aby uspokoić gwałtowny łomot serca i odzyskać zaparty oddech. (— „Jak wtedy, zaraz po wylądowaniu na spadochronie” — powiedziała Lucy. — „Jak wtedy” — potwierdził, nie patrząc w jej stronę.)

Słyszał, jak żandarmi zbliżali się ku niemu; słyszał półgłośne rozmowy Francuzów i szorstkie pytania Niemców.

— Margot! Ecoute, Margot!

— Qu'est-ce qu'il y a?

— C'est le contrôle. Ou as tu ton passeport?

Młody robotnik usiłował obudzić ojca:

— Le gendarme bosch demande les documents, papa...

Któryś z Niemców dosłyszał owo „bosch". Rozległ się cios kolbą karabinu i krzyk, który umilkł natychmiast. Żandarmi wywlekli nieprzytomnego na ulicę...

Ktoś szarpnął Sarata za ramię.

— Sie, hören Sie mal! Ihre Ausweise?

Sarat udał oburzenie:

— Jaki znów paszport?!

Mówił prędko, z całą pewnością siebie, na jaką potrafił się zdobyć w tej decydującej chwili, słusznie przypuszczając, że żandarmi znają tylko po parę słów francuskich i że wezmą go za Francuza. Gestykulując żywo, oświadczył, że przecież zgłosił się w ich urzędzie do pracy w Argelles i został przyjęty. Właśnie czeka na pociąg. Jeździł tam już kilkakrotnie, ale nikt mu nie kazał nigdy zabierać paszportu!

Niemiec istotnie zrozumiał piąte przez dziesiąte.

— Was sagen Sie? Argelles? Wo haben Sie Ihre Fahrkarte? Billet?!

Naturalnie; to było do przewidzenia: zapytają o bilet...

Ociągając się, szukał po kieszeniach. Tymczasem pozostali żandarmi wyprowadzali jeszcze księdza i młodzieńca w wytartym płaszczu. Wyjścia na peron strzegł żołnierz z bagnetem na karabinie. U drzwi od ulicy stali dwaj inni z pistoletami automatycznymi w rękach.

Żandarm niecierpliwił się. Nie było sensu udawać, że bilet „gdzieś się zapodział", skoro w ogóle się go nie miało. Sarat zamierzał już zrezygnować, gdy namacał w kieszeni przypadkiem zachowany bilet, za którym tu przyjechał rano. Mimowiednie wzruszył ramionami, zdając sobie doskonale sprawę, jak bardzo naiwnego wybiegu się chwyta, ale wyciągnął ów bilet i podał Niemcowi.

Ten spojrzał, świecąc sobie latarką, mruknął coś pod nosem i skierował światło na twarz Sarata.

— Kommen Sie mit — powiedział ostro.

Sarat pomyślał, że teraz wszystko ostatecznie przepadło. Wiedział, że już nie zdoła uciec, bo nawet jeśli wymknąłby się jakimś cudem w drodze, wytropią go zaraz, ponieważ nie ujdzie daleko z tą swoją nieszczęsną nogą jak kłoda. Wstał i popychany przez żandarma pokulał ku drzwiom.

Podoficer z jego biletem w ręku skinął na żołnierza, który stał u wyjścia na peron. Przeszli przez główny hall, lecz — zamiast w stronę schodów wejściowych — skierowali się ku drzwiom w głębi.

Sarat dostrzegł nad nimi napis: „Chef de gare" i wszedł do środka za żandarmem. Zanim wzrok jego oswoił się ze światłem, usłyszał pytanie po niemiecku:

— Pan jest zawiadowcą stacji?

— Tak. O co chodzi?

— Ten człowiek mówi, że jeździ stąd na robotę do Argelles. Tu jest jego bilet...

Sarat spojrzał obojętnie na urzędnika we francuskim uniformie, który teraz trzymał w ręku ten jego bezwartościowy bilet, jak spogląda się na zegar, wiedząc z pewnością, która jest godzina.

Wtem, zanim Francuz zdołał odpowiedzieć, ktoś otworzył drzwi.

— Herr Feldfebel, melde gehorsam...

— Czego tam znowu?! — wrzasnął żandarm.

— Leutnant Müller chce pana widzieć.

— Dobrze. Zaczekasz tu. *Tu, wewnątrz*! Zaraz wrócę. Do tego czasu ten tutaj ma zostać. Verstanden?

— Zum Befehl!

Żołnierz z karabinem rozkraczył się u drzwi. Zawiadowca powiedział półgłosem do Sarata:

— Pan ma bilet do *tej* stacji... Kto pan jest?

Sarat nie miał już nic do stracenia. W kilku śpiesznych urywanych zdaniach zamknął to, czego nie powiedziałby Niemcom. Nie zauważył nawet, że mówi na pół po angielsku, na pół po francusku. Nie panował już nad nerwami: przez niedomknięte drzwi słychać było rozmowę między żandarmem a leutenantem.

— ...Jawohl, Herr Leutnant, jawohl...

— Argelles? — spytał nagle zawiadowca.

Sarat skinął głową:

— Argelles...

Stempel szczęknął raz i drugi.

— Bon voyage — uśmiechnął się zawiadowca. — Et — bonne chance.

W tej samej chwili żandarm wrócił.

— Na, was ist loss? Zna pan tego człowieka?

— Znam — powiedział urzędnik. — To inwalida wojenny. On jeździ do Argelles na robotę. Bilet jest w porządku.

— O której ma pociąg?

— Za dwie godziny. On tu zawsze nocuje, bo po dziesiątej nie wolno chodzić po mieście.

Żandarm jeszcze się wahał, ale widocznie śpieszył się i chciał z tym skończyć.

— Właściwie powinien mieć przepustkę — mruknął. — Ciągle jeszcze nie umiecie nauczyć waszych ludzi porządku.

Obejrzał się na żołnierza z bagnetem.

— Odprowadź go do poczekalni, Heinrich. Schnell. Będę czekał przy samochodzie.

* * *

— Dojechałem do Argelles — mówił Sarat gasząc niedopałek papierosa. — Dojechałem do Argelles i myślałem, że w ciągu dwóch lub trzech dni zdołam przejść zieloną granicę. Ale — — Pireneje — — ponad 3.000 metrów z tą moją nogą... Nie przebywa się Pirenejów tak łatwo, nawet gdy się jest w pełni sił. A ja zdychałem z wyczerpania, z gorączki, z zimna, z głodu, i — byłem naprawdę inwalidą... Eh, co wam będę opowiadał! Dopiero tam zrozumiałem, na com się porwał. Gdybym to rozumiał od początku... No, mniejsza z tym. Argelles... Nie, to nie miał być ostatni etap. Zupełnie gdzie indziej spotkałem tych dwoje Francuzów, którzy mi pomogli. Dwoje ludzi, którym zawdzięczam to, że tu jestem dzisiaj i to, że mam całą nogę. Spotkałem ich w tydzień po przybyciu do Argelles. Nie wszystko pamiętam z tego tygodnia. Miałem, wiecie, bardzo dużą gorączkę i...właśnie: zdychałem. Na śmietnikach, pod płotem — jak pies. Bardzo mało w człowieku zostaje wtedy z tak zwanej duszy, czy jak tam chcecie. Jeśli nie kradłem, to zapewne dlatego, że już nie miałem sił. Jeśli nie zdechłem, to nie dzięki własnej zasłudze. Człowiek, widzicie, jest inteligentnym zwierzęciem. Nakazy woli, hamulce moralne, wartości duchowe — wszystko to gdzieś się ulatnia w nędzy. Potem zamierają popędy i instynkty. Potem — nawet głód. Pozostaje zmęczenie i niczym nie poskromiona chęć odpoczynku — zupełny bezwład. A gdy nędza mija, gdy już człowiek dostanie jeść, gdy się ogrzeje i wypocznie, najpierw budzi się instynkt. Najpierw powraca to, co w nas istnieje najdawniej, najgłębiej — pod wierzchnią warstwą kultury, cywilizacji, różnych tam zwyczajów, konwenansów, ceregieli i wzniosłości. Nie żadne szlachetne uczucia i sentymenty, tylko to: zwierzęcy popęd — instynkty. Tak właśnie było ze mną. Jeszcze nie wiedziałem — utną mi nogę, czy nie utną; jeszcze nie oswoiłem się ze szczęściem, jakie mnie spotkało, z przepychem jaki mnie

otaczał w postaci — jak wy byście to oceni i — skromnego urządzenia domu wśród winnic francuskich, a już obecność w moim pokoju kobiety, której to wszystko zawdzięczałem, działała na moje zmysły i już ten dzielny mężczyzna, który był jej towarzyszem, stawał mi się nienawistny, jako mój potencjalny rywal. Nie mogłem myśleć o nich obojgu z wdzięcznością, jak na to zasługiwali. W niej widziałem tylko ładną, zgrabną kobietę, która zbliżała się do mnie wprawdzie po to, żeby mi poprawić pościel, żeby mi zmienić opatrunki i żeby mnie nakarmić — ale gdy uśmiechała się, gdy do mnie mówiła, gdy mnie dotykała pochylając się nade mną, nie pamiętałem o tym: była kobietą, mogła do mnie należeć, właśnie jako kobieta. To było dominujące: popęd... Kiedy przychodził Robert, pod wpływem jakiegóś zwierzęcego impulsu zaciskałem pięści, a mięśnie w twarzy zwierały mi się tak, jakbym — — jakbym miał pokazać zęby. Gdy zaś wchodzili razem, nie mogłem na nich patrzeć: coś takiego się we mnie działo, czego już teraz nie umiałbym określić... Dopiero po kilku dniach uświadomiłem sobie to wszystko. Dopiero po kilku dniach — jakbyście wy powiedzieli — stałem się normalny; nasiąkłem znów tym, co człowiek ma w sobie po wiekach, które dzielą go od życia w jaskini, czy też na drzewie.

Zamilkł, jakby się spostrzegł, że znów zabrnął w zwierzenia i to wobec zbyt licznego może audytorium. Jakby się przestraszył, że powiedział zbyt wiele. Jakby odkrył, że ta chęć mówienia o sobie po tylu tygodniach ukrywania wszystkiego co czuł — jest w nim silniejsza niż powzięte postanowienie aby nie odsłaniać całej prawdy.

Zapewne dlatego zmienił nagle ton i starał się mówić lekko o tym, co — być może — wzruszało go najbardziej: o rozstaniu z tą kobietą, której imienia nawet nie wymienił, zachowując je tylko dla siebie.

— Pożegnanie po miesiącu wypadło dosyć niezręcznie — zaczął z odcieniem lekkiej ironii. — W skrzyni od jarzyn przewieźli mnie przez most, strzeżony przez posterunki niemieckie. Zajechaliśmy pod jakiś na pół zruinowany dom, skąd widać było granicę. Robert poszedł przekonać się, czy przejście jest możliwe. Ona przeprowadziła mnie wzdłuż strumyka aż do zakrętu, gdzie rosły jakieś krzaki. Przystanęliśmy tam, aby czekać na znak Roberta. Byłem, naturalnie, wzruszony i przejęty, jak tego sytuacja wymagała, ale głównie myślałem o tym, jak zdołam przebyć sto kroków zupełnie otwartej przestrzeni, dzielącej mnie od lasu. Chciałem jakoś podziękować jej za opiekę, za — — no, za wszystko. Przecież oboje uratowali mi życie. Ale za takie rzeczy bardzo trudno jest dziękować: trudno znaleźć właściwe słowa, żeby nie wyszło głupio. Namyślałem się, jak powiedzieć, gdy usłyszałem gwizdanie Roberta. Trzeba było iść. Powiedziałem wreszcie, że nie wiem jak się im odwdzięczę, że... Już nawet nie pamiętam, co. Ona znalazła te słowa. Bardzo proste i bardzo prawdziwe. „Pan wróci do swego dywizjonu — powiedziała, patrząc mi w oczy. — Będzie pan dalej walczył za Polskę, za Francję, za wolność. Jesteśmy sojusznikami — pan i my". Prosiłem, żeby mi dała coś na pamiątkę — na szczęście. I wtedy — to było, wiecie, zupełne zaskoczenie — pocałowała mnie! Musiałem mieć strasznie głupią minę, ale właśnie Robert zagwizdał po raz drugi i musiałem iść. Obejrzałem się na nią, brnąc przez strumień. Patrzyła uważnie w stroną mostu, tam skąd powinien był wrócić Robert. Zapewne niepokoiła się o niego... Wyszedłem na drugi brzeg i zacząłem biec,nie zważając na coraz dotkliwszy ból w stopie, która nie zrosła się jeszcze. Padałem, zrywałem się, biegłem znowu i znów padałem. Potem przedzierałem się przez zasieki, szedłem, czołgałem się, pełzałem, aż pokrwawiony, w ubraniu podartym na drutach kolczastych, zaszyłem się w las. Przechodziłem później jeszcze drugą linię graniczną i przedzierałem się przez inne zasieki. Ukrywałem się, głodowałem, uciekałem. Ale to nie ma znaczenia. To już było w kraju

neutralnym. Już nie groziła mi niewola niemiecka. Już wiedziałem, że — prędzej czy później — dostanę się tutaj. No i — jestem: miałem szczęście — udało się. A tamci... Stamtąd wraca się dopiero po wojnie. Tamto chyba trudniej jest przetrwać, niż to, przez co ja przeszedłem. Nawet wtedy...

Urwał, bo drzwi od saloniku otworzyły się i do pokoju zajrzał zawsze roztargniony i trochę senny Morisson. Nie zauważył ani Lucy, ani Sarata, i od razu zwrócił się do naszego przedniego strzelca, z którym miał wspólne upodobanie do piwa i do bridge'a:

— Lejba, what about beer? Bar is open. And we play bridge to-night, don't we?

Lejba ocknął się i zamrugał, wskazując mu ruchem głowy „Lordównę".

— Sorry... — powiedział Morisson. — I am very sorry, miss Lucy.

Wreszcie zobaczył także Sarata i ucieszył się serdecznie, wyrażając to na swój powściągliwy sposób:

— Hallo, hallo! How are you, Sarat? What a surprise! By the way: do you play bridge?

Wszyscy się roześmieli, Zygmunt zaś powiedział, że Sarat nie cierpi bridge'a. Nie cierpi do tego stopnia, że nie dał się wziąć do niewoli, aby tylko nie grać w karty.

Morisson pokręcił głową:

— That's funny...that's strange — poprawił się.

— Just prejudice — powiedział Sarat.

DOROTA FALSKA

MUZEUM EMIGRACJI

Wydaje się czasem rzeczą dziwną, że Londyn nigdy nie pokusił się o założenie czegoś w rodzaju Muzeum Emigracji Politycznych. Przewalały się przecież przez to miasto fale emigracji raz po raz w ciągu wieków zawsze, gdy burze polityczne wstrząsały krajami „on the other side of the Channel". W muzeum takim dział polski zajmowałby zapewne nieostatnie miejsce. Prawda, ojczyzną przybraną Wielkiej Emigracji stała się Francja a nie Anglia. Lecz i wówczas, po powstaniu listopadowym, cienie wygnańców polskich zjawiały się na skwerach i ulicach Londynu, który obok Paryża był jak gdyby drugą stolicą marzeń, intryg i spisków emigracyjnych. Tu przecież bardziej niż w Paryżu zadomowiła się ówczesna lewica demokratyczna zgrupowana dokoła Worcela. Stąd pół wieku później, rodzący się socjalizm polski rzucał na podbój Polski istną jak na ówczesne czasy lawinę książek, broszur i druków nielegalnych.

Anglicy dumni są z tego, że tylu emigracjom politycznym kraj ich udzielał schronienia, lecz dzieje tych emigracji niewiele ich wzruszają. Nikt tu zdaje się nie zbiera śladów po ruchach i ruchawkach wygnańczych, po wielkich buntownikach i spiskowcach, którzy tu nad Tamizą działając zmieniali oblicza swoich krajów ojczystych, przeważnie o głodzie i chłodzie, bez stanowisk oficjalnych, a często i bez nadziei na listek wawrzynu.

A jednak myśl emigranta biegnie w tym Londynie roku 1944 często wstecz i szuka śladów przeszłości. Znajduje je nie w muzeach, lecz w książkach i pamiętnikach, w których autorzy pieczołowicie przekazywali pamięci potomnych swe wielkie spory i drobne utarczki, tragiczne rozterki i śmieszne błahostki.

Książką taką, po której stronicach wzrok błąka się jak po salach muzeum emigracji politycznej jest pamiętnik Aleksandra Herzena, wielkiego re-

wolucjonisty i pisarza rosyjskiego. Sam Herzen wiódł swój żywot emigracyjny we wszystkich niemal krajach Europy, lecz większą jego część spędził właśnie w Londynie. Tutaj przyjaźnił się z przewódcami demokracji francuskiej, włoskiej, rosyjskiej i polskiej. Gdy ruchy wolnościowe na kontynencie po roku 1848 zdławione zostały reakcją despotyczną, tu do Londynu schroniło się marzenie o nowej Wiośnie Ludów. Stąd Mazzini i Garibaldi organizowali powstania, które miały się zakończyć zjednoczeniem Włoch. Włosi jednak byli wyjątkowymi szczęśliwcami tej emigracji. Marzenia Niemców, Polaków i Rosjan nie ziszczały się za życia ówczesnych emigrantów. Zapomnieni, skłóceni ze sobą i rozgoryczeni, trwali tu, cierpieli i walczyli przewódcy ruchów ludowych: Ledru-Rollin i Louis Blanc, Marx i Engels, Worcel, Herzen, Bakunin i tylu, tylu innych.

Niewiele co prawda analogii można znaleźć między dzisiejszą emigracją a tym środowiskiem wygnańczym, które opisuje Herzen. Mimo to wiele stronic pamiętnika pisarza rosyjskiego zachowało dziwną aktualność, a niektóre czyta się ze szczególnym uczuciem w świetle naszych własnych przeżyć.

Oto na przykład opis ówczesnego Londynu, atmosfery stolicy brytyjskiej blisko sto lat temu, w której mimo wszystko tak niewiele się zmieniło: „Nie ma miasta na świecie, w którym łatwiejby było odzwyczaić się od ludzi i przywyknąć do samotności niż w Londynie. Sposób życia, odległości, klimat, ogrom ludności, w którym gubi się jednostka, brak rozrywek kontynentalnych — wszystko to razem daje ten sam efekt. Kto umie żyć samotnie, nie powinien bać się nudy Londynu. Życie tu jak samo powietrze, jest złe dla słabego, dla wątłego, dla kogoś kto szuka oparcia poza sobą, kto szuka serdeczności, sympatii, uwagi. Płuca moralne muszą tu być tak silne jak płuca fizyczne, które muszą się pozbywać kwasu siarkowego z zadymionej mgły. Masy ratuje walka o chleb codzienny, klasy handlowe zaś — nagromadzanie bogactw, cały pośpiech i rozgwar interesów. Lecz temperamenty nerwowe i romantyczne, rozmiłowane w życiu towarzyskim, w intelektualnej gnuśności i emocjonalnej bezsilności zanudzają się tu na śmierć i wpadają w rozpacz".

Atmosfera ta zżerała charaktery ogromnej większości emigrantów ówczesnych. „Co za cierpienia, co za nędza, co za łzy — pisze Herzen — i co za trywialność, ciasnota, bieda zasobów umysłowych...co za zaciętość w kłótniach i co za małoduszność w urażonej próżności!" Drobna część emigracji składała się z ludzi oddanych swej sprawie duszą i sercem. Dla większości, jak powiada pisarz rosyjski, żywot emigracyjny był pewną formą walki o „ pozycję społeczną". Nie brakło maniaków, opętanych wszelkiego rodzaju obsesjami. W tej „nerwowej, naprężonej, histerycznej" atmosferze coraz więcej było ofiar wirujących stolików. Maniom spirytystycznym ulegali nawet tacy wygnańcy jak Victor Hugo i Ledru-Rollin. W ojczyznach emigrantów życie tymczasem szło swoim biegiem, lecz większość wygnańców zdawała się tego nie zauważać, tkwiąc po uszy w przedawnionych sporach. „Przy tym wszystkim ani kroku naprzód. Są oni jak zegar dworski w Wersalu, wskazujący wciąż jedną godzinę, godzinę śmierci króla... I są jak ten zegar nienakręcony od chwili śmierci Ludwika XVI. Wskazują jedno wydarzenie, koniec jednego wydarzenia. Mówią o nim, myślą o nim, wracają do niego. Przerażenie ogarnia, gdy po pięciu lub sześciu miesiącach, po dwuch lub trzech latach, spotyka się tych samych ludzi, te same grupy. Trwają te same spory, te same osobistości i zarzuty, tylko bruzdy kreślone biedą i nędzą stają się głębsze, surduty i płaszcze bardziej wytarte, wszyscy siwieją, starzeją się, chudną i stają się coraz bardziej ponurzy...i wciąż w kółko powtarza się te same rzeczy".

Oto są nędze emigracji, której nie brakło zresztą i blasków; nędze kreślone ręką pisarza, który nie zaznał ich w tym samym stopniu co inni. Bo

sam Herzen był materialnie niezależny. Blaskami tej emigracji były wielkie idee i wielkie przyjaźnie. Herzena samego łączyła serdeczna przyjaźń z Worcelem, któremu poświęca najbardziej wzruszające stronice swych pamiętników i którego wpływem częściowo tłumaczą się gorące wystąpienia pisarza rosyjskiego w obronie Polaków. Herzen wydawał wtedy w Londynie czasopismo „Kołokoł" — „Dzwon", które odgrywało ogromną rolę w budzeniu myśli socjalistycznej i liberalnej wśród inteligencji rosyjskiej. Na łamach swego pisma Herzen zamieszczał manifesty i odezwy ówczesnej lewicy polskiej. W pamiętnikach zwierza się z motywów swego stanowiska polonofilskiego. Stosunek Herzena do Polaków był w tym czasie pomimo współpracy z Worcelem, wielce skomplikowany. W okresie Wiosny Ludów Herzen propagował t.zw. orientację zachodnią, zwalczał bezkompromisowo panslawistyczne hasła caratu i przeszczepiał na grunt rosyjski idee socjalizmu francuskiego. Klęska rewolucji europejskiej z roku 1848 i odrodzenie się despotyzmu zwłaszcza we Francji, napełniły go rozczarowaniem. Wielki „Zapadnik" przestał oczekiwać idei i przewrotów z Zachodu i myślą zwrócił się z powrotem ku Rosji i ku jej „misji postępowej". Wprawdzie nadal występował przeciw oficjalnemu, carskiemu, petersburskiemu panslawizmowi, którego kłamliwość wciąż ilustrował uciskiem Polaków. Jednakże panslawizmowi oficjalnemu przeciwstawiał już Herzen w latach 50-tych i 60-tych nie orientację zachodnią lecz coś w rodzaju panslawizmu opozycyjnego. Wierzył w odrodzenie krajów słowiańskich przez chłopski socjalizm, który przyjdzie z Rosji i był urażony tym, że wiary jego nie podzielali emigranci polscy. Z drugiej strony od większości emigrantów polskich dzieliły jego — socjalistę i rewolucjonistę — ich szlachecki konserwatyzm lub też obojętność na hasła społeczne i wyłącznie narodowy, polski charakter ich dążeń. Nie odnosiło się to oczywiście do Worcela, w którym Herzen widzi jednego z największych socjalistów swej doby. Nieporozumienia między sobą a Worcelem Herzen tłumaczy tym, że Worcel ulegał jakoby wpływom swego konserwatywnego otoczenia. Poza tym Polacy żyli ciągle w oczekiwaniu przewrotu w Rosji, podczas gdy Herzen przekonany już był o tym, że rozwój wypadków w Rosji przybrał był tempo powolne. Dzielił go także od Polaków stosunek do kultu napoleońskiego, kultu, który nabrał był aktualności gdy na tronie francuskim zasiadł Ludwik Bonaparte.

Oto są ostre i surowe słowa samego Herzena: „W roku 1847 poznałem członków Polskiego Komitetu Centralnego. W owym czasie Komitet zbierał się w Wersalu a najaktywniejszym jego członkiem był zdaje się Wysocki. Żadne prawdziwe zbliżenie się nie było możliwe. Uchodźcy ci nie chcieli słuchać tego co wiedziałem. Pragnęli oni usłyszeć tylko potwierdzenia swych nadziei i przypuszczeń. Chcieli usłyszeć o spisku, który podkopuje cały ustrój polityczny Rosji...a ja mogłem im tylko opowiadać o radykalnych nastrojach wśród młodzieży, o ogromnych wpływach Bielińskiego, o odcieniach ideowych dwóch zwalczających się wówczas w literaturze i społeczeństwie prądów: zachodniego i słowianofilskiego. Wszystko to wydawało się im mało ważne.

Oni mieli bogatą przeszłość, my zaś — wielką nadzieję. Ich piersi pokryte były bliznami, podczas gdy my hartowaliśmy nasze muskuły dla przyjmowania blizn. Poza tym byliśmy jak gdyby rekrutami obok weteranów. Polacy są mistykami, my jesteśmy realistami. Ich pociąga tajemniczy półmrok, w którym wszystkie kontury są zatarte i w którym majaczą zjawy, w którym można sobie wyobrażać nieskończone przestrzenie i nieskończone wysokości, ponieważ niczego nie można dostrzec wyraźnie. Potrafią oni żyć w tym na wpół śniącym stanie, bez analizy, bez zimnego dociekania, bez zakradających się wątpliwości. W głębi swych dusz Polacy mają obcy nam element średniowiecza i krzyż przed którym mogą modlić się w momentach żalu i zmęczenia. W poezji Krasińskiego Stabat

Mater zagłusza hymny narodowe i zbliża nas nie ku tryumfowi życia lecz ku tryumfowi śmierci, ku dniu Sądu Ostatecznego... My jesteśmy albo *głupsi w naszej wierze* albo *bardziej inteligentni* w naszym zwątpieniu".

W innym znów miejscu Herzen powtarza tę samą myśl: wyszliśmy — powiada—z odrębnych punktów wyjścia, a nasze drogi przecinają się tylko w naszej wspólnej nienawiści do autokracji petersburskiej. „Polacy mają swój ideał za sobą, zmierzają ku swojej przeszłości, od której odcięci zostają gwałtem i przemocą i która jest dla nich jedynym punktem wyjścia... Posiadają oni całe masy świętych relikwii, podczas gdy my posiadamy puste kołyski... Oni oczekują Zmartwychwstania swych zmarłych, my zaś tęsknimy do tego, by jak najszybciej pogrzebać nasze trupy... Nasz związek z nimi wydawał im się na przemian albo mezaliansem albo też małżeństwem z rozsądku. Po naszej stronie było więcej szczerości, lecz nie więcej głębi: byliśmy świadomi naszej pośredniej odpowiedzialności (sc. za gwałt nad Polską). Lubiliśmy ich szaleńczą odwagę i szanowaliśmy ich nieustraszony protest. Lecz cóż Polacy mogli lubić lub szanować w nas? Zadawali sobie gwałt przyjaźniąc się z nami. Czynili zaszczytny wyjątek dla nielicznych Rosjan".

Ten konflikt poglądów i nastrojów Herzen uwidacznia najwyraźniej w opisie swego spotkania z Mickiewiczem. Okazję dla tego spotkania dało założenie „Trybuny Ludów". Herzen zaproszony był przez Mickiewicza do współpracy i obiecywał sobie wiele po planowanym piśmie, albowiem zarówno ówczesna prasa francuska jak i angielska poświęcała niewiele uwagi sprawom międzynarodowym, zwłaszcza zaś tyczącym się losów Europy wschodniej. Opis pierwszego zebrania redakcyjnego jest równie barwny i przenikliwy co złośliwy. Wśród uczestników Herzen nie znalazł niemal ani jednego Francuza, natomiast wielu Serbów, Chorwatów i Sycylijczyków. (Jakżeż to przypomina nasze współczesne zebrania „kontaktowe" z Anglikami!) Jedyną osobistością, która pociągała myśliciela rosyjskiego był sam Mickiewicz. „Ktokolwiek znał portret jego z francuskiego wydania jego dzieł...mógł rozpoznać go od razu, pomimo to, że zmienił się tak mocno z biegiem lat. Na twarzy jego, bardziej litewskiej niż polskiej, pozostały ślady wielu myśli i cierpień. Postać, twarz, bujny siwy włos, zmęczone oczy mówiły o minionych cierpieniach, o zaznanych bólach duchowych i o egzaltacji smutku — był on plastycznym ucieleśnieniem losu Polski. To samo wrażenie wywarła na mnie później twarz Worcela, choć rysy jej, mimo iż wyrażały jeszcze więcej cierpienia, były bardziej ożywione i pełniejsze wdzięku niż rysy twarzy Mickiewicza. Wydawało się, jak gdyby Mickiewicza coś hamowało, pochłaniało i rozpraszało. Był to ów dziwny mistycyzm, w który wycofywał się coraz głębiej.. "Herzen podkreśla „pewną wrogość" Mickiewicza wobec Rosjan, kłócącą się z głoszoną przezeń ideą związku słowiańskiego. Tłumaczy on wrogość tę okrucieństwami carskimi wobec Polaków. Nieprzyjemne wrażenie robi też na nim przesadnie usłużny i pochlebczy stosunek otoczenia do Mickiewicza. („Pod tym względem i tak przecież nigdy nie wytrzymamy konkurencji z biskupami, szefami departamentów, pułkownikami"). Głównym jednak momentem, który zniechęcił Herzena do współpracy w „Trybunie Ludów" były złudzenia Mickiewicza co do osoby Ludwika Bonaparte. Mickiewicz wygłosił przemówienie, w którym radykalne tony społeczne przeplatane były słowami uwielbienia dla „małego siostrzeńca wielkiego wujaszka". Herzen, który według programu miał odpowiedzieć na toast Mickiewicza, nie chciał już więcej zabrać głosu. Rewolucjoniści hiszpańscy zaprotestowali przeciwko bonapartystycznym akcentom w przemówieniu Mickiewicza. Herzen a wraz z nim i lewicowcy innych narodowości, odsunęli się od „Trybuny Ludów". Pisarz rosyjski uważa kult napoleoński za szczególnie dziwaczną egzaltację. Napoleon I — powiada — nic przecież nie uczynił dla Polaków, nie czuł żadnej miłości dla

Polski, a lubił tylko tych Polaków, którzy przelewali dla niego krew z ową poetycką i tytaniczną odwagą, jaką przejawili w słynnej szarży kawaleryjskiej pod Samosierrą. Podobnie, czy też jeszcze gorzej, powiada Herzen, przedstawiał się stosunek Napoleona III do Polaków. Igrał on sprawą polską w swoich rozgrywkach dyplomatycznych, lecz Polacy byli dość naiwni i zapalczywi, by dyplomatyczne gierki brać na serio i płacić drogo za swą łatwowierność. („W tym właśnie czasie Napoleon III znów odczuwał ową gorącą sympatię dla losu Polski, za którą Polska już zapłaciła całym pokoleniem i być może zapłaci jeszcze pokoleniem następnym" — pisał Herzen niemal w przeddzień powstania styczniowego).

Dla pisarza rosyjskiego, urodzonego w roku rosyjskiej klęski Napoleona, Bonapartyzm był jedynie kultem despotyzmu i podboju.

Tylko u Worcela Herzen nie znajduje tego kultu nagminnie polskiego. Opisuje on dość szczegółowo walkę Worcela przeciwko Czartoryskim oraz konflikty jego ze swoim własnym otoczeniem, jak i tragedię rodzinną i nędzę ostatnich lat życia polskiego demokraty. Opowiada też dzieje pierwszej drukarni emigracyjnej, założonej przez niego przy pomocy Worcela, drukarni, z której wypuszczano polską i rosyjską literaturę rewolucyjną. Epizodem szczególnie interesującym jest opis kampanii propagandystycznej prowadzonej przez Worcela i Kossuta w okresie Wojny Krymskiej. Był to moment szczególnie tragiczny dla Worcela, który pragnął wyzyskać konflikt brytyjsko-rosyjski dla sprawy polskiej. Oczekiwał wybuchu powstania w Polsce, które by unaoczniło Anglikom wagę sojuszu z Polakami. „Jeśli Polska *teraz* będzie bezczynna, to wszystko jest stracone na długie lata, jeśli nie na zawsze" — zwierzał się Worcel Herzenowi. Ruszył wraz z Kossutem na objazd Anglii, przemawiał na zebraniach i starał się zyskać sympatię dla sprawy polskiej. Z objazdu tego wracał do Londynu przygnębiony brakiem echa. „W Polsce jest cicho," — mówili konserwatyści angielscy. Worcel żywił nadzieję, że rząd angielski zwróci się z apelem do Polaków, że wezwie ich do powstania. Pragnąc pozyskać sobie współdziałanie pewnego członka parlamentu, Worcel stronił jakoby od rewolucjonistów europejskich, z którymi przedtem wspólnie występował. Herzen notuje z pewnym smutkiem i współczuciem: „Widok jego martwił mnie niezmiernie. Lecz jakże mógł on sobie wyobrażać, że Anglia wezwie Polskę do powstania i że Francja Napoleona III będzie wzniecała rewolucję? Jakże mógł budować nadzieje na Europie, które pozwoliła Rosji na najazd Węgier a Francuzom na inwazję Rzymu? Czyż sama obecność Mazziniego i Kossuta w Londynie nie świadczy głośno o upadku Europy?" Niedługo później Herzen niósł trumnę Worcela na cmentarz Highgate, a przyjazne jego stosunki z Polakami urwały się prawie zupełnie.

Inną wielką postacią rosyjską emigracji londyńskiej tych lat jest apostoł anarchizmu Bakunin. Herzen opisuje jak Bakunin całym swoim potężnym temperamentem i naiwną, dziecinną niemal wiarą, rwał się do powstania polskiego. Był to początek lat 60-tych, gdy coraz więcej emisariuszy polskiej organizacji nielegalnej przybywało do Londynu. Herzen notuje, że Polacy znów zaczynają przemawiać z większą pewnością siebie i ta ich pewność siebie budzi nadzieje wśród rewolucjonistów rosyjskich. Sam Herzen zapatruje się sceptycznie na szanse powstania w Polsce. Wie, że ruch opozycyjny w samej Rosji jest jeszcze w powijakach. Obawia się, że izolowane wysiłki polskie spełzną na niczym. Bakunin jednak nie analizujący sytuacji, „bierze drugi miesiąc ciąży za dziewiąty". Porywa innych nie swą argumentacją, lecz swymi nadziejami. Wierzy, że Żmudź, Wołga, Don i Ukraina zerwą się jak jeden mąż na sygnał z Warszawy. Wiarę tę podtrzymują coraz to nowi emisariusze z Polski, wśród których wielu jest autentycznych bohaterów, lecz nie brak też spiskowych Papkinów, awanturników i zwyczajnych agentów policji carskiej. Ta galeria Polaków

przewijających się przez Londyn z początkiem lat 60-tych jest niezmiernie ciekawa i pouczająca. Są to przeważnie ludzie, których nazwisk historia nie zachowała w pamięci. Lecz Herzenowskie charakterystyki ukazują codzienną prozę przygotowań powstańczych od strony czasem nieoczekiwanej, a jednak zdaje się dość prawdziwej.

„Kołokoł" Herzena poparł zdecydowanie powstanie styczniowe. Emigranccy liberałowie rosyjscy protestowali przeciwko temu i starali się skłonić Herzena, by unikał wystąpień polonofilskich. Zapowiadali, że świetnie rozwijające się pismo jego straci czytelników i podupadnie, popierając sprawę wśród Rosjan niepopularną. Zapowiedzi te sprawdziły się zresztą. „Kołokoł" tracił szybko nakład. Z dwóch i półtysiąca egzemplarzy, pismo spadło do pięciuset. Przyjaciele Herzena odsuwali się od niego. Lecz Herzen mimo wszystko wytrwał przy swej przyjaźni dla powstania, choć nie wierzył w jego powodzenie, i choć nieporozumienia między nim a Polakami piętrzyły się coraz bardziej. Główną przyczyną tych nieporozumień były kwestie programowe. Herzen popierał powstanie pod warunkiem, że Polacy wypiszą na swych sztandarach hasło „Ziemia dla chłopów". Socjalistyczna emigracja rosyjska owych czasów oskarżała powstańców polskich o obojętność dla losu chłopów, jeśli już nie wręcz o szlacheckość. Tym bardziej zasługują na uwagę listy Bakunina w sprawie powstania polskiego, które przytacza Herzen w swych pamiętnikach. Jeden na przykład z tych listów podpisany przez Ogarowa i Bakunina, skierowany do oficerów rosyjskich, stacjonowanych w Polsce, wzywa ich do udziału w powstaniu. Oto kilka zdań z tego listu: „...Musicie przyłączyć się do powstania polskiego bez względu na formę jaką przyjmie. Ofiarujecie się dla odkupienia grzechów rosyjskiego caratu. Co więcej, pozwolenie na to, by Polska została pobita bez żadnego protestu ze strony bojowej partii rosyjskiej, stworzyłoby fatalny pozór Rosji, biorącej ulegle i niemoralnie udział w rzezi, za którą sam tylko Petersburg jest odpowiedzialny. Tym niemniej wasza sytuacja jest beznadziejna i tragiczna. Nie widzimy szans powodzenia... Klęska partii postępowej w Polsce pociągnie za sobą tymczasowy tryumf despotyzmu carskiego w Rosji. Lecz sytuacja Polaków jest tak nieznośna, że nie stać ich już więcej na cierpliwość". Herzen i Bakunin traktowali więc swe wystąpienia w obronie powstania za pewnego rodzaju dług honorowy, który spłacali Polakom. Herzen sam jednak, jeśli nie Bakunin, pokładał swe nadzieje w reformach społecznych i politycznych, wydzieranych caratowi, nie zaś w walce zbrojnej. Herzen opisuje jak odmiennie reagowali rewolucjoniści polscy i rosyjscy na te reformy. Dla Polaków, powstańców par excellence, każda reforma była ciosem, albowiem zmniejszała przepaść między caratem a ludem rosyjskim. Tymczasem emigranci rosyjscy w Londynie witali każdą reformę z radością, jako etap na drodze postępu i zapowiedź lepszej przyszłości. Czasem w tę radość rosyjską w Londynie wdzierały się jak zgrzyty echa warszawskie. Tak na przykład dwa lata przed powstaniem styczniowym emigracja rosyjska święciła uroczystym obchodem zniesienie pańszczyzny, wielką reformę rolną z roku 1861. Na uroczystość tę zjawił się jeden z emigrantów polskich, wykrzykując bez tchu: „To nie jest dzień dla radowania się. Rosjanie przelewają polską krew w Warszawie!". Chodziło tu zapewne o tę demonstrację lutową, o której to K. Pruszyński niedawno pisał, że „w naszych czasach nie możemy pojąć, by pięć ofiar ulicznego zajścia mogło uczynić takie wrażenie". I z powodu tych pięciu ofiar Herzen rozpoczął swe przemówienie dla uczczenia największej reformy, jaką osiągnęła Rosja w wieku XIX, od słów: „Przyjaciele, dzień naszej radości zaćmiony jest nieoczekiwaną wiadomością. W Warszawie leje się krew, słowiańska krew przelewana przez braci Słowian".

Co uderza dzisiejszego czytelnika pamiętników, to uporczywość z jaką nuty jeśli nie panslawistyczne to słowianofilskie brzmią w słowach tych

wygnańców i heretyków dziewiętnastowiecznej Rosji. Bakunin marzy w Londynie o wolnym związku narodów słowiańskich, a Herzen, niedawny „Zapadnik" woła, że „świat słowiański zmierza ku swojej jedności". Te akcenty „rasowe" są, by powtórzyć to raz jeszcze, wyrazem rozczarowania do postępu zachodnio-europejskiego, przejawem pesymizmu krzewiącego się po klęsce Wiosny Ludów. Polacy najoczywiściej nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni wyłamują się z tej „solidarności słowiańskiej", widząc w każdej wersji „idei słowiańskiej" echo oficjalnego panslawizmu.

Szczególnie ciekawym z tego punktu widzenia dokumentem jest list otwarty Herzena do Michelet (z r. 1851) w ktorym pisarz rosyjski protestuje przeciw powiedzeniu Michelet, że „Rosja nie istnieje. Rosjanie nie są ludźmi, bo pozbawieni są wszelkiej wartości moralnej". Potępiając niesłychanie ostro i odważnie gwałty i podłość caratu, Herzen staje jednak w obronie ludu rosyjskiego i powołuje się na idee słowiańskie Mickiewicza. Powołuje się na chłopską i demokratyczną solidarność Polski i Rosji w walce przeciwko caratowi. Oto jedna ze znamiennych apostrof Herzena w jego wspaniałym zresztą pod wielu względami liście do historyka francuskiego:

„Być może, że w czasie wojny 1830 roku nastrój ekskluzywnego nacjonalizmu i całkiem zrozumiałej wrogości (wobec Rosji) wziął górę w Polsce. Lecz od tego czasu wpływ Mickiewicza, historycznych i filologicznych dzieł wielu uczonych słowiańskich, bliższa znajomość innych narodów europejskich, okupiona gorzką ceną wygnania, nadała zupełnie odmienny kierunek myśli polskiej. Polacy odczuli wreszcie, że bój nie toczy się między ludem rosyjskim a nimi. Nauczyli się, że na przyszłość jedyną drogą jest walka o naszą i waszą wolność, jak głoszą słowa wypisane na ich rewolucyjnym sztandarze". Oto zaledwie kilka epizodów zaczerpniętych z tej kopalni wspomnień o emigracji londyńskiej jaką, stanowi pamiętnik Herzena.

FRANCISZEK WILK

„ŚWIATŁA Z PODZIEMI"

Rozmaicie zwykliśmy patrzeć tu na Emigracji na to, co się w Kraju dzieje, na ludzi żyjących w jego podziemiach i stamtąd walczących z okupantem o byt niepodległy narodu, o przyszłość Polski.

Jedni, ludzie dobrej woli mówią nieraz o „ politykach w piwnicach", o ludziach odciętych murami Oświęcimia, Pawiaka i innych fortów i obozów koncentracyjnych od reszty wolnego świata i wskutek tego nie zdających sobie dobrze sprawy z tego, co się w tym wolnym świecie dzieje, a w szczególności nie uświadamiających sobie głębokich przemian moralnych, polityczno-społecznych, dokonywujących się w tym świecie w konsekwencji wielkiej rewolucji ideowej, którą obecna wojna ze sobą niesie.

Drudzy, których posądzanie o dobrą wolę byłoby daleko idącą naiwnością głoszą, że wojna i okupacja wywołała w Kraju głębokie przeobrażenia, że wszystko gruntownie się zmieniło, czego my tu na Emigracji londyńskiej nawet pojąć nie jesteśmy w stanie, zwłaszcza że przedwojennymi myślimy kategoriami.

A te przedwojenne kategorie to nic innego jak „partyjne zasady" i „bankrutujące ideały XIX wieku" (por: „Drogi Pokolenia" O.N.R.u — czyli legalna „Walka").

A więc, że Kraj, że Naród odwrócił się od skłóconego i rozbitego partyjnictwa, którego nie dobitki jeszcze na emigracji działają, że porzucił przedwojenne rozważania i dyskusje ideowe, przestarzałe i zbankrutowane programy i hasła, niekiedy podejrzanego pochodzenia („międzynarodowe

żydo-masońskie agentury"), że „ludzie podziemni" i „leśni" — to żołnierze, których treścią życia jest walka, a celem Polska — „Rzeczpospolita Wielkiego Narodu", nie istniejącego jeszcze, ale mającego za to dopiero powstać ze „zlania się Polaków z Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami na przestrzeni od — do —" (proszę zaglądnąć do odpowiedniego numeru nielegalnej kiedyś „Walki").

Ideologowie spod znaku „Szefa" dodają, że żołnierze Polski Podziemnej — i cywilni i wojskowi — walczą o to, aby tylko Polska była, nie myśląc dziś o tym jaką ona będzie, że Kraj walczy tylko o granice, nie troszcząc się o to, co wewnątrz tych granic się będzie działo. Mówią tak, bo nie mają odwagi przyznać się do czego naprawdę dążą i jaki los takiej Polsce zgotować pragną.

Tymczasem wiadomo aż nadto dobrze, że kto walczy ze „znienawidzonym" i destruktywnym partyjnictwem", ten tchórzliwie dąży do totalizmu i dyktatury. Znamy dobrze tę popularną argumentację powtarzaną ongiś przez „Gazetę Polską", różne „Zaczyny" i „Falangi", tylko dziwne, że doświadczenia, jakie z tego wynikły i cztery lata emigracji na ziemi brytyjskiej niczego ludzi spod tych znaków nie nauczyły.

Konsekwencją rozumowania ideologów „Falangi", a dzisiejszej „Walki", „Gazety Polskiej" i „Myśli Państwowej" musi być stwierdzenie, do którego doszli w swoich „Drogach Pokolenia" pisząc, „wbrew temu, co się sądzi na emigracji, w Kraju liczą się tylko trzy realne siły: narodowcy, cstara sanacja' i robota komunistyczna podsycana z zewnątrz". Ludowcy liczą się dopiero w drugiej kolejce", socjaliści „ w stanie rozbicia...nie ważą na obliczu politycznym Kraju". Stronnictwo Pracy — nie istnieje. Tak zbrodniczo lekkomyślnie pisze się i drukuje w Londynie dla uświadomienia naszych Sprzymierzeńców, a właściwie dla dostarczenia argumentów różnym „patriotom słowiańskim" wbrew całej rzeczywistości w Kraju, gruntownie udokumentowanej całemu światu. Słowem zadziwiająca kompania i solidarność wszystkich zwolenników mniej lub więcej zakapturzonej dyktatury, totalizmu i faszyzmu, a wrogów wolności i praw człowieka.

Ale i Kraj i my, pamiętający dobrze pomajowe „przedwiośnie" i wrzesień, nie ten bohaterski Westerplatte i Warszawy, Kutna i Lwowa, ale ten ponury, tragicznie ponury wrzesień Zaleszczyk, Kut i Rumunii — nie mamy żadnych złudzeń co do tych ludzi i głoszonych przez nich haseł.

Na szczęście nie nasze, ale żołnierza spod Cassino,ścielącego gęsto swym ciałem stoki klasztornego wzgórza, na szczęście bohaterskiego lotnika i marynarza, a przede wszystkim tych milionów „podziemnych" i „leśnych" ludzi w Polsce — tam w Kraju jest inaczej, niż to głoszą na emigracji apostołowie gasnącego świata.

Dowodzą tego nadsyłane z Kraju opracowania ideowo-programowe, struktura organizacyjno-polityczna Polski Podziemnej, poważna prasa krajowa, dowodzi tego cała rzeczywistość Polski żyjącej, walczącej i — co dla nich najdziwniejsze — myślącej w podziemiach.

Wbrew temu, co się tutaj pisze, są w Kraju inni ludzie, którzy śmierć mając za towarzyszkę nieodstępną i walczą, i z podziemi tajnych drukarń światło samodzielnej myśli na świat wynoszą.

Nurty ideologiczne tej myśli są głębokie i wszechstronne,a nade wszystko bliskie bardzo „choremu" według „Dróg Pokolenia", a przecież zwycięskiemu w „Krucjacie Wolności" zachodowi Europy.

Częściowy przegląd tych myśli i ich nurtów dają nam przedrukowane na emigracji publikacje: „O Treść i Formę Przyszłej Polski", drukowana częściowo również w „Nowej Polsce", „Program Podziemnego Ruchu Ludowego", wydany w Kraju p.t. „Deklaracji ideowo-programowej", stanowiącej rezultat paroletnich prac i przemyśleń poprzedzonej rozważaniami programowo-taktycznymi p.t. „Chłopska Droga". Najświeższe wydawnictwo „Światła z podziemi" odtwarza najlepiej moralno-polityczną

atmosferę, w której powstaje i rozwija się bujnie myśl ludowa w Polsce. W nim najpełniej wypowiedziała się przepełniona żarem płomiennego patriotyzmu chłopska dusza, w nim odbiło się pełne głębokiej troski o naszą przyszłość, o przyszłość Polski, gorące chłopskie serce, to serce, które tłumić w sobie musi nie jedną gorycz, bo mu jej nigdy nie szczędzono. Mimo to nie pomne na wszystko bije ciągle i niezmiennie miłością Sprawy, dla której nigdy dość trudów, cierpienia i ofiar.

Walka podjęta we wrześniu przez chłopów toczy się do dziś. Ta walka trwa. W podziemnym froncie, w pierwszej jego linii prowadzi ją cały Ruch Ludowy ramię w ramię z wszystkimi ruchami politycznymi, jego Baony Chłopskie ramię w ramię z podziemną Armią Krajową; kieleckie i lubelszczyzna to pierwsze pola ich bitwy. W walce tej jest zjednoczona cała wieś i chłop-żołnierz i kobieta-sanitariuszka i łączniczka do leśnych chłopców — i ocalała przed rabunkiem kontyngentowym chłopska komora, jako ich intendentura.

Równolegle z walką zbrojną, walką cywilną idzie w parze wytężona, gorączkowa i twórcza praca myśli, wyprzedzająca aktualną rzeczywistość i biegnąca w przyszłość, w przyszłość Narodu i Państwa.

Wykuwa się programy, rzuca się podwaliny, na których ruch ludowy od pierwszego dnia wolności budować będzie wspólny Dom — Polskę. Dom ten musi być mocny, zdrowy i trwały, by go żadne burze wojenne poderwać ani rozbić nie zdołały.

W podziemiach pracy Ruchu kuje się broń do walki o ten Dom, formuje się postawę ideową człowieka, który ten Dom po zwycięstwie będzie wznosił. Rodzi się nowe polskie Jutro. Powstaje wizja Nowej Polski, nowej, bo na innych i nowych zasadach moralnych i politycznych opartej, bez względu na to, czy ten termin komuś się podoba czy nie.

Myśl chłopska sięga najpierw we własną i narodową przeszłość. Bada i analizuje starannie co w niej było złe, a co dobre i pożyteczne. Robi to nie dla wyrównania rachunków za dawną niewolę i wielowiekową krzywdę, nie z nienawiści i zemsty, bo jak mówi „Polska Ludowa" — organ ideologiczny Ruchu — „nie istnieje taka zemsta, która mogłaby chłopską krzywdę wyrównać". Jej postawa jest inna. Formuje ją taż sama „Polska Ludowa" w słowach następujących:

„Należy pogodzić się z historycznym nieodwracalnym faktem, że dawna Polska zbudowana na podstawach szlacheckiego światopoglądu umarła... i nie da się wskrzesić, bo duch szlachetczyzny jest na tle dzisiejszych pojęć anachronizmem. Bo widma zejść muszą wreszcie z powierzchni naszego życia". Ale — „chłopi nie zamkną oczu na przeszłość. Nie wyrzekną się dziedzictwa Piastów i Jagiellonów. Nie odrzucą precz tego wszystkiego, co w przeszłości naszej było wielkie i nieśmiertelne. Sprzymierzą się z wszystkimi wartościowymi ośrodkami naszego Narodu i budować będą od podstaw nową Polskę, sprawiedliwą, demokratyczną, ludową. W harmonii z nieśmiertelnymi pierwiastkami przeszłości i w harmonii z dzisiejszą rzeczywistością".

By taka i tylko taka Polska stała się rzeczywistością, na inną bowiem w powojennym świecie, a zwłaszcza „na tym szlaku po którym tak swobodnie kroczy historia" miejsca nie będzie, musi nastąpić przeobrażenie moralne Narodu, przewartościowanie dotychczasowych ideałów i zasad i głębokie i powszechne nowych ideałów uświadomienie:

Organ „Przebudowa" nazywa to „odnowieniem dusz". Pismo młodzieży wiciowej „Młodzież" określa to jako „odbudowę człowieka". Elementy tej „odnowy" formułuje miesięcznik „Orka" pisząc tak:

„Cechą zasadniczą naszej postawy światopoglądowej jest heroizm. Oznacza to prymat pewnych zasad moralnych i zdolność poświęcania wszystkiego włącznie z życiem w ich obronie. Głosząc heroizm wymagać będziemy wychowania obywatela w kulcie dla sprawy i ludzi wielkich,

w pracy nie dla wygody jednostki, lecz dla dobra całego narodu, a przeto i ludzkości, kultywowaniu cnót nie tyle o charakterze negatywnym, jak to robi na przykład etyka katolicka, lecz cnót pozytywnych, wyrażających się w działaniu, w tworzeniu.

W odróżnieniu od ideologii nacjonalistycznej, która cel najwyższy i bożyszcze widzi w pojęciu narodu, heroizm nasz wprowadza pojęcie misji narodu, który nie jest celem w sobie, lecz ma służyć ideałom ogólnoludzkim, ma spełnić w rodzinie narodów świata zadania, jakie wynikają z jego właściwości, z jego położenia geograficznego i historii".

Zadania te to przede wszystkim walka o tryumf zasad moralnych w stosunkach międzynarodowych i w współżyciu narodów po wojnie. To współdziałanie w budowie nowego świata, opartego nie na zasadach równowagi, bo z dążenia np. do równowagi europejskiej wynikały początkowo zbrojenia Hitlera, nie na zasadach supremacji siły nad prawem, nacjonalizmu i mocarstwowości, tak popularnej u t.zw. przewódców naszej emigracji, wpatrzonych w siebie i paplających o misji „wielkiego narodu", ale na podstawach zgodnego współżycia, międzynarodowej sprawiedliwości i demokracji, wynikającej z „braterstwa ludów" wykuwającego się już dziś w ogniu walki o Cassino, Rzym, o Włochy, a wreszcie podjętej dziś „w krucjacie wolności Europy" na brzegach Normandii.

Miesięcznik „Orka" wyczuwa dobrze i tak formułuje te przemiany, jakie dokonywują się w duszy narodu podczas tej wojny:

„W narodzie naszym przeżywa niezwykle ostry kryzys koncepcja państwa narodowego i suwerennego. Taki kryzys przeżywają zresztą inne średnie i małe narody europejskie. Wojna obecna unaoczniła każdemu obywatelowi kompletną bezsiłę takiego suwerennego państwa wobec niszczycielskiej techniki uprzemysłowionych mocarstw. Odbudowa zaufania do własnego państwa, do własnej armii, do własnej waluty i t.d. będzie kwadraturą koła jeśli nie zostanie stworzony naprawdę realny system zbiorowego bezpieczeństwa. Cała jednak przyszłość tego rodzaju wspólnot, bloków zależeć będzie od ducha ożywiającego narody. Jest rzeczą jasną, że hasło bezpieczeństwa jest zaledwie lichym kitem, a nie żelazobetonem spajającym nowe twory. W życiu europejskim muszą powstać większe i głębsze ideały, a dla naszego narodu nie może być obojętne, jakimi ideami kierować się będą budowniczowie nowego ładu. Nie chcąc spaść do roli eksploatowanego obiektu musimy wziąć aktywny udział w tej nowej budowie, musimy wnieść do życia międzynarodowego własne ideały i koncepcje. Niestety nasza myśl niechętnie biegnie w tym kierunku, a jeżeli szuka rozwiązań, to raczej na płaszczyźnie czysto mechanicznej, niż duchowej, mimo, że nasza filozofia i poezja romantyczna wydała tyle wspaniałych dzieł głoszących braterstwo ludów!"

Tak więc, wychodząc z zasad natury moralnej i pierwiastków czystego idealizmu, znajdującego źródło w głębokiej filozofii chrześcijańskiej i religijności polskiego chłopa, z tych zasad, których prymat w życiu wewnętrznym narodu i państwa, a także i w stosunkach międzynarodowych jak najmocniej się akcentuje, dochodzi ruch ludowy do głównych sformułowań ustroju politycznego, społeczno-gospodarczego i kulturalnego przyszłej Polski.

Za najważniejsze zagadnienie polityczno-ustrojowe uważa „Deklaracja Ideowa" podziemnego ruchu — „umiejętne zharmonizowanie wolności człowieka z silną władzą państwową".

Z tego postulatu wynika przede wszystkim kategoryczne odrzucenie i potępienie kierunków głoszących materializm historyczny i społeczno-ekonomiczny,oraz prądów faszystowskich i totalistycznych,a więc hitleryzmu i komunizmu, które podeptały zasady wolności, prawa, godności człowieka, które to zasady Deklaracja Ideowa uważa za kanony demokracji. Choć zwolennicy dyktatury z prawa i z lewa głoszą, że demokracja się przeżyła,

miał rację śp. Stanisław Thugutt pisząc przed wojną w „Zielonym Sztandarze", że demokracja jest wieczna jak wieczne jest dążenie człowieka do wolności". „Polska Ludowa" zaś pisze, że „olbrzymie zadanie cywilizacyjne, jakie rzeczywistość powojenna przed Polską postawi, wykonać może tylko człowiek natchniony wolnością".

Silna władza państwowa, to zabezpieczenie Polski przed chaosem, anarchią i słabością, które do upadku doprowadziły pierwszą Rzeczpospolitą. Ale silna władza nie może oznaczać samozwańczych rządów jakiejś kliki. jak to było pod koniec drugiej Rzeczypospolitej. „Polska Ludowa" pisze:

„Niech się nikt nie łudzi, że naród nie jest czujny, że da się uśpić hasłami jakiego neo-ozonu (czy jak chce np. p. Doboszyński jednolitej organizacji narodu), że w jakiejkolwiek formie pozwoli na powrót do steru skompromitowanych przedwojennych dygnitarzy i przedwojennych metod politycznych. Naród trzyma na pulsie zdarzeń twardą rękę, która jest pozbawiona rękawiczki. Naród wie, że wolność może być odebrana nie tylko przez Hitlera, ale również przez jakiegoś nowego fałszywego proroka z naszego własnego grona. Naród do tego nie dopuści, bo nie po to umierały w Katyniu i Oświęcimiu tysiące Polaków, abyśmy mieli sobie wywalczyć nowy Brześć, czy nową Berezę".

Zharmonizowanie obu tych czynników wolności i silnej władzy nastąpi wówczas, gdy „naród będzie czynnikiem decydującym, suwerenem, gospodarzem w państwie, które jego celom służy" — pisze „Polska Ludowa".

Stąd wynika negatywne stanowisko organów podziemnego ruchu wobec obowiązującej Konstytucji, której zasady są całkowitym zaprzeczeniem tego stanowiska. „Polska Ludowa" kończy swoje rozważania p.t. „Naród sobie" taką konkluzją: „Ustawa ta musi być zniesiona".

Pod adresem zaś licznych i krzykliwych obrońców tej Konstytucji, zwłaszcza na emigracji, którzy głoszą, że ona właśnie jest źródłem wszystkich dobrodziejstw spływających na naród w czasie tej, tak dalekowzrocznie przewidzianej w niej wojny, „Polska Ludowa" słusznie stwierdza, że „w stosunkach międzynarodowych zawsze a w czasie wojny w szczególności siła i fakty grają o wiele większą rolę niż formalności. Pozycję Polski na świecie i jej ciągłość formułują dzisiaj nie przepisy jakiejkolwiek konstytucji, ale życie, siła moralna, materialna i niezłomna, bezkompromisowa postawa Narodu Polskiego. Gdyby ten Naród się załamał, nie uratowałaby Polski najbardziej nawet natchniona konstytucja".

Zagadnienie demokracji parlamentarnej i demokratycznych rządów po wojnie, to przede wszystkim zagadnienie wzajemnej współpracy stronnictw. Problem ten jest niesłychanie istotny na dziś, jeszcze ważniejszym pokaże się w Kraju po wojnie. Na ten temat „Polska Ludowa" wypowiada niesłychanie ciekawe uwagi, wskazujące jak głęboko europejskie, zachodnioeuropejskie jest wyczucie ducha, sensu i istoty demokracji. Pisze tak:

„Dwie rzeczy są potrzebne do rządzenia: program i działanie zmierzające do wykonania programu. Aby demokracja mogła stworzyć wykonalny praktycznie program rządzenia, musi być natchniona duchem kompromisu. Jest czymś wyjątkowym w życiu praktycznym państwa demokratycznego, aby całość programu jednej partii mogła stać się programem rządowym, że po prostu trzeba przestac o tym mysleć. Stronnictwo oczywiście musi mieć program i w całokształcie dążyć do jego realizacji, ale należy zawsze pamiętać, że o wiele większe znaczenie ma powolna nawet realizacja części programu, niż teoretyczne i płomienne rojenia o niewykonalnej całości. Regułą za tym winien być kompromis, zawarty przez różne partie, reprezentujące większość społeczeństwa. Kompromis zapewniający rządowi wszystko, co jest potrzebne do realizacji politycznych celów państwa. Stronnictwa nie powinny przeżywać jakiejś doktrynerskiej niechęci do kompromisu. Zacietrzewienie ideologiczne i nienawiść do przeciwników

politycznych nie mają żadnego większego znaczenia, jeżeli się pamięta, jak względna jest wartość ludzkiej filozofii. Kompromis musi nastąpić wtedy, gdy interes państwa będzie tego wymagał. Prawdziwa demokracja to kompromis, zawarty w imię przewagi interesów całości nad interesem grupy. A stronnictwo polityczne, które tego prawa nie rozumie, nie jest demokratyczne. Czają się w nim raczej zarodki przyszłego totalizmu".

I tak dalej snuje „Polska Ludowa" swoje wnikliwe rozważania na temat przewódców, mas, społeczeństwa i grup politycznych oraz form rządzenia:

„Przez długie kilkanaście lat przedwojennych naród polski pozbawiony był wolnościowego ustroju życia. Nie miał wpływu na wybór przewódców, nie mógł kontrolować ich działania. Tęskni do demokratycznych form ustrojowych, ale tęskni również do silnej władzy. Patrzy dziś na wą wielką katastrofę i chciałby czegoś podobnego na przyszłość uniknąć. Szuka więc systemu władzy zespalającej narodową moc i zdolny do rozwiązania problemu Polski wewnętrznie zwartej. W takim momencie dochodzi do głosu i startuje polska demokracja. Zastanówmy się dobrze, bo chodzi o wielkie rzeczy. O odbudowę Polski w Europie, o odbudowę jej struktury wewnętrznej, o likwidację wojennego chaosu — o wszystko: W takiej chwili trzeba zgodnie myśleć i zastosować najdoskonalsze metody działania".

Tak postawione zagadnienie demokracji politycznej, to jest demokracji, jaką mamy np. w krajach anglosaskich — nie wyczerpuje całości problemu demokracji o jaką podziemnej myśli ludowej chodzi.

To też organ „Przebudowa" stwierdza, że „demokracja polityczna jest zaledwie pierwszym krokiem na drodze do urzeczywistnienia pełnej demokracji".

Miesięcznik „Polska Ludowa" poddaje krytyce system demokracji politycznej, pozbawiony właściwej treści społecznej. Woła więc o „demokrację społeczną" w przyszłej Polsce.

Demokracja polityczna bowiem, derywat kapitalistycznego ustroju mogłaby zadawalać chłopów w XIX wieku, ale dziś to im już nie wystarcza, zwłaszcza, że nie jest ona w stosunku do warstw ludowych bez grzechu. Demokracja przedwojenna, demokracja polityczna zwiastowała warstwom





Z pracowni malarskiej Rafała Malczewskiego

ludowym wolność, równość i braterstwo. Rozbudziła najszersze masy społeczne i zaprawiła je do udziału w życiu społeczno-politycznym. Zdobyła dla nich uprawnienia polityczne, rozwinęła nawet niekiedy wspaniałe instytucje kulturalnego postępu, ale w rzeczywistości nie lud, lecz kapitał władał i przytłaczał sobą całe życia publiczne, a zwłaszcza politykę społeczno-gospodarczą państwa. Klasycznym przykładem takiego procesu była przedwojenna Francja, w dziedzinie politycznej ultra demokratyczna. A i w naszym emigracyjnym życiu państwowym mamy ciekawe przykłady robienia „demokracji patronackiej", urządzanej „dla ludu" przez czynniki konserwatywno-reakcyjne, ale za to przy głośnym akcentowaniu politycznych haseł demokratycznych.

„Polska Ludowa" w artykule p.t. „Demokracja społeczna" określa dokładnie o jaką demokrację walczą chłopi w Kraju. Pisze tak:

„Co niesie ze sobą duch nowej demokracji? Demokracja, której podłożem będą zorganizowane, masowe ruchy społeczno-polityczne warstw ludowych nie ulegnie z pewnością najmniejszemu złudzeniu, iż można realizować wolność polityczną ludu bez przeprowadzenia gruntownych przeobrażeń społeczno-gospodarczych. Sama wolność polityczna dla człowieka, pogrążonego na dnie nędzy, lub stale wyzyskiwanego na skutek niesprawiedliwego ustroju społecznego, byłaby tym, co słodki cukierek dla pustego żołądka.

Toteż ludowy obóz demokratyczny żąda przede wszystkim takiej przebudowy społeczno-gospodarczej w duchu sprawiedliwości społecznej by znikły ze stosunków ludzkich niezapracowany zysk i wyzysk pracy najemnej, by samo posiadanie ograniczone było i podporządkowane dobru społecznemu, by każdy człowiek za swą pracę posiadał sprawiedliwy udział w dochodzie społecznym.

Przeniesienie ziemi do rąk tych, którzy na niej osobiście pracują, uspołecznienie wielkich warsztatów przemysłowych, organizowanie wymiany dóbr na zasadach spółdzielczych — oto dzisiaj zasadnicze punkty minimalnego programu nowej demokracji. Dopiero dokonanie tych podstawowych reform społeczno-gospodarczych może wytworzyć nowy klimat dla rozwoju demokratycznych stosunków międzyludzkich w polityce, kulturze, moralności i wychowaniu. To wytworzy nową treść życia społecznego".

Oto zasadnicze podstawy programu nowej, przyszłej Polski. Nie jest on bynajmniej wyrazem dążeń klasowych warstwy chłopskiej i inteligencji ludowej, ale leży on w interesie całego narodu i jest nakazem polskiej racji stanu. Jak sobie wyobraża wieś polska realizację tego programu?

„Deklaracja Ideowo-Programowa" pisze: „Z ruin i zgliszcz wojennych, ze spustoszenia, grabieży i deprawacji moralnej, zaszczepionej przez okupantów, nie może od razu powstać Polska silna, gospodarna i szczęśliwa. Tylko największym wysiłkiem całego narodu, natężeniem pracy do możliwie najwyższych granic, zdolnością rezygnacji z łatwego życia — będzie można usunąć katastrofalne skutki wojny. Współdziałanie wszystkich twórczych sił społeczeństwa oraz głównych kierunków społeczno-politycznych będzie wówczas podobną koniecznością jak obecnie w czasie walki o wolność.

Prac podjętych nad odnową i normalizacją życia w odrodzonej Polsce nie mogą paraliżować burzycielskie przewroty społeczne".

Stąd stanowcze przeciwstawienie się wszelkim przewrotom rewolucyjnym i wysunięcie szerokiego planu reform, które stopniowo i racjonalnie wprowadzane w życie, zmierzać mają do przebudowy społecznej, do społecznej demokracji. Wyrazi się ona nie tylko w życiu społeczno-gospodarczym państwa, ale również w dziedzinie kulturalnej poprzez demokratyzację kultury, upowszechnienie zdobyczy kulturalnych i oświaty, na drodze uczestnictwa ludu w tworzeniu tej nowej kultury.

Czy są w kraju siły, zwłaszcza wobec ogromnego wyniszczenia dotychczasowej warstwy kierowniczej inteligencji, do podjęcia tego wysiłku

cywilizacyjnego, do pchnięcia rozwoju całokształtu życia na nowe tory, do wyrównania strat i zniszczeń wojny, a potem tych braków, które stanowiły o naszym zacofaniu w stosunku do zachodniego świata? Jest to zagadnienie bilansu strat i zysków, zagadnienie przemian, jakie w duszy polskiej dokonały się na skutek doświadczenia wrześniowego i pięcioletniej okupacji Kraju przez wrogów. Na to pytanie daje nam odpowiedź miesięcznik „Orka" pisząc:

„Pozycją o przełomowym w życiu narodów znaczeniu jest wielka, wzruszająca aktywizacja polityczna z najszerszych warstw ludu polskiego, a zwłaszcza polskiej wsi. Ogół nie zdaje sobie u nas jeszcze sprawy z doniosłości tych przemian, jakie przechodzi wieś. To o czym marzyli nieśmiało nasi wieszczowie, stało się na oczach naszych faktem. Rok 1920, Nowosielce, strajki chłopskie — owszem to były dowody, że wieś się rusza, ale to były tylko fajerwerki wobec tego co się dzieje dzisiaj, a co się dzieje tego nie potrzebujemy opisywać. Polska uzyskała miliony żarliwych patriotów. Jeżeli ktoś się obawia, albo się łudzi, że ta aktywizacja ma tylko postawę oporną i koniunkturalną, to znaczy antyniemiecką, ten jest w błędzie. Wieś nie jest już spokojną i na pewno nie będzie taką po wojnie. W powrotny sen już nie zapadnie, lecz na pewno całą swoją dynamikę skieruje na zagadnienia wewnętrzno-polityczne. Gdyśmy mieli przed wojną najwyżej trzy miliony aktywnych politycznie obywateli, to po wojnie będziemy ich mieli kilkanaście milionów. Otóż z tego będzie można wytworzyć, wykrzesać ruch, który zdolny będzie zrewolucjonizować w sensie pracy cywilizacyjnej, gruntownie przeorać całe polskie życie".

A miesięcznik „Żywią i Bronią" tak konkluduje: „Na tę drogę wszedł z całym rozmachem ruch ludowy i z tej drogi już się nie cofnie ani zepchnąć się nie pozwoli".

JERZY HORZELSKI

MOWA

Schemat konstrukcji pojęć — psychicznych elementów mowy (por. „Wyraz" — „Nowa Polska", styczeń 1944, str. 47 i in.) — oraz mechanizm ich przemian jest, oczywista, najzupełniej hipotetyczny, pozwala on jednak głębiej i wszechstronniej oświetlić zagadnienie mowy w niektórych jej aspektach społecznych. Tą drogą można zbliżyć się do rozumienia takich zjawisk mowy, których albo wcale dotychczas nie usiłowano wyjaśnić i rozumieć, albo nadano im niegdyś tłumaczenia, dziś jawnie niezadowalające.

Wyjaśnienia, jakie można skonstruować na podstawie koncepcji pojęcia pozwalają wyznaczyć regularności (prawa) w kapryśnej pozornie linii przemian i rozwoju pewnych zjawisk społeczno-językowych, a przez to umożliwiają ich antycypację. Ponieważ zaś samo tłumaczenie może podlegać obiektywnemu sprawdzaniu przez obserwowanie rzeczywistości, przeto istnieje, pośrednia wprawdzie ale realna, kontrola hipotez wyjściowych.

Zagadnieniem, które od bardzo dawnych czasów interesuje, a nawet pasjonuje nie tylko językoznawców jest sprawa pochodzenia mowy w ogóle, a odrębnych systemów językowych w szczególności.* Zagadnienie to porusza już uniwersalny Platon (w dialogu „Kratylus"), a pierwszą próbę

* N. 3 Sławna Société de Linguistique uchwaliła niegdyś zakaz zajmowania się zagadnieniami genezy mowy, gdyż wobec niedostatecznych danych faktycznych rozwiązania takie prowadziły do bezpłodnych hipotez. Zakaz ten ostantio jest coraz częściej „łamany" przez „oficjalnych", t.zn. uniwersyteckich uczonych.

„systematyki" języków europejskich rozwija „bezdenna studnia wiedzy" — Joseph Scaliger. Pierwszym jednak punktem wyjścia dla „naukowej" lingwistyki stało się dopiero odkrycie sanskrytu. Dokonali go, od siebie nawzajem niezależnie, francuski jezuita Cardoux (w memoriale złożonym Akademii Francuskiej w r. 1767, ale opublikowanym dopiero w 40 lat później), oraz Anglik, Sir William Jones (w r. 1784). Wiadomości o sanskrycie, języku „niesłychanej" starożytności, a posiadającym dziwne podobieństwa do wielu języków europejskich, zelektryzowały lingwistykę naukową i zapoczątkowały studia sanskrytologiczne. Są one do dziś uważane za niezbędną podstawę nowoczesnej lingwistyki. Dane ogłaszane o sanskrycie obudziły bardzo daleko idące nadzieje. Już w r. 1908 niemiecki uczony Fryderyk Schlegel wypowiada twierdzenie, że gramatyka porównawcza dostarczy danych, dotyczących genealogii mowy, podobnie jak anatomia porównawcza dostarczyła wiadomości o genealogii stworzeń żywych. Książeczka Schlegla — „Język i wiedza Hindusów" — zapoczątkowuje długi szereg prac autorów, głównie niemieckich, których zasadniczym zadaniem stało się rozwinięcie i uzasadnienie założenia, że wszystkie języki ludzi białej rasy rozwinęły się w drodze przemian ewolucyjnych z jednego, wspólnego pra-języka. Szczątkiem jednego z najdawniejszych etapów ewolucji językowej jest sanskryt, który w ten sposób najmniej odbiega od oryginału — nieznanego pra-języka.Szczeblem najwyżej rozwiniętym, a wobec tego najdoskonalszym, jest grupa języków germańskich, jeżeli nie po prostu język niemiecki. W ten sposób nic dziwnego, że pierwotny pra-język otrzymał nazwę indo-germańskiego.

Hipoteza, tak bardzo zgodna z ogólnymi tendencjami myślowymi epoki, która wydała teorię ewolucji, nie miała i właściwie dotychczas nie ma koncepcji konkurencyjnych, pozostając „oficjalnym" poglądem naukowej lingwistyki. Poza nieistotnymi poprawkami — m. in. zmianą nazwy pra-języka na „indo-europejski" — koncepcja genetyczna nie spotkała się nawet z poważniejszymi zarzutami krytycznymi, co zresztą jest okolicznością raczej niekorzystną, gdyż pozbawia myśl naukową bardzo istotnego czynnika dociekliwości i rozwoju wszechstronnego.

Dowody genetycznego pochodzenia języków białej rasy od wspólnego pra-języka opierają się na wydedukowanych prawach przemian fonetycznych, stanowiących historyczny cykl rozwojowy każdego z języków. Stosując te właśnie prawa przemian fonetycznych można, z dużym stopniem dokładności, wyprowadzić zarówno pewną liczbę wyrazów jak i formy gramatyczne poszczególnych języków z wspólnego języka indo-europejskiego.

Albo raczej odwrotnie: wyrazy (niektóre!) i formy gramatyczne poszczególnych języków, razem z sanskrytem, można przekształcić przy pomocy praw fonetycznych tak, że utworzą one jednolity system językowy. Będzie to właśnie „zrekonstruowany", hipotetyczny język indo-europejski.

Nie jest to jednak dowód całkowicie wystarczający. Większą zapewne rolę w jego naukowym znaczeniu gra paralelizm z teorią ewolucji biologicznej, niż bezpośrednia wartość logiczna. Należy bowiem zaznaczyć, że wysiłki lingwistyki nie zostały uwieńczone powodzeniem w oczekiwanym zakresie. Mimo uruchomienia wielkiego aparatu naukowego, działającego, z górą stulecie, w postaci sekcji Akademii Naukowych, Instytutów i Stowarzyszeń specjalnych, oraz seminariów i zakładów uniwersyteckich — nie udało się włączyć do systemu indo-europejskiego nie tylko wszystkich języków ludzi białej rasy, ale nawet wszystkich języków europejskich. Trudność ta przy tym, w miarę gromadzenia wiadomości, nie tylko nie zmniejsza się, ale owszem, rośnie. Teoria „genetyczna" musi zatem, z konieczności, ograniczyć się do jednej tylko z wielu grup językowych. Łączenie tych grup, nawet hipotetycznie w dalsze, jeszcze pierwotniejsze ogniwa wspólne jest niemożliwe. Jak dotychczas nic bowiem nie zapowiada prawdopodobieństwa wykrycia śladów prajęzyków innych grup, niż indo-europejska.

Według dzisiejszego stanu wiadomości, do grupy języków indo-europejskich należą: germańskie, romańskie, słowiańskie, bałtyckie, indyjskie (nie wszystkie), oraz grecki, perski, albański i ormiański. Zazwyczaj do tejże grupy zaliczane są również języki celtyckie (gaelicki, irlandzki, walijski i bretoński), ale ich związek z indo-europejskim jest znacznie mniej widoczny i uznawany raczej „na słowo honoru".

Spośród innych języków europejskich do grupy indo-europejskiej nie dadzą się wcale włączyć: lapoński, fiński, estoński, czeremiski i węgierski, wzajemnie ze sobą spokrewnione i ujęte w osobną grupę — ugro-fińską.

Zupełnie na uboczu znajduje się język baskijski, stanowiąc grupę sam dla siebie.

Inne języki, używane przez narody białej rasy, albo przez ludy mieszkające w terytorialnym zasięgu kultury białej rasy, musiały być sklasyfikowane w dwie dalsze, odrębne grupy językowe: semicką (sumeryjski, asyryjski, fenickie, arabskie, etiopskie, hebrajskie i maltański), oraz turko-tatarską (tureckie, tatarskie, kirgizkie).

Pozostałe języki świata zostały podzielone, mniej lub więcej prowizorycznie, na pięć dalszych grup językowych: hamicką, indo-chińską, malajsko-polinezyjską, drawidyjską i bantu.

Koncepcję genetycznego pochodzenia języków z wspólnego prajęzyka zawdzięczamy prawdopodobnie nie tylko wpływowi teorii ewolucji biologicznej. Znacznie wcześniej podobna koncepcja powstała na terenie języków hebrajskich. Została ona utrwalona w Biblii, w jednym z najstarszych jej fragmentów (Genesis, XI), w postaci opowiadania o rozbiciu jednego, wspólnego języka ludzi na wszystkie języki świata podczas budowania wieży Babel.

Dla nowoczesnej lingwistyki poważną trudność stanowi fakt, że na obszarze, gdzie kształtowały się pierwiastki kultury naszej rasy istniały bardzo ważne języki, o niewątpliwym wysokim rozwoju i zapewne znacznym wpływie cywilizacyjnym, które pozostają dla nas całkowicie nieznane. Nawet jeżeli umiemy w niektórych z tych języków odczytywać znaczenie zachowanych napisów, to mimo to nie znamy wcale brzmienia ich wyrazów i nie możemy stwierdzić czy i jakie ślady pozostały po nich w językach znanych. Do tych, zaginionych języków należą np.: akkadyjski, egipski (egipskie?), kreteński, etruski.

Podobieństwo brzmienia i znaczenia wyrazów w zakresie języków indo-europejskich sprowadzia się do możliwości budowania mniej lub więcej kompletnych cykli, jak na przykład:

bharami	sanskryt
phero	grecki (dorycki)
fero	łacina
biru	staro-germański
bear	angielski
bera	staro-słowiański
biorę	polski

i t.d.

W takich szeregach zmiany brzmienia poszczególnych głosek, lub ich zespołów podlegają ściśle określonym prawom fonetycznym i są stałe. Znaczenie zaś wyrazów jest podobne albo bezpośrednio, albo metaforycznie. Analogiczne cykle budować można na podstawie podobieństwa gramatyki, a więc końcówek deklinacyjnych i koniugacyjnych, liczby i rodzaju, trybów i czasów, wreszcie funcji semantycznej poszczególnych postaci wyrazu. Są to zatem, w zakresie przez siebie obejmowanym, dowody wspólnoty pochodzenia bardzo poważne. Niestety, zakres tych dowodów jest raczej wąski, nie obejmujący bynajmniej całych obszarów językowych. Liczba wyrazów „wspólnych" jest stosunkowo bardzo mała. Stanowi ona niewielki procent zasobów słownikowych każdego z języków grupy, a co więcej, wyrazy wspólne odnoszą się tylko do pewnych, ograniczonych zakresów zjawisk i pojęć, związanych z określonym typem cywilizacji, czy nawet ustroju społecznego.

Wspólne wyrazy grupy języków indo-europejskich przedstawiają razem około dwustu pojęć, obejmujących zjawiska z zakresu przede wszystkim:

stosunków rodzinnych i plemiennych (nazwy stopni pokrewieństwa i zależności hierarchicznej), wierzeń religijnych, techniki pasterskiej, rolniczej i rękodzielniczej (w mniejszym zakresie). Poza tym małe liczby wyrazów dotyczą pojęć myśliwskich i handlowych. W każdym z języków grupy (a raczej w zespołach języków pokrewnych: słowiańskim, romańskim, germańskim i t.d.) pojęcia, nie dające się sprowadzić do wspólnego prajęzyka są nie tylko liczebniejsze od wspólnych, ale przy tym nie ograniczają się do pewnych, szczególnych zakresów wyobrażeniowych. Co więcej, takie właśnie odrębne wyrazy niekiedy dublują znaczeniowo wyrazy wspólne, będąc od nich zazwyczaj starsze. Wreszcie w każdym z języków tej grupy znajdujemy wyrazy, dające się poprzez sanskryt wyprowadzić z hipotetycznego prajęzyka, ale nie zachowane w innych językach indoeuropejskich.

Podobieństwa gramatyczne mają dla koncepcji genetycznej znaczenie mniejsze, choć zazwyczaj sądzi się odwrotnie. Są one znacznie mniej zdecydowane i przy zestawianiu szeregów genetycznych powstają luki, nie dające się w sposób przekonywujący wytłumaczyć. Nadto podobieństwa te dotyczą głównie wyrazów wspólnych, pochodzących z prajęzyka i są ich oczywistą konsekwencją. Rozciągając się, drogą analogii na inne wyrazy, te same formy gramatyczne tracą bardzo wiele ze swej regularności. Nie należy wreszcie zapominać, że nasza znajomość wczesnych form języków germańskich i słowiańskich opiera się na tekstach stosunkowo późnych i sporządzanych przez cudzoziemców. (Biskup Ulfilas w IV wieku dla języka gockiego, święci Cyryl i Metody w IX wieku dla starobułgarskiego). Będąc zmuszeni do wynalezienia specjalnych alfabetów i mając do czynienia z językami „barbarzyńskimi", nie zupełnie pasującymi do tematów religijnych, do jakich miały być użyte, niewątpliwie skłonni byli naginać te języki do form fonetycznych i gramatycznych swych języków ojczystych. Formy te, choćby były dla danego języka organicznie obce, mogły przyjąć się, poparte autorytetem tematu i pisma, wywierając ze swej strony przemożny wpływ na całokształt stosunków gramatycznych języka. Ta strona zagadnienia nie była bodaj dotychczas w należytym stopniu uwzględniona w badaniach.

Biorąc zatem pod uwagę wszystkie dane faktyczne, jakie można zgromadzić, łatwo dojdziemy do wniosku, że koncepcja genetyczna bynajmniej nie jest jedyną możliwą dla ujęcia faktów w konsekwentną konstrukcję. Można zbudować koncepcję odmienną, a naukowo równie prawdopodobną. Mianowicie koncepcję wpływu cywilizacyjnego ludu, mówiącego językiem pre-sanskryckim. Lud ten mógł nawet nie górować kulturalnie, ale rozprzestrzenić ogniska ustroju sprawniejszego gospodarczo lub militarnie. Byliby to jacyś przedhistoryczni „normanowie", czy „waregowie". Mogli to być również po prostu wędrowni kupcy i kolonizatorzy, podobni choćby do nieznanych bliżej założycieli Egiptu, czy późniejszych Fenicjan, rozsiewających swe kolonie handlowe niekiedy bardzo daleko od siedziby metropolii.

Wydaje się możliwe, iż zwrócenie uwagi lingwistyki w tym właśnie kierunku — zdjęcie okularów nastawionych wyłącznie na genetyczne pochodzenie języków — pozwoliłoby na odszukanie nowych, niedostrzeganych dotychczas faktów językowo-społecznych. Koncepcji genetycznej nie może to wszystko przekreślić, ale uwypukla jej charakter hipotetyczny, o czym niejednokrotnie a niepotrzebnie zapominamy.

Zasadniczym jednak niedostatkiem koncepcji genetycznej jest to, że nie zbliżyła ona lingwistyki do jej pierwotnego celu — dostarczenia wiadomości z zakresu genezy języka w ogóle. Cofając się jak najdalej w historię znajdujemy języki ukształtowane już tak wysoko, że jesteśmy od początków mowy równie prawie dalecy, jak przy którymkolwiek z języków współczesnych.

Na przykład język napisów kreteńskich, których nie umieny dotychczas odczytać, musiał znajdować się na bardzo wysokim stopniu rozwoju, skoro napis na dysku z Fajstos, pochodzący najpóźniej z trzeciego tysiąclecia przed naszę erą, choć ideograficzny, tłoczony jest ruchomymi stemplami, czyli, mówiąc inaczej — jest drukowany czcionkami. Tak wysoki stopień techniki pisma pozwala zakładać starożytność i wysoki stopień doskonałości samego języka.

Poszukiwania genezy mowy w ogóle musiały zatem sięgnąć do innych dziedzin. Spośród różnych koncepcji, dotyczących tego zagadnienia, aktualizuje się ostatnio hipoteza, wysnuta przez d-ra J. Rae w r. 1862 na podstawie obserwacji języków polinezyjskich. W dzisiejszej postaci hipoteza ta zakłada, że ruchy narządów artykulacji imitują w pewnym zakresie ruchy mięśniowe, wykonywane bądź świadomie, bądź jako reakcja warunkowa odruchowo przy przeżywaniu pewnych wrażeń i wyobrażeń. Stąd dźwięki, wydawane przy odpowiedniej artykulacji zostają skojarzone z danymi treściami wyobrażeniowymi i stają się „istotną" częścią brzmienia rozwijanego później wyrazu. W ten sposób mogłyby powstać wyrazy jakiejś pierwotnej pra-mowy. Hipoteza ta jest na pewno bardzo interesująca, choć usiłowania znalezienia w niej wyjaśnień form wyrazów współczesnych języków indo-europejskich idą zapewne nieco za daleko. Nie tylko dlatego, że wyrazy te są rezultatem znacznych przemian fonetycznych i bardzo daleko odbiegły od wyrazów pierwotnych właśnie w zakresie artykulacji, ale przede wszystkim — że zakres wyobrażeń, związanych z wyrazem uległ dużym zmianom, pociągając za sobą zmianę przeżyć emocjonalnych. Poza tym należałoby raczej mówić nie o „imitowaniu" ruchów mięśniowych przez aparat artykulacyjny, co implikuje niejako zewnętrzne podobieństwo, ale o pewnej równoległości impulsów ruchowych, obejmujących znaczne zespoły mięśni.

Jeżeli wiemy, że przeżycie pewnego wzruszenia, na przykład gniewu, wywołuje nie tylko efekt ruchowy mięśni dłoni i szczęk, ale również wpływa na mięśnie jelit, serca, przepony, a nawet na system mięśniowy, regulujący światło naczyń krwionośnych, czy sekrecję gruczołów dokrewnych — to możemy nie tylko przypuszczać, ale również stwierdzać obiektywnie i badać impulsy, działające równocześnie na mięśnie systemu artykulacyjnego. Trudność takiego badania (poza znacznymi przeszkodami natury czysto technicznej: metod obserwacji i pomiaru, aparatury i t.d.) polega jednak na tym, że stwierdziwszy istnienie podobnych impulsów ruchowych u człowieka współczesnego, choćby bardzo prymitywnego, niepodobna rozstrzygnąć, czy impulsy te są reliktem przyczyn dźwięków mowy, czy też jej skutkiem, skojarzonym w postaci reakcji warunkowej. Impulsy pierwotne u człowieka, czy antropoida przed okresem powstania mowy mogły być najzupełniej odmienne. Podejrzanie dalekoidąca zgodność impulsów ruchowych narządów artykulacji z dzisiejszymi wyobrażeniami odpowiadającymi współczesnym wyrazom kazałaby raczej przypuszczać ich wtórność.

Drugą dziedziną zainteresowań jest, w tym zakresie, badanie „mowy" zwierzęcej. Będąc zapewne bezpośrednią konsekwencją teorii ewolucji biologicznej, naukowe badanie mowy zwierzęcej zajęło się przede wszystkim mową małp człekokształtnych,a założonym a priori celem było udowodnienie, że między mową ludzką a zwierzęcą (małp) istnieje różnica tylko „ilościowa" nie zaś jakościowa. Główne zatem wysiłki szły w kierunku wykrycia artykulacji mowy małpiej i odszukania jej „wyrazów". Mimo, że dziś istnieją nawet słowniki mowy małp, samo założenie jest nieudowodnione i wyrazy mowy małpiej są pod każdym względem nieporównywalne z wyrazami ludzkimi. Różnica polega przede wszystkim na tym, że artykulacja wyrazów małpich ma, co najwyżej dodatkowe i wtórne znaczenie przy ich tonacji. Jest to cecha dość zasadnicza. W językach ludzkich artykulacja jest podstawowym wskaźnikiem „znaczenia", nawet gdy język, jak np. chiński, posługuje się tonacją dla rozróżniania homonimów. W językach małpich tonacja jest podstawą, zaś artykulacja może zmieniać się w dość dużym zakresie nie wpływając przez to na zmianę znaczenia. Poza tym badanie „znaczeń" wyrazów, czy sygnałów nie może prowadzić do odpowiednich porównań, jeżeli pominiemy analizę równoczesnych przeżyć wyobrażeniowych. Wyobrażenia zaś małpiej psychiki są, najprawdopo-

dobniej, zasadniczo różne od ludzkich, o ile można wnioskować z dość szczupłego i jednostronnego materiału obserwacyjnego. Wyobrażenia małpie są jednostkowe i jakby scałkowane, obejmujące całokształt zjawiska. Nie ma żadnych danych, aby sądzić, że psychika małp, nawet najinteligentniejszych, zdolna jest zanalizować wrażenie na wyobrażenia cząstkowe, choćby konkretne, na przykład wyobrażenia cech, lub czynności w oderwaniu od przedmiotu działającego. A przecież nawet od takich wyobrażeń jest bardzo jeszcze daleka droga ewolucji psychiki do wyobrażeń ściśle analitycznych, w istocie zupełnie abstrakcyjnych, jakimi są pojęcia, choćby najobszerniejsze. Toteż psychika małpy zdolna jest przeżywać wrażenia i wyobrażenia, przechowywać je w pamięci i kojarzyć w cykle — nie zdolna jest jednak, w ścisłym tego terminu znaczeniu rozumować, gdyż rozumowaniem jest dopiero kojarzenie pojęć. Kojarzenie wyobrażeń jest, co najwyżej, marzeniem. Tylko pojęcia mogą być łączone w klasy, albo rozpoznawane jako klasy, złożone z komponentów, a takie tylko przeżycia są rozumowaniem.

Bliższe jednak zaznajomienie się z językami zwierząt było dość cenne dla językoznawstwa, gdyż pozwoliło wykryć mowę zwierzęcą również i w mowie ludzkiej. Ludzie do dziś znają i używają wyrazów swej, gatunkowej mowy zwierzęcej. Są to wyrazy, odpowiadające takim samym jak zwierzęce wyobrażeniom nieukształtowanym, syntetycznym, nie przekonstruowanym na pojęcia. Odpowiadają one wrażeniom tylko (spostrzeżeniom), nie zaś rozumowaniom, choćby najbardziej zautomatyzowanym. Cechą charakterystyczną tych wyrazów, tak jak i w każdym innym języku zwierzęcym jest, że są one wspólne dla całego gatunku zoologicznego. W ich budowie artykulacja gra znacznie mniejszą rolę niż tonacja (intonacja), toteż istnieją zazwyczaj spore trudności przedstawienia tych wyrazów graficznie. Należą tu wyrażenia różnego rodzaju uczuciowych stosunków do zjawisk: gniewu, przerażenia, obawy, zdziwienia i radości, a nawet protestu, czy rozkazu w rodzaju wszelkich — „oh", „ach", „hm", „fe", „ho ho", „ha ha" i t.p., których brzmienia na piśmie nie można w pełni przedstawić, a których zamieszczanie w słownikach jest zbyteczne, gdyż „znaczenie" tych wyrazów jest identyczne, lub zbliżone we wszystkich systemach językowych naszego gatunku zoologicznego.

To jest nasz język zwierzęcy, a jego równoległe istnienie przy języku ludzkim zdaje się świadczyć, że język ludzki nie jest po prostu etapem ewolucyjnym języka zwierzęcego. Każdy wyraz języka zwierzęcego jest związany z pewnym zakresem wyobrażeniowym, ale nie z pojęciem, którego cechą, jak widzieliśmy, jest istnienie koncentratów semantycznych. Tych elementów wyobrażeniowych, na których może skupiać się uwaga świadomości.

Wytworzenie się rudymentarnych koncentratów semantycznych w wyobrażeniu — pierwszy etap jego przekształcania w pojęcie — może być indywidualną zdobyczą jakiejś psychiki, ale utrwalenie się tych koncentratów i powiązanie ich przez reakcję warunkową z brzmieniem wyrazu może być tylko wynikiem współdziałania i wzajemnego wpływu co najmniej dwóch psychik.

Jeżeli jakaś pierwotna psychika osiągnęła ten stopień rozwoju intelektualnego, że w pewnym wyobrażeniu rozpoznała koncentraty semantyczne, to równocześnie powstała możliwość związania tego tworu psychicznego z sygnałem akustycznym, o charakterze odmiennym, niż wyraz „zwierzęcy". Jednakże wygłoszenie tego, ludzkiego wyrazu może wywołać powstanie analogicznego przeżycia psychicznego tylko w tym wypadku, gdy i jakaś inna psychika wytworzyła już podobny koncentrat semantyczny w zakresie tego samego wyobrażenia. Taki zbieg okoliczności jest możliwy, ale jego prawdopodobieństwo, nawet przy gromadnym bycie, jest tak małe, że łatwo prowadzić może do założenia interwencji metafizycznej. Tłumaczy to też wyjątkowość zjawiska mowy w środowiskach wysoko rozwiniętych psychicznie istot.

Wyraz, gdziekolwiek raz stworzony i stanowiący łączność dwóch psychik, staje się jak kryształ, wrzucony do przesyconego roztworu — zapoczątkowuje stosunkowo szybki rozwój całego systemu językowego, naturalnie w granicach potrzeb psychicznych danego środowiska.

Można przyjąć, że prawdopodobieństwo zbiegu rozwiniętych wyobrażeń w dwóch psychikach jest znacznie większe przy dłuższym czasowo i ściślejszym współżyciu, niż przy zwykłym stadnym bycie. Takie zaś ściślejsze współżycie możliwe jest, w warunkach pierwotnych, tylko w stadle, a raczej w związku matki z dziećmi. Wyjątkowe stanowisko rodzaju ludzkiego pod względem językowym, a w konsekwencji intelektualnym, byłoby zatem związane z wyjątkowo długim okresem niesamodzielności dziecięcej człowieka. Ten długi okres współżycia rodziny stworzył możliwości gromadzenia zasobu wspólnych wrażeń i doświadczeń, a w rezultacie podobnie ukształtowanych wyobrażeń. Przy sprzyjających okolicznościach sytuacja ta nie tylko wywołała powstanie wyrazu, ale również ego utrwalenie się i przekazanie dalszemu potomstwu.

Powstanie mowy, choćby najbardziej prymitywnej przyspieszyło rozwój psychik indywidualnych w sposób niezmiernie skuteczny, a nadto powiązało je w system społeczny wzajemnym uzależnieniem w rozwoju intelektualnym.

Oczywista, nie ma żadnych podstaw do przypuszczenia, że mowa miałaby powstać tylko w jakimś jednym punkcie geograficznym. Wiele z zaczątkowych systemów językowych uległo na pewno zniszczeniu, inne, nie tylko rozwijały się w zasięgu generacji tego samego rodu, ale ulegały też połączeniom z innymi systemami.

Zjawisko łączenia się dwóch systemów mowy jest, prawdopodobnie, we wczesnych okresach rozwoju mowy co najmniej równie częste i równie ważne, jak rozszczepianie się mowy na odrębne systemy. Utrzymanie jednolitości systemu językowego wymaga bowiem dość ścisłego związku społeczno-obyczajowego. W miarę udoskonalania się mowy tak, że obejmuje ona znaczny zakres potrzeb intelektualnych, przyłączanie się do niej innych systemów językowych staje się bardziej cząstkowe, sprowadzające się do przyswajania pewnych tylko elementów. Tych mianowicie, które odpowiadają nowym, lub świeżo uświadomionym pojęciom, wchodzącym w powszechny obieg społeczny.

Zarówno łączenie się różnych systemów językowych, jak wchłanianie przez język pewnych elementów obcego języka jest samo przez się zjawiskiem, mogącym budzić usprawiedliwione zainteresowanie naukowe.

Wydaje się niewątpliwe, że w pewnych szczególnych warunkach, dotychczas bliżej nie badanych, przyłączanie się elementów obcej mowy wpływa na cały system językowy. Może ono mianowicie wywołać „skok” w jego ewolucji, jakby „mutację biologiczną” w zakresie nie tylko fonetyki i etymologii, ale również konstrukcji elementów pojęciowych. To ostatnie zjawisko ujawnia się np. w „nagłej” zmianie rodzaju normalnych kojarzeń wyrazowych, powstawania nowych postaci metaforycznych i t.p. Bardzo znamiennym zjawiskiem z tego zakresu jest również fakt, że języki powstałe z połączenia się kilku dość znacznie różniących się systemów językowych odznaczają się szczególnym uproszczeniem gramatyki. Możemy to obserwować na przykładach języka angielskiego, bułgarskiego, perskiego.

Poza tym jednak proces przyrastania obcych elementów językowych wymaga, aby w grupie społeczno-językowej znajdowali się ludzie, zdolni te pierwistki przekazać, a więc, przynajmniej częściowo „dwujęzyczni”. Przy założeniu pojęciowej konstrukcji mowy zjawisko dwujęzyczności (czy ogólniej — wielojęzyczności) nabiera znaczenia nie tylko naukowego, ale również społeczno-językowego. Wyraz mowy nie jest, jak widzieliśmy, samodzielnym i niezależnym tworem psychicznym. Jest on akustycznym odpowiednikiem słowa, stanowiącego jeden z punktów koncentratu semantycznego w obszarze znaczeniowym pojęcia. Percepcja wyrazu wywołuje całe pojęcie, choć tylko część jego „ustawiona” jest w polu uwagi świadomości i pojęcie to jako całość wpływa na rodzaj i kierunek

inicjowanych łańcuchów skojarzeniowych. Tak świadomych, jak pozaświadomych. Pojęcia zaś, powstające w odmiennych środowiskach społeczno-językowych, uformowane odrębnym przebiegiem ich rozwoju historycznego i cywilizacyjnego, mają różny zakres treściowy, nie mówiąc już o elementach aureoli asocjacyjnej, a tym bardziej części pozaświadomej. Różnice będą tym jaskrawsze, im pojęcie jest bardziej „abstrakcyjne", ale nawet przy pojęciach zupełnie „konkretnych" można dość wyraźnie wyznaczyć wymiar tych różnic.

Spróbujmy w skróceniu przeanalizować dwa przykłady.

1. Pojęcie (matka), pochodzące z dawniejszego (macierz) jest jednym z pojęć wspólnych w językach indo-europejskich (łacińskie — mater, greckie — meter, staro-angielskie — modor, sanskryckie — matr). Porównajmy konstrukcję i zakres komponentów tego pojęcia we współczesnej polszczyźnie i angielszczyźnie. Przekonamy się łatwo, że zakres pojęcia, choć i rozwinięty z wspólnego pierwiastka, bynajmniej nie jest dziś identyczny. Pierwotny wyraz (macierz) uległ w języku potocznym skróceniu w (mać). Zmiana taka nigdy nie odbywa się bez przemian samego pojęcia. Powstały bowiem z niego dwa nowe pojęcia o wyraźnie zarysowanych różnicach znaczeniowych: (macierz), w znaczeniu szerszym, uogólnionym (jak np. angielskie mother country) i (mać) w sensie węższym i bardziej realnym. Przyczyną dalszej przemiany wyrazu (i pojęcia) było, jak można przypuszczać, wprowadzenie do świadomości społecznej nowego pojęcia, dla którego należało znaleźć odpowiedni wyraz. Ponieważ pojęcie to rozpoznano jako pierwiastek kobiecości w kobiecie (matce), przeto utworzono wyraz pochodny przez dodanie pojęcia i wyrazu (przyrostka) stosowanego do wyobrażenia istot żeńskich. Tak utworzył się wyraz (macica). Wyraz ten jednak, jako związany z zakresem wyobrażeń „zakazanych" przeniósł pewne komponenty swej aureoli również na wyraz pierwotny, czyniąc go „niewłaściwym", czy też nie dość „grzecznym". Złagodzenie tej aureoli uzyskano, stosując formę zdrobniałą — (matka). NB zmiany te dokonywały się niewątpliwie już po rozszczepieniu się języka słowiańskiego, gdyż np. w rosyjskim przemiany wyrazu pierwotnego, choć analogiczne, poszły w innym nieco kierunku. W rezultacie w polszczyźnie mamy dziś dwa pojęcia: (macierz) i (matka), przy czym, co najmniej to drugie z nich ma w swym obszarze znaczeniowym pewne komponenty auerolowe, związane z pojęciem organu rodnego. Angielski wyraz (mother) przechodził zmianę ze staro-angielskiego (modor) poprzez średnio-angielski (moder) pod wpływem przyczyn zupełnie innego rodzaju (łączenia się języków: celtyckiego z — mathair, gockiego z — modhir, oraz staro-saskiego z — modder), nie wiążąc pojęcia (mother) w żadne zrosty dla nazwania nowych pojęć. Stąd też pojęcie angielskie nie ma wcale tych komponentów aureolowych, jakie dość wyraźnie możemy wyśledzić w analogicznym polskim.

2. Stare angielskie pojęcie (mouth) rozwinęło się, zdaniem angielskich lingwistów z pierwiastka menth — żuć. Wyraźne ślady tego pierwiastka pozostały w zakresie znaczeniowym do dziś. Czasownik (mouth) oznacza czynność jedzenia, lub mówienia z wybitnym poruszeniem wargami, lub szczękami. W znaczeniu przenośnym określa on również przyuczanie konia do kierowania go wędzidłem. Rzeczownik (mouth) oznacza nie tylko usta człowieka, ale również pysk zwierzęcia, a w przenośni ujście rzeki, rury, otwór wylotowy instrumentu muzycznego. Przymiotnikowy koncentrat tego pojęcia odpowiada mniej więcej naszemu (pyskaty), albo (wyszczekany), choć nie ma charakteru wyrażeń gwarowych i „wulgarnych". Opis ten nie zdolny jest, oczywista, określić całego zakresu znaczeniowego pojęcia (mouth), wyznacza jednak pewne elementy jego treści i aureoli w sposób dostateczny, aby stwierdzić, że w języku polskim nie mamy w istocie żadnego pojęcia, obejmującego taki sam zakres. Każde możliwe do użycia pojęcie będzie „pasować" tylko częściowo i to tylko wtedy, gdy nie będziemy się liczyć z komponentami aureoli. Zwykle w słownikach podawany odpowiednik (usta) jest dość wątpliwego pochodzenia. Być może jednak iż jest to pojęcie pochodne od (iść — ujść). Dzisiejsza postać tego wyrazu jest formą liczby mnogiej od pierwotnego (ujście — uście). (Jeszcze niezbyt dawno mówiono „w uściech" — liczba podwójna, gdzie dziś mówimy „w ustach" — l. mnoga). Samo to pochodzenie tłumaczy znaczną różnicę aureoli. Bliższe może znaczenie ma pojęcie (pysk), którego czasownik (pyskać) oznacza również rodzaj żucia. Jednakże zakres znaczeniowy tego pojęcia ma już trwale wprowadzone elementy wiążące go z anatomią zwierzęcia tylko, a wobec tego używany w stosunku do człowieka nabiera charakteru wulgarnego, czy też aluzji. Również zbliżone znaczenie ma pojęcie (gęba), ale i jego aureola ma tak silne komponenty „wulgarności", że na ogół ujawnia on ten charakter nawet w złożeniu pomyślanym jako termin naukowy — „otwór gębowy".

Wobec tego nawet znajomość dużej liczby wyrazów, mniej więcej odpowiadających własnym, razem ze znajomością systemu gramatycznego nie stanowi jeszcze rzeczywistej „dwujęzyczności". Zaczyna się ona dopiero ze znajomością pojęć.

Poznając język obcy „słownikowo", a więc tak, jak go zazwyczaj poznajemy, i ucząc się obcych wyrazów („słówek"), co w tej, czy innej formie stanowi podstawę każdego systemu nauczania języka — przywiązujemy wyrazy obce do własnych pojęć. Nie zapobiegają temu nawet metody nauczania oparte na t.zw. systemie Berlitza, gdyż zastąpienie wyrazu wyobrażeniem przedmiotu również budzi pojęcie własnego systemu językowego. Trzeba bardzo dużego wysiłku i długiego czasu na dość głębokie zżycie się z danym środowiskiem społeczno-językowym aby wchłonąć jego pojęcia, związane z wyrazami. To dopiero stanowi „dwujęzyczność", tym pełniejszą, im kompletniejszy zespół pojęć zostanie przyswojony. Oznacza to wprawdzie przechowywanie w pamięci dwukrotnie, większej liczby pojęć (prócz wyrazów), ale nie przekracza to bynajmniej możliwości człowieka przeciętnie inteligentnego. Ludzie tacy istnieją w każdym społeczeństwie, a są nawet narody o znacznej liczbie ludzi dwujęzycznych (np. Belgowie, Szwajcarzy, Walijczycy i t.d.) Doświadczenia tych ludzi w pewnym stopniu potwierdzają założenia „pojęciowej" konstrukcji mowy. Znają oni i niejednokrotnie wypowiadają spostrzeżenie, iż aby sprawnie posługiwać się obcym językiem trzeba „w tym języku myśleć". A to właśnie znaczy, że należy konstruować przeżycia z pojęć, odpowiadających systemowi językowemu.

Nawet bardzo gruntowna znajomość słownika i gramatyki obcego języka prowadzi do konstruowania wyrażeń, które choćby uważane za „poprawne" będą zawsze zdradzać swą obcość. Nieuchwytną dla powierzchownego obserwatora, ale wyraźną, gdyż zawartą w aureolach asocjacyjnych i tych częściach pojęć, które pozostają poza polem uwagi świadomości.

Obserwacja tłumaczeń również wnosi nieco światła w tę dziedzinę. Tłumacz „wierny", „dosłowny", nigdy nie oddaje więcej, niż najbardziej zewnętrzną, powierzchowną treść wyrażenia. Tłumacz wybitnie „dwujęzyczny" (jakim np. był Boy-Żeleński) oddaje niekiedy wyrażenie obce wraz z dużą częścią jego aureoli nie będąc wcale „wiernym" słownikowo. Tłumaczem takim może być jednak tylko człowiek, operujący dość swobodnie pojęciami obu systemów językowych, nie zaś ich wyrazami tylko.

Najczęstszym jednak zjawiskiem jest dwujęzyczność częściowa. Sprowadza się ona — przy mniej lub więcej kompletnej znajomości materiału leksykalnego — do przyswojenia sobie pewnych grup pojęć, najłatwiej takich, które są możliwie ubogie w elementy pozaświadomości i aureoli asocjacyjnej, a których zakres treściowy składa się z niewielu, wyraźnie zarysowanych komponentów. Inaczej mówiąc pojęć, które są terminami i stanowią istotę języka „unaukowionego". Stąd dwujęzyczność najczęściej występuje na terenie „języka zawodowego", tu zresztą jest ona najbardziej użyteczna w stosunkach międzynarodowych. Dwujęzyczność w zakresie języka potocznego jest rzadsza, a do bardzo rzadkich zjawisk można zaliczyć dwujęzyczność, obejmującą język poetycki.

Jak trudno jest przyswoić sobie ten zakres pojęć obcego środowiska językowego, nie deformując ich jednocześnie, choćby w zakresie aureoli, na modłę pojęć języka ojczystego, wskazuje przykład Conrada. Jest to autor, uznany za jednego z mistrzów angielskiej prozy artystycznej, a mimo to nie było chyba krytyka literackiego, który by,w tej czy innej formie, nie podkreślał obcości, egzotyczności, czy wprost słowiańskości języka Conrada. Nie jego tematów, wątków, czy intryg, ale właśnie języka, albo nawet jeszcze bliżej — „nastroju", a więc czegoś, co wybitnie związane jest z aureolami asocjacyjnymi pojęć.

Mamy analogiczny przykład i w naszej literaturze, choć nie dość gruntownie oświetlony z tego punktu widzenia: Wincenty Pol. Autor uznany bez zastrzeżeń za arcypolskiego, arcyszlacheckiego. Mimo to jednak bez trudu wykryć można w jego języku wyraźne ślady „egzotyczności", obcości — właśnie w zakresach znaczeniowych i aureolowych pojęć, skłonnych do kojarzeń innych nieco, niż w zwykłej polszczyźnie. Przykładów podobnych można znaleźć wiele w literaturze każdego prawie narodu.

Z zagadnieniem dwujęzyczności łączy się aktualna w pewnym względzie sprawa sztucznego języka międzynarodowego. Sprawa ta jest aktualna

o tyle, że z rozwojem stosunków międzynarodowych potrzeba prostego i łatwego (a może głównie — „neutralnego") środka porozumienia staje się coraz silniej odczuwana. Jednak zagadnienie sztucznego języka bynajmniej nie jest nowe. Było ono stawiane już w starożytności, a prób jego rozwiązania można by skatalogować parę setek. Oczywista, żaden z konstruowanych języków sztucznych (aż do najnowszych włącznie) nie był oparty na głębszej znajomości „anatomii" języka, a znaczna ich większość była zwykłym fantazjowaniem ludzi, mających bardziej niż skromne wiadomości lingwistyczne. Mimo to, niektóre z tych prób, rozpatrzone z punktu widzenia hipotezy pojęciowej, mogą prowadzić do wniosków interesujących.

Dwie ciekawe koncepcje sztucznego języka międzynarodowego powstały w XVII wieku. Jedną zawdzięczamy angielskiemu biskupowi Wilkinsowi, drugą — filozofowi i matematykowi Leibnitzowi. Oba pomysły prowadziły w istocie do stworzenia języka całkowicie terminologicznego, a więc o pojęciach krańcowo niemal „unaukowionych". Wymagało to odpowiedniej i sztywnej klasyfikacji pojęć, logicznych znaków rozpoznawczych i. t. d. tworząc w istocie system znacznie trudniejszy, niż jakikolwiek z istniejących języków europejskich. Leibnitz zresztą nie miał bynajmniej na celu łatwości sztucznego języka, ale uniemożliwienie w nim dwuznaczności wypowiedzi i pustych sporów terminologicznych, będących głównym tematem ówczesnych dyskusji naukowych. Pragnął on stworzyć język jak najbardziej naukowy — „filozoficzny". Byłoby to w istocie poprawione wydanie międzynarodowej, naukowej łaciny, która właśnie w tych czasach zaczęła powoli wychodzić z obiegu. Można by przypuścić, że degradacja łaciny, która przez kilka wieków nieźle spełniała rolę języka międzynarodowego, spowodowana była w rzeczywistości tym, że jej pojęcia, nie dość pozbawione czynników aureolowych, nie mogły zadowolić potrzeb nauki, rozwijającej się w tym okresie szybko w kierunku uobiektywnienia spostrzeżeń i wniosków, a z drugiej strony były nazbyt w te czynniki ubogie, aby mogły utworzyć dość giętką mowę potoczną, a tym bardziej artystyczną. To ostatnie zadanie o wiele lepiej spełniały różne gwary języka łacińskiego, silnie nasycone aureolowo, oraz mowy „ludowe" innych środowisk narodowych. Fakt, że uczeni, zamiast poprawiać swą łacinę przechodzili raczej na języki narodowe, zawdzięczamy niewątpliwie w dużej mierze przyczynom społecznym. Pisarze odczuwali silniej potrzebę przemawiania do szerokiego środowiska społeczno-obyczajowego, niż do wąskiego, międzynarodowego zespołu specjalistów.

Język Wilkinsa rezygnował w ogóle z alfabetu. Posługiwał się on systemem znaków, odpowiadających nie wyrazom, lecz terminom (a właściwie prostym pojęciom). Z łączenia tych znaków można było budować dowolne terminy pochodne i złożone. W ten sposób wyrażenie zapisane nie oznaczało żadnych dźwięków mowy (podobnie jak w chińskim, czy egipskim). Człowiek każdego języka wymawiałby je inaczej, we własnym języku wypowiadając tę samą, napisanę treść. W praktyce język Wilkinsa nie byłby zapewne wiele łatwiejszy od pisma chińskiego.

Oba te sztuczne języki pozostały tylko projektami. Pierwszy sztuczny język, który obudził szersze próby praktycznego zastosowania był wynaleziony przez niemieckiego księdza katolickiego J. Schleyera (volapük) w końcu XIX wieku. Celem wynalazcy było „uregularnienie" mowy przez wprowadzenie ścisłych zasad słowotwórstwa i prostej gramatyki. Materiał leksykalny opierał się na dowolnie modyfikowanych przez wynalazcę, pierwiastkach germańskich i romańskich, ale pojęciowo był to po prostu język niemiecki, jedynie posługujący się wyrazami o odmiennym brzmieniu. Mimo legendy, przypisującej Schleyerowi znajomość fantastycznej liczby języków, bardzo jest wątpliwe, czy był on w stosunku do któregokolwiek z nich rzeczywiście dwujęzyczny, gdyż na

konstrukcji volapüku wcale się to nie odbiło. Volapük był niewątpliwie językiem żywym, choć w istocie swej niewiele różnił się od „tajnych" języków, konstruowanych w konwentach szkolnych dla doraźnego porozumiewania się „wtajemniczonych". Jako język żywy szybko podzielił volapük los każdego języka żywego, który by był wprowadzony w użycie w różnych środowiskach obyczajowo-społecznych — znalazł swą wieżę Babel. — Zaczęły się rozwijać różne systemy pojęciowe w ramach rzekomo wspólnego volapüku i, po niespełna dziesięciu latach kariery międzynarodowej, język ten nagle rozpadł się na szereg odrębnych „języków międzynarodowych". Niektóre z nich leksykalnie i gramatycznie różniły się bardzo niewiele od volapüku — różnicą istotną były zakresy znaczeniowe oraz aureolowe pojęć, z reguły kształtowane na wzór pojęć ojczystego języka wynalazców, czy reformatorów.

Tu właśnie leży główna i właściwie nieprzekraczalna przeszkoda przed każdym językiem międzynarodowym. Może on pozostawać mniej lub więcej międzynarodowym tylko w tym wypadku, gdy jego pojęcia pozostają w stadium nierozwiniętych, a więc jakby „unaukowionych". Język taki może służyć, jak widzieliśmy, do pewnych, określonych typów porozumienia — może komunikować doświadczenia, obserwacje i wnioski w zakresie ograniczonym do zasadniczych możliwości każdego języka naturalnego w jego unaukowionej postaci. Nie jest to bynajmniej zakres wąski, choć na pewno nie wystarczający do nawiązania pełnego współżycia kulturalno-społecznego pomiędzy odrębnymi językowo i cywilizacyjnie środowiskami. Każdy język międzynarodowy przy próbach pełniejszego zastosowania zacznie przede wszystkim podlegać rozwojowi pojęć. Będą one wypełniać swój zakres treściowy elementami półświadomymi, tworzącymi coraz wyraźniejszą aureolę asocjacyjną, oraz czynnikami pozaświadomymi, wytwarzającymi określone napięcia kierunkowe skojarzeń. W różnych środowiskach narodowych prowadzić to będzie do powstania pojęć tak niemal różnych, jak różne są dziś pojęcia naturalnych języków narodowych.

Nie ulega również wątpliwości, że nawet brzmienie wyrazów języka międzynarodowego nie pozostałoby w różnych środowiskach identyczne. Każdy, kto zetknął się np. z ruchem esperantystów musiał stwierdzić, iż brzmienie „tych samych", międzynarodowych wyrazów esperanta różni się wyraźnie w wymowie przedstawicieli odrębnych narodów, mimo, że esperanto, utrzymywane dość przezornie na poziomie języka „terminologicznego", nie wykazuje jeszcze wyraźniejszych oznak rozszczepiania się na grupy: Samo zaś podobieństwo wyrazów, nawet gdyby je można utrzymać, nie zdolne jest zachować międzynarodowości języka. Przypomnijmy sobie, że nawet w tak bliskich językach jak polski i rosyjski mamy wyrazy o wspólnym pochodzeniu i podobnym brzmieniu, a odpowiadające wyraźnie różnym dziś pojęciom. Na przykład (gęba) i (guba).

Proces narastania różnic pojęciowych może być zahamowany, sprowadzony do granic nie przekraczających skali różnic, istniejących w obrębie jednego języka tylko wtedy, gdy życie społeczno-obyczajowe danych środowisk zostanie już dostatecznie upodobnione. Inaczej mówiąc język jakikolwiek, sztuczny czy naturalny, może stać się międzynarodowym dopiero wtedy, gdy wchodząca w grę grupa narodów zacznie być rzeczywiście wspólnotą obyczajowo-społeczną. I to nie tylko na szczytach intelektualnych, ale w samej masie społecznej. A zatem język międzynarodowy będzie nie przyczyną, ale skutkiem zrastania się społeczeństw narodowych w całość większą. Aby pomocniczy język sztuczny nie stanowił przeszkody w tym procesie społecznym winien on: 1° — ograniczyć się głównie do terenu gdzie grupy społeczno-obyczajowe dojrzały już do procesu zrastania się, oraz 2° — wystrzegać się przekroczenia roli pomocniczego języka „unaukowionego". Sprawa „łatwości" przyswojenia sobie tego języka ma raczej drugorzędne znaczenie, choć zapewne wpływać będzie na szybkość jego rozpowszechnienia.

Z dotychczasowych doświadczeń różnych języków „międzynarodowych” można by wnioskować, że esperanto, mimo szerokiego stosunkowo zasięgu, nie ma istotnych szans międzynarodowości. Nie tylko dlatego, że pojęcia tego języka nie są dostatecznie „unaukowione”, zachowując część elementów pozaświadomych, wytworzonych w środowiskach, skąd zostały zapożyczone pierwiastki odpowiednich wyrazów. Jego materiał leksykalny jest nazbyt obfity i bardzo chaotycznie dobrany, jak na potrzeby języka pomocniczego. Wreszcie konstrukcja wyrażeń wymaga wiadomości gramatycznych znacznie szerszych, niż to się pozornie wydaje, a o wiele przekraczających konieczność. Gramatyka ta przecież obejmuje nie tylko etymologię, bardziej skomplikowaną, niż w niektórych językach naturalnych, ale również prawidła słowotwórstwa bardzo obszerne i trudne, bo niezupełnie pozbawione nieregularności. Inne współczesne języki sztuczne, a jest ich dość duży wybór, na ogół mają, w mniejszym lub większym komplecie te same wady co esperanto. Jednakże, trzeba przyznać, że wytyczono już zasady, na których może się oprzeć konstrukcja języka sztucznego, dając twór o cechach optymalnych.

Jeżeli sprawa „uniwersalnego” języka międzynarodowego wydaje się całkowicie jeszcze poza zakresem zagadnień bliskiej aktualności, to języki sztuczne, przeznaczone dla określonych, ograniczonych grup językowo-cywilizacyjnych mogą stać się już w niedalekiej przyszłości bardzo użyteczne, a nawet niezbędne. Wzorem tego typu języków pomocniczych będzie niewątpliwie „Basic English”, który pomysłowo skonstruował C. K. Ogden. Największą zaletą tego języka „zasadniczego” jest, że każdy mówiący językiem angielskim będzie go rozumieć bez nauki, każdy zaś mówiący jakimkolwiek z grupy języków germańskich — prawie bez nauki. Przez to język ten, do opanowania stosunkowo łatwy, stanowić może znakomity środek pomocniczy w zacieśnianiu stosunków między grupami o językach germańskich. Poza tym ułatwi on kontakt i porozumienie innych narodoów z grupą anglosaską, jedną z najliczebniejszych na świecie, a nadto jedną z najważniejszych tak gospodarczo, jak cywilizacyjnie. Byłoby dużą szkodą, gdyby rozwinęły się tendencje przekształcenia „Basic” w pełny język żywy. Tendencje takie zarysowały się ostatnio w grupie niektórych entuzjastów uniwersalnego języka świata. Powodzenie tłumaczenia Biblii na „Basic” obudziło wiele nieusprawiedliwionych nadziei w tym kierunku. Język Biblii, po tylu wysiłkach egzegezy i tak powszechnym, jak w krajach anglosaskich czytaniu, utracił w znacznym stopniu charakter języka potocznego, a tym bardziej literackiego. Pojęcia Biblii stały się w pełnym prawie znaczeniu terminami i dlatego treść Biblii, czytana w języku „Basic” nie traci nic, lub niemal nic ze swej wymowy. Tak samo jak nie stracą rozprawy naukowe, podręczniki techniczne, a nawet, zapewne, dziennikarstwo informacyjne. Jeżeli jednak ktoś spróbuje przetłumaczyć na „Basic” Szekspira, Walter Scotta, lub Dickensa, to uzyska wymowny dowód, że treści języka literackiego „Basic” nie może wyrazić bez zasadniczej przebudowy swych pojęć, a więc nadania im tych cech, które odbiorą mu charakter międzynarodowy.

Przykład „Basic English” toruje i wskazuje drogę do analogicznych języków pomocniczych na terenie innych języków pokrewnych. „Zasadniczy” język romański jest już w opracowaniu. Nie wymagałoby zapewne bardzo dużych wysiłków skonstruowanie „zasadniczego” języka słowiańskiego. Byłby to język równie może ważny i użyteczny, jak Basic English, gdyż stwarzałby instrument porozumienia wewnętrz grupy narodów słowiańskich i liczebnie i gospodarczo dość ważnych. Cechą tego języka byłoby również, jak w Basic, znaczne ograniczenie zasobu leksykalnego (czego ubocznym wynikiem jest unaukowienie pojęć) do pierwiastków wspólnych wszystkim językom słowiańskim, oraz znaczne uproszczenie gramatyki,

W NAJBLIŻSZYM (SIERPNIOWYM) NUMERZE „NOWEJ POLSKI“ PODAMY FRAGMENT KSIĄŻKI „Z PAMIĘTNYCH DNI“ MIECZYSŁAWA LISIEWICZA.

KSIĄŻKA TA UKAŻE SIĘ NIEBAWEM

choć zapewne nie tak radykalne, jak w Basic English (mimo istnienia wyjątkowej w prostocie gramatyki bułgarskiej). Jest bowiem sprawą raczej nie ustaloną, czy łatwiejszy do przyswojenia i elastyczniejszy w użyciu będzie system językowy, zachowujący pewien, ograniczony zakres odmian etymologicznych i logicznych, czy też wprowadzający sztywne reguły składniowe i dużą liczbę bezpojęciowych wyrazów pomocniczych. Są to dwie alternatywy, z których jednej w żadnym razie uniknąć nie można.

Zasadniczy język słowiański można by zapewne skonstruować tak, aby teksty w nim wyrażone były całkowicie zrozumiałe, niemal bez nauki, dla każdego, władajacęgo którymkolwiek z języków słowiańskich. Dla cudzoziemców, a szczególnie anglosasów, dla których nauczenie się jakiegokolwiek języka słowiańskiego jest zadaniem wymagającym ogromnych wysiłków, „zasadniczy" język słowiański mógłby stać się stosunkowo łatwym środkiem pomocniczym, pozwalającym na porozumienie w dość szerokim zakresie współpracy międzynarodowej.

STEFAN THEMERSON

Z ENCYKLOPEDII WIECZORÓW RODZINNYCH
czyli
ZE ZŁOTEGO SKARBCZYKA WIEDZY WSZELAKIEJ
w porządku alfabetycznym ułożonego

Kartki Wyrwane

KOPERNIKIEM

chwalić się możemy nie dlatego, że napisał „*De Revolutionibus Orbium Celestium*".

Tym — tylko i jedynie *on* mógłby się chwalić.

My możemy się chwalić tym, żeśmy go za te „Revolutionibus" nie spalili.

A mogliśmy zdążyć. Bo zwlekał wprawdzie całych 13 lat (od 1530 do 1543) z wydaniem swego dzieła, ale jeszcze parę miesięcy po wydrukowaniu żył.

Mogliśmy poprowadzić go na stos, jak w r. 1600, w Rzymie, poprowadzono na stos Giordano Bruno, a nie zrobiliśmy tego.

Mogliśmy kazać mu odszczekiwać, jak kazano autorowi „*Dialogo... Tolemaico e Copernicano*", Galileuszowi, skazanemu na pokutę odśpiewywania siedmiu psalmów na tydzień, w r. 1632, — a nie zrobiliśmy tego. Kopernikowi daliśmy Uniwersytet Krakowski i nie wyrządziliśmy mu nic złego. Kopernikiem możemy się chwalić.

Ale np.: Szopen, pani Curie, Paderewski — chwalić się mogą tylko *oni* sami. Szopenowi nie mogliśmy dać kurzych udek nohańskich, pani Curie nie mogliśmy dać szopy i wagonów rudy uranowej, Paderewskiemu nie mogliśmy dać 10 tysięcy foteli w Filharmonii. (Kto, czy co tu winne, to inna sprawa; patrz także „*Politique d'abord*").

Społeczeństwo, miasto, państwo chwalić się może nie tym co *wymendlowało* na loterii przyrostu naturalnego (wszędzie rodzą się geniusze, talenty, zdolności), nie tymi, których urodziło, ale tymi, którym dało warunki pracy.

Jeśli tę definicję przyjmiemy, — w konkursie chwalenia się Paryż pobić by mógł wszystkie stolice świata.

ŁABĘDŹ, RYBA I RAK

Bajka o Łabędziu, Rybie i Raku jest bajką tragiczną. I Łabędź i Ryba i Rak *chciały* pociągnąć wóz tak, żeby potoczył się równo po drodze.

Bajka o Łabędziu, Rybie i Raku jest bajką tragiczną ponieważ pokazuje obraz tej katastrofy, do której prowadzi Zgoda i Jedność.

Łabędź, Ryba i Rak zgodnie postanowiły udawać konia, muła, wielbłąda. Łabędź, Ryba i Rak wierzyły że dobre ich chęci wystarczą, że wóz ruszy. Wóz wywalił się do wody.

Dobre chęci wystarczają w Niezgodzie. W Niezgodzie ktoś zawsze najpierwszy dorywa się do dyszla i, w lewo czy w prawo, wóz rusza.

Zgodzie dobre chęci nie wystarczają. Zgodzie potrzebny jest jeszcze Rozum, Inteligencja, Zmysł przewidywania, Brak przesądu, Wiedza i t.d. — cały ten skomplikowany *system bloczków*, *przekładni*, *sznurków*, dzięki któremu jeśli się wie dokąd wóz ma pojechać, można go ruszyć z miejsca, nawet jeśli się ciągnie w trzy rozmaite strony.

MATEMATYKA

„Sir,—Education is in the melting-pot to-day, but even now hardly any attention is given to one of the most important aspects, that is, the subjects taught. In my opinion an urgent national requirement is the killing of the mathematics fetish.

Mathematics is a subject almost universally detested, and causes more failures in matriculation than any other, so that thousands of worthy people have been unable to take a degree. Also the alleged importance even for engineering science and economics degrees is grossly exaggerated, while for arts, medicine, law and theology compulsion is fantastic nonsense. Most of the outstanding men and women of the world, even engineers and scientists, had no more knowledge of mathematics than they learned at school. I would suggest emphatically the teaching of Euclid (or whatever it is now called), a dreary and almost useless subject, should be abolished."

Ealing. DAVID BROWNLIE.

(*The Sunday Times*, 20.II.1944)

„... — Père Hoop, je vous prie de continuer. — Un islamite intolérant avait attenté à la vie d'un philosophe dont il suspectait la croyance. Ce philosophe était puissant; il aurait pu châtier l'islamite ou le perdre par son crédit; il se contenta de le réprimander doucement et de lui dire: Tes principes te commandent de m'ôter la vie, les miens me commendent de te rendre meilleur, si je puis. Viens, que je t'instruise, et tu me tueras après, si ti veux. — Ma foi, cela est joli. — Que pensez-vous qu'il apprit? — Son catéchisme; car tout prêtre qu'il était, il ne le savait pas. — L'arithmétique et la géométrie... C'est peut-être ainsi qu'il en faudrait user avec tous les peuples à convertir... Faire précéder le missionaire du géomètre. — Et pourquoi pas du *chimicien* aussi avec ses *curbitudes*? — Madame, cela n'en serait pas plus mal. Qu'ils sachent d'abord combiner des unités, ensuite on leur fera combiner des idées plus difficiles".

DIDEROT.

(Lettres à Mademoiselle Volland 30.X.1759)

Wydaje mi się, że p. David Brownlie nie ma racji gdy woła o wyrzucenie matematyki ze szkoły. Ale miałby, gdyby powiedział, że obok uproszczonych, elementarnych lekcyj liczenia, powinny być lekcje *o* matematyce, tak jak powinny być lekcje *o* muzyce (a nie tylko nauka śpiewu), tak jak powinny być lekcje *o* malarstwie (a nie tylko nauka rysunku) i tak jak nauka literatury nie jest nauką pisania wierszy czy powieści.

Człowiek może nie musieć komponować ani grać, ale powinien mieć *szanse* usłyszenia muzyki i powinien móc dowiedzieć się co to jest np. muzyka polifoniczna, albo jak jest zbudowana sonata (a nic się też złego Człowiekowi nie stanie, jeżeli mu Pan Nauczyciel powie co to jest muzyka politonalna czy atonalna).

Człowiek może nie musieć malować, ale w szkole jeszcze powinien mieć *szanse* zobaczenia i dowiedzenia się jak malowali rozmaici panowie i panie na ścianach jaskiń, na murach kościołów, na naciągniętych na blejtramy płótnach, nie tylko tych z Zachęty czy z Royal Academy, ale i tych z New-Yorskiego Museum of Modern Art.

Człowiek może nie umieć liczyć nawet tak dobrze jak sklepikarz wydający trzy pensy reszty z dwóch szylingów, ale powinien wiedzieć „*co to jest*, √ ",

co to jest układ spółrzędnych czy ciąg; jeśli Człowiek nie ma się dać nabrać na paradoksy w stylu Zenona, to powinien wiedzieć że nieskończona ilość odcinków nieskończenie malejących wyznacza punkt leżący nie w nieskończoności, a tam gdzie Achilles dopędza żółwia.

P. David Brownlie nie ma zupełnie racji pisząc, że matematyka „*for... theology compulsion is fantastic nonsense*"

Św. Tomasz z Akwinu znał Arystotelesa. Gdyby żył dzisiaj musiałby znać teorię względności i teorię kwantów, teorię prawdopodobieństwa i teorię „niepewności".

Tak jak św. Tomasz z Akwinu czytał Arystotelesa, tak student teologii dzisiaj czytać musi Einsteina, De Broglie, Plancka, Heisenberga.

Student teologii, który by sądził, że sprawy Nauki zostawić może naukowcom, że:

„The world has two faces, one that is visible, phenomenal, material and directly observable, which is the domain of science; the other invisible, interior, spiritual, felt rather than perceived, sought rather than observed, which is the domain of faith". —

narazić by się mógł na ekskomunikę, taką jaka spotkała Alfreda Loisy za jego doktrynę, wyłuszczoną w powyższym (z braku francuskiego tekstu po angielsku cytowanym) zdaniu.

MYŚLENIA BEZSTRONNOŚĆ

Niech pochwalona będzie Bezstronność Myślenia.

Niech pochwalony będzie *C*entymetr, *G*ram i *S*ekunda, — zawsze te same — czy bochen chleba ważą czy ciężar topora, kwadrat podłogi czy szubienicy wysokość, czas pokoju czy wojny.

Rzeczywistości! Tyś jest opoką dość twardą i niewzruszalną, aby się oprzeć o nią mogła myśl, pierzchająca przed uczuciami.

Boże, który jesteś we mnie, pozwól by na niej stanęła stopa zmęczona wędrówką.

Jak to się dzieje, że czasem żałuję tego, który niesprawiedliwość popełnia, a kiedy indziej — ofiarę.

Że żałuję mego brata Polaka, bijącego Żyda, Żyda zaś płaczę, kiedy bije go Niemiec.

Boże, który jesteś we mnie, nie pozwól mi myśleć za pomocą nalepek, żółknących nad szufladami, na które podzielono świat.

Nie pozwól mi winić Jana za to co uczynił Stanisław, nie daj mi wynosić Kazimierza za to czego dokonał Tadeusz.

Nie daj mi oskarżać Hansa zbrodniami Hermanna, nie pozwól rozgrzeszać Zygfryda zasługą mego przyjaciela Oskara.

Fala uczuć, fala miłości i nienawiści wznosi się i zalewa tkanki naszych mózgów.

I mówimy: „wszyscy tacy są tacy, wszyscy owacy są owacy". Oto prawdziwe ŻYCIE UŁATWIONE: *generalizacje*, *przesądy*!

Boże, który jesteś we mnie, nie pozwól by oszukała mnie Miłość, nie daj by oślepiła mnie Nienawiść. Nie odbieraj, O!, nie odbieraj mi rozumu.

PISMO ŚWIECKIE (czyli PROJEKT PRZEDMOWY DO PODRĘCZNIKA FIZYKI)

1. Nie wiadomo co było na początku. Ponieważ nie wiadomo co to jest: Początek.

2. Są, którzy twierdzą, że początek to jest to ,są którzy twierdzą, że początek to jest tamto; ale nie wiemy dlaczego mielibyśmy wierzyć pierwszym a nie drugim, albo dlaczego mielibyśmy wierzyć drugim a nie trzecim, którzy mówią że początku w ogóle nie było.

3. I tak jak nie wiadomo czym jest czas bez materii, która go odmierza, i tak jak nie wiadomo czym jest materia bez czasu, w którym się przekształca, tak nie wiadomo czym jest świat bez człowieka, który go widzi, ani też czym jest człowiek bez świata, którego jest fragmentem.

4. I nie wiadomo jaka jest treść słowa: Genesis, jeśli po nim miało być wszystko, a przed nim nie miało być nic.

5. I stworzył człowiek pismo, a nazwał je Świętym, i opisał w nim co niewiadome jest.

6. A że widział iż w promieniu jego oczu, w zasięgu jego ręki, w chwili jego życia — po *A* zawsze *B* następuje, więc nazwał to przyczyną i założył, że także i w skali wszechświatów i w skali atomu, że w skali miliardoleci i w skali czasu jednego drgnienia elektronu — przyczyna istnieje i ta sama.

7. Za czym dał nazwę Przyczynie owej, a wyobraził ją sobie na podobieństwo swoje.

8. I wydało mu się, że wszystko niewiadome wiadomem się przez to stało; a zabył rzeczy, które wiadome są i być mogą.

9. I składali hołdy a ofiary tym, którzy rzeczy niewiadome na ustach mieli, ale palili na stosie, łamali kołem i topili tych, którzy rzeczy wiadome znajdowali i głosili.

10. I tak było od początku pamięci ludzkiej do dnia dzisiejszego.

11. Jedynie forma hołdów, jedynie forma ofiar zmieniała się z upływem stuleci; tak jak jedynie *forma* katowni zmieniała się.

12. Od Leonarda da Vinci do Francis Bacona upłynęło lat sto. A mogło było upłynąć lat dziesięć. Od Francis Bacona do Augusta Comte'a upłynęło lat dwieście. A mogło upłynąć lat dwadzieścia.

13. I upłynęło od Kopernika do Newtona lat dwieście i od Newtona do Einsteina lat dwieście — nim Inkwizycja, ta święta i ta świecka zgodziła się z tym, że wolno mówić o gwiazdach i atomach słowami wiadomymi a nie niewiadomymi, że wolno o nich mówić nie używając tej Hipotezy, która była niepotrzebna już Pierre-Simonowi Laplace.

14. Nie walczy już inkwizycja święta i świecka z teleskopem. Czymże jest jednak teleskop i wszelkie narzędzia jak nie przedłużeniem jedynie, jak nie zakończeniem tego skomplikowanego aparatu, jakim jest: człowiek. Czyż można poznać gwiazdy wiedząc jedynie jak funkcjonuje luneta, jak funkcjonuje spektroskop, nie wiedząc zaś jak funkcjonuje: astronom?

15. Lecz badanie *człowieka* metodami zwyczajnymi, mówienie o *człowieku* słowami wiadomymi zwalcza inkwizycja święta i świecka nadal. Tak jak zwalcza wszelkie jego próby urządzenia sobie życia zgodnie z tymi prawami, które wiadome są i sprawdzalne. „*Niebo* — mówi — po stuleciach walki oddaliśmy Kopernikom, Newtonom i Einsteinom. Ale *człowieka* nie oddamy. Ani Darwinom ani De la Maitrie'm, ani Pawłowom, ani Watsonom". Że to unicestwi jego indywidualność, że to obniży jego honor, że to zmiażdży jego wolność.

16. Nie bój się tak bardzo, mój królu, mój prezydencie, mój ministrze, mój kapłanie, o moją indywidualność, o mój honor człowieka, o moją wolność.

Nic im to nie zaszkodzi jeśli będziesz miał trochę wykształcenia przyrodniczego, jeśli porzucisz słowa wielkie a niewiadome, i zamienisz swą Radę w pracownię inżynierską, obliczającą słowami wiadomymi, żeby nie było głodu, żeby nie było wojen, żeby nie było analfabetów i żeby nie było więzień.

Nic im to nie zaszkodzi, jeśli poczujesz odpowiedzialność nie tylko przed historią, taką jaką ją pojmujesz, ale i przed ludźmi, takimi, jakimi jesteśmy. Zaryzykuj, mój królu, mój prezydencie, mój ministrze, mój kapłanie, i złóż w ręce badaczy natury tę glebę, której badacze pisma przez lat dwa tysiące uprawić nie zdołali.

17. W smutku i w rezygnacji widzę, mój królu, mój prezydencie, mój ministrze, mój kapłanie, że nie uczynisz tego. Nie *wiedza* kieruje tobą, a chęci, dobre czy złe; a interes, cudzy czy własny; a przesąd, wielki czy mały. Usta twoje pełne słów szumnych, treści zaś w nich tyle co w dźwięku: *KARR*! na który małe wronięta otwierają w pracowni Paw-

łowa swe dzioby: tyle co w dźwięku: *BIM BAM BOM*!, na który psom krople śliny z przedziurawionego policzka zaczynają ciec.

Mówiłeś: *KARR*! i otwieraliśmy usta; dzwoniłeś w dzwony i omaszczaliśmy się śliną łakomą. Bo tak byliśmy nauczeni, bo takie były nasze odruchy, uwarunkowane całą naszą biografią.

Lecz dzioby za wiele razy otwierane nadaremno, zamykają się na dźwięk: *KARR*! właśnie; i ślina psa, któremu dzwonienia pokarmem nie podsycano — zastyga właśnie na dźwięk dzwonu.

18. Jeśli zatem ci, którzy winni być *inżynierami rzeczy doczesnych*, tkwią myślami w metafizyki formułach, niesprawdzalnych, wynalezionych ze słów przez spekulacje filozofów, w tym co nie wiadomo —

niechaj malarze, poeci, kompozytorzy,

dyrygujący orkiestrą *irracjonaliów*,

niechaj śpiewają chwałę naukowców, niechaj śpiewają chwałę tego co wiadome i co wiadome być może.

19. Nie pierwszy to raz na opak dzieją się rzeczy na tym świecie.

20. Chłopcze, zrodzony wśród dźwięków: KARR! i BIM! BAM! BUM!, chłopcze, wychowany wśród bicia w dzwony i krakania, staniemy oto razem, ramię w ramię, i śpiewać będziemy.

Będziemy śpiewać chwałę naukowców,

ale nie będziemy czcić wiecznie Arystotelesa, żadnego.

I, jeśli to co podane dzisiaj za prawdę jutro się fałszem okaże —

nie będziesz załamywał dłoni, nie będziesz bił głową o mur, a ze spokojem Człowieka —

w y k r e ś l i s z;

a jeśli okaże się, że to co podane za niewiadome wiadomem się stało —

d o p i s z e s z.

Nie tylko bowiem dogmaty wykwitłe z chęci, dobrych czy złych; z interesu, cudzego czy własnego; ale i te oparte na autorytetach nie mają się znaleźć, chłopcze, w twojej Księdze.

21. Prawda, która przeżyła swój czas, staje się przesądem. Przesądy!

Jeśli je nazwiesz: tradycją — zasmucisz mnie.

22. A jeśli ci powiedzą, że są jeszcze prawdy moralne, których czas ma trwać wiecznie, —

powiedz, że wiesz o tym sam lepiej,

mimo że każda chwila w której żyjesz zdawałaby się istnieniu ich zaprzeczać, lecz powiesz też,

że budować je chcesz, te prawdy, za pomocą realiów, za pomocą cyfr, za pomocą cegieł i betonu, za pomocą mąki i mleka, za pomocą pióra, skrzypiec i farby olejnej.

23. Odrzuć, chłopcze, nie tylko feralne trzynastki, nie tylko czarne koty przebiegające drogę, odrzuć i owe wielkie *WIDZIMISIĘ*, owe prolegomena wszelkich przeszłych, dzisiejszych i przyszłych *METAfizyk*.

Ucz się, chłopcze, *ZWYKŁEJ* fizyki i chemii i biologii, ta wiedza *MOŻE* uczynić cię mądrym, wyrozumiałym i dobrym.

A jeśli będziesz mędrszy, wyrozumialszy i lepszy od mego króla, prezydenta, ministra i kapłana — *zbudujesz* republikę niebieską na Ziemi.

24. Na początku (jednak nie na tym niewiadomym Początku, a na początku gatunku: Homo) — był chleb.

I zobaczył człowiek, że chleb jest dobry i nazwał go: chleb.

Na początku był: Chleb. Potem dopiero było: Słowo.

25. O emigrantach, powracających w roku 1814 z Anglii do Francji, rodacy ich mówili:

„Ils n'ont rien appris, tout oublié".

POKORY I PYCHY aspekty paradoksalne

— Pokora, rezygnacja, pogodzenie się z Wolą Nieba.

— Pycha, zarozumiałość, bunt, rewolta.

Jeśli już myśleć tymi kategoriami, to przecież: — właśnie *pokorą* nazwać należy stanowisko tych, którzy zrezygnowali z tradycyjnego, egocentrycznego obrazu świata, z chwilą kiedy Kopernik („...*Gdzież umieścić świecznik najpiękniejszy, jeśli nie w środku komnaty, którą oświeca*!" — cyt. z pamięci), Galileusz i ich następcy wyznaczyli nam miejsce skromniejsze niż centrum.

I, jeśli już myśleć tymi kategoriami, to przecież: — właśnie stanowisko *Darwina* i jego następców, właśnie stanowisko tych wszystkich od *De la Mettrie* (L'Homme Machine" 1748) i *Diderota* („Eléments de Physiologie") do *Pawłowa* i *Watsona* — należałoby nazwać *pokorą*.

Pychą zaś — cechy charakteru rodziców z owej amerykańskiej parafii, wytaczających sprawę nauczycielowi szkoły powszechnej o to, że mówił dzieciom „o pochodzeniu gatunków".

POLITIQUE D'ABORD

Tak. Ale tylko dla polityków: zawsze i wszędzie i za wszelką cenę.

Tak jak dla malarza — malarstwo.

Tak jak dla muzyka — muzyka.

Poza tym „Politique d'abord" sens ma tylko powyżej pewnej stopy życiowej.

Poniżej tej stopy (która w naszych czasach przebiega gdzieś pod W. Brytanią a nad Polską) — „Politique d'abord" jest luksusem, graniczącym ze zbrodnią.

Nie mam zaufania do polityków. Zaczynają tym, że są fachowcy, że polityka to jest zawód, że obliczają, że przewidują; a kończą tym, że imponderabilia, że los, że fatum.

Poza tym polityk ma pewne cechy artysty. Z tym, że to co u artysty jest po prostu „façon de parler" w rękach polityka staje się groźną rzeczywistością: Kompozytor sprzeda ojca, matkę i ojczyznę w pasji stawiania czarnych znaczków na partyturze.

Polityk zgodzi się na to żeby Szopeny emigrowały bezpotomnie i zostawiały za sobą pokolenia pustki muzycznej, żeby Szkoły Główne zamierały, żeby Marie Skłodowskie nie miały dokąd wracać, — i wszystko to za co? Za możliwość cienia takiego czy innego tryumfu politycznego, z którym polityk nie wie potem sam co zrobić.

Myślę, że jeden podręcznik szkolny, jedna sztuka teatralna, echo jednej etudy Szopena, jeden rocznik dyplomów uniwersyteckich — więcej pomogły Warszawie i Polsce niż wszystkie tryumfy polityczne, wzięte razem do kupy.

PRZESĄDY

Prawda, która przeżyła swój czas, staje się przesądem.

Prawda, przeniesiona w inną szerokość czy długość geograficzną, staje się przesądem.

Jakże nazwać inaczej, jeśli nie przesądnym, zachowanie się jegomościa, który przywiózł ze sobą z Afryki do Londynu siatkę od moskitów i nie chce spać bez niej w obawie przed malarią?

Jak nazwać zachowanie się Europejczka, który nie chce usiąść 13-sty do stołu, ponieważ 2.000 lat temu 13-stym był Judasz Iskariota?

Twierdzenie iż Ziemia jest środkiem świata było w swoim czasie PRAWDĄ dla tych, którzy to (mylnie, ale) *WIEDZIELI* i, jednocześnie, PRZESĄDEM, dla tych, którzy w to *WIERZYLI*.

Dla *pierwszych* system opisany przez Kopernika był wspaniałym odkryciem, ba!, objawieniem, rozświetlającym, rozplątującym gmatwaninę świata ptolomeuszowego;

dla *drugich* — potwornym, rewolucyjnym wstrząsem, destrukcyjnym wynalazkiem żydo-komuny, powiedzielibyśmy dzisiaj.

PRZESĄDY (*ciąg dalszy, czyli*: 2 *DOBRE RADY PANI ZUZANNY STEBBING*

„By ‚entertaining a prejudice' is usually meant ‚accepting without evidence a belief for which it is reasonable to seek evidence'.... It is a good habit to ask, with regard to our cherished beliefs,

„(1) ‚Now, how did I come to think that?'An honest answer would sometimes be both surprising and enlightening; it could not fail to be useful.

„(2) ... Then another question may have to be asked: ‚Well, no matter how I came by it, is it tenable?'... You will notice that I am taking it for granted that to be clear-headed is worth while for its own sake".

(THINKING TO SOME PURPOSE)

SEMANTYKA

Jerzemu Horzelskiemu z podziękowaniem za jego artykuł w numerze styczniowym (1944) *Nowej Polski.*

Wyraz: *ojczyzna* nie znaczy nic, póki nie dodasz: *czyja*?
Wyraz: *Polska* nie znaczy nic, póki nie powiesz: *jaka*?
Boże w Niebiesiech! Cóż znaczy Twe — wspaniałe: *Nie zabijaj*!
Póki nie powiesz: *Niemca*? czy *Żyda*? *Moskala*? *Czecha*? *Polaka*?

SEMANTYKA (*ciąg dalszy, czyli* O *NIEPOROZUMIENIACH TERMINOLOGICZNYCH, wynikających wtedy, kiedy się pewnych pojęć utartych nie opatruje w t.zw. references*).

Voilà un senateur qui réclame
la civilisation — prétend-il — chrétienne — prétend-il — Noble âme!

Et pourtant — ils sont aussi des chrétiens,
ceux de la Gestapo — par exemple.
Pendant que les Chinois: du tout;

Et pourtant — ils sont aussi des chrétiens,
ceux de l'Action Française — par exemple.
Pendant que les Juifs: du tout;

Et pourtant — ils sont aussi des chrétiens,
ceux de la Ku-Klux-Klan — par exemple.
Pendant que les nègres:... couci couça...



Z pracowni Rafała Malczewskiego

WYCHOWANIA PODWÓJNA BUCHALTERIA

Na jeden z najtragiczniejszych konfliktów sumienia skazać musiałby się ten, kto zgodziłby się w okresie od 1633 roku do 1822 objąć tekę ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

22 *czerwca* 1633 roku Kongregacja Kardynałów i Prałatów (antycypując ową wioskę Rudyarda Kiplinga, której mieszkańcy uchwalili przez głosowanie, że Ziemia jest płaska) — postanowiła:

„Terram non esse centrum Mundi, nec immobilem, sed moveri motu etiam diurno, est item propositio absurda, et falsa in Philosophia, et Theologicae considerata ad minus erronea in fidae".

Dopiero w *roku* 1822 ukazał się dekret zezwalający na druk i publikacje w Rzymie książek opisujących ruch Ziemi wokoło Słońca.

Jak, w ciągu tych 200 prawie lat, minister Wyznań i Oświecenia pogodzić mógłby w sobie zarządzenia Wiary z dyrektywami Wiedzy?

STEFAN ŁĘCZYC

DWAJ GRENADIERZY

Hendrik van Loon kończy rozdział napoleoński swojej błyskawicznej „Historii ludzkości" następującą radą:

„Kto jednak szukać będzie wytłumaczenia jego (Napoleona) osobliwych kolei życia, kto naprawdę chce wiedzieć jak jeden człowiek mógł siłą własnej woli opanować tyle narodów przez wiele lat — nie powinien o nim czytać książek. Historię należy przeżywać a nie czytać. Nie czytajcie; czekajcie tylko chwili gdy wam szczęście sprzyja i uda wam się usłyszeć pieśń „Die zwei Grenadiere", śpiewaną przez artystę. Tekst jest Heinego, wielkiego poety, który żył w czasach napoleońskich. Muzyka — Schumana, który cesarza, wroga jego ojczyzny, niejednokrotnie widział. Pieśń ta zatem jest dziełem dwóch mężów, którzy mieli wszystkie powody ku temu, by nienawidzić tyrana. Posłuchajcie tej pieśni. A wtedy zrozumiecie to, czego tysi ce książek wytłumaczyć nie może".

Oto bezpośredn a przyczyna, dla której odnowiłem moją dawną znajomość z „dwoma grenadierami". Nie pomogły jednak żywe wspomnienia czarów, jakim ulegałem czasu mojej młodości, gdy kułem na pamięć „zadany" mi przez „profesora" wiersz Heinego, nie pomogła ochota poddania się patetyzmowi kontekstu, ani fałszywie przeze mnie nucona daleka fraza melodii Schumana. Chłodny i obojętny na losy doskonałych żołnierzy wielkiej armii oraz jej cesarza, wróciłem do niezapomnianych erotyków Heinego.

Po paru jednak dniach postanowiłem wytłumaczyć sobie dlaczego, z jakich przyczyn urobiła się we mnie z biegiem lat zagadkowa odporność na ów klimat moralny „grenadierow", który zapewne nie dopuszcza do przyjęcia, zaakceptowania a w ślad za tym do estetycznego przeżycia heinowskiego utworu. Zaczęło się więc od ustalenia myśli przewodniej wiersza, jego konceptu fabularnego. A opiera się on, jak wiadomo, na popularnym już dwugłosie, zamkniętym w poniższych strofach:

„Das Lied ist aus,
Auch ich möcht' mit dir sterben,
Doch hab' ich Weib und Kind zu Haus,
Die ohne mich verderben".

„Was schert mich Weib, was schert mich Kind,
Ich trage weit besseres Verlangen;
Lass sie betteln geh'n, wenn sie hungrig sind, —
Mein Kaiser, mein Kaiser gefangen"!

Najbliższe wrażenie, jakie narzuca się po przeczytaniu pierwszej z przytoczonych wyżej strof, to uczucie niechęci wobec notorycznego szwindlu. Tacy już jesteśmy cyniczni i nieufni, że wszędzie węszymy grandę. Jakże często słyszy się dziś tych wyszczekanych cwaniaków, którzy deklamują na temat obowiązku obywatela wobec ojczyzny. Tych handlarzy wzniosłych słów, hurrapatriotyzmu i tromtadractwa, których wojna nic nie kosztuje, i którym jakaś ważna bardzo przyczyna nie pozwala na wzięcie osobistego, fizycznego udziału w realizowaniu szumnych wypowiedzi. To są ci „narodowi" lichwiarze, żyjący z dyskonta „bezimiennej" ofiarności; hieny każdej wojny i każdej idei. Obrzydliwe są w ich ustach słowa o potrzebie krwi i ofiary na ołtarzu lepszego jutra.

Bo też zwrot:...„auch ich möcht'mit dir sterben, *doch* hab'ich Weib und Kind zu Haus"...budzi wytrenowaną czujność przypomnieniem starych, zużytych kruczków dialektycznych. Każda bowiem gotowość do ofiar czy, jak w tym wypadku, do wysokiej próby solidarności, uzależniona od warunków natury rodzinnej lub utylitarnej; każdy poryw z marginesem, jaki otwiera krótkie słówko „lecz" — jest podejrzany. Spekulacja nie pasuje do munduru; spekulacja jest bożkiem...spekulantów.

Może taki był właśnie cel znakomitego autora „grenadierów", aby na na tle wątpliwej postawy moralnej jednego, uwydatnić całą szlachetną bezinteresowność — drugiego; tego, który owiewa nas prawdą żywego uniesienia i personifikuje nieodparty romantyzm la grande armée.

Tak czy inaczej pierwsze wrażenie omówionej strofy jest negatywne; to nie bohater wcale — myślimy sobie — to geszefciarz.

Wrażenie jednak musi się „uleżyć". Bo oto już po napisaniu przytoczonych uwag zaczyna nas drażnić własny maksymalizm. Co za bezwzględność, co za krwiożercza konsekwencja. Sprawa nie jest prosta, problem niełatwy: chłop ma żonę i dziecko...

Kiedyś na przełomie XIX w., kiedy dufne i zasobne mieszczaństwo rozpychało się łokciami, kiedy gust i mentalność sklepikarzy korumpowały życie a „zbożna" egzystencja dulskiego stadła stanowiła usankcjonowany zbiornik pospolitości i łajdactwa — słowo „rodzina" było synonimem wszystkiego co małe i podłe. I wtedy z ust polskiego „prymasa" cyganów, Przybyszewskiego, pada w stronę „przykładnych" mieszczuchów głośna obelga: „Mydlarze"! Jakże daleko odbiegliśmy od tych czasów. Dziś wiemy, że ten protest świata sztuki przeciwko wszystkiemu co nędzne i przyziemne ożywił niejedną dziedzinę życia ale wiemy również, że ruch ten spaczył wiele młodych dusz i w rezultacie ugrzązł w zaułku inercji i rozkładu, przy czym sprowokował reakcję, która buńczucznym wrzaskiem zapoczątkowała nieszczęśliwą erę fizycznej krzepy, zuchwałego junactwa i zbrodni. Jeżeli do tych doświadczeń dodać jeszcze ucieczkę i długoletnią nostalgię za wspólnotą, której symbolem jest dom rodzinny — trudniej potępić nam wypadnie kogoś, kto nieśpiesznie rozstaje się z życiem,z uwagi na żonę i dziecko.

Trudno również opędzić się myśli, że troska o życie stworzonej przez siebie rodziny nie kłóci się z godnością ówczesnego munduru. Okres wojen napoleońskich jest epoką militarnego romantyzmu, kiedy błyszczący uniform żołnierza jaśniał nie tylko świetnością obowiązków ale i wysoką skalą honoru. Strona „etykietalna" wojska XIX w. to modernizacja obyczajów wielkiego rycerstwa, to rynsztunek duchowy pierwszych żołnierzy demokracji. Dochodzi tu jeszcze słownictwo rewolucji, jej hasła w których temperaturze rosło znaczenie francuskiego munduru i życia męskiego w ogóle. W rzeczy samej zdobycze rewolucji francuskiej są olbrzymim poszerzeniem świata pracy, inicjatywy i swobody — przede wszystkim — męskiej. Przysięga zatem na wierność, jaką składał wtedy mężczyzna poślubionej kobiecie, nie była czczą formalnością, ani nie ograniczała się bynajmniej do spraw łóżka, ale miała swoją praktyczną wymowę, która

streszczała się w obrazowym powiedzeniu ludu: „że żony swojej — póki życia — nie opuści". Co znaczyło, że stworzona przez mężczyznę rodzina żyć będzie jego wyłączną opieką, i że kobieta i poczęte z nią dzieci,w nim — mężu i ojcu — mieć będą jedyną ostoję. I w tym jest jakaś nuta, wiążąca honor mężczyzny, odwołująca się do jego siły, rozumu i serca.

Zbyteczne tłumaczyć do jakiego stopnia odpowiadało to wymogom ówczesnej rzeczywistości i do jakiego stopnia te 130 lat, jakie nas od owych czasów dzielą, odebrały przysiędze małżeńskiej jej niedawną stosunkowo treść. Wypada tylko stwierdzić, że uwolniony moralnie od tych ciężarów mężczyzna XX w. wcale nie jest lepszy — ani jako człowiek, ani jako żołnierz.

Wzruszająco teraz i godnie brzmią słowa w ustach starego grenadiera, gdy ociągając się śmierci, powiada:...„ doch hab'ich Weib und Kind zu Haus, die ohne mich verderben".

Tak więc żołnierz napoleoński, o którym mowa, budzi w nas dzisiaj dwa zupełnie różne uczucia — ale w ich przecięciu jawi się oczom naszym żywy człowiek. Człowiek, na którym spoczywa obowiązek i troska o życie żony i dziecka, człowiek któremu przyjęte obowiązki nie pozwalają szafować własnym życiem i człowiek który po prostu — chciałby jeszcze trochę trochę pożyć... Ta wybitnie ludzka postawa zbliża go do nas, tak samo jak zbliża go do nas fakt, ze jest on idealnym zaprzeczeniem żołnierza dzisiejszej, europejskiej klasy.

Drugi grenadier natomiast — to stary znajomy; wypieszczone dziecko nacjonalizmu i powszechnego obowiązku służby wojskowej. Zuch, czaruś, żołnierz bez skazy z tylu obrazów, romansów, wierszów i pieśni, że się już dzisiaj do niego przedzierać trzeba poprzez zapchaną rekwizytornię artystycznego banału. Ale wtedy dopiero, gdy mijamy fantastyczny krajobraz sztuki ze sto lat świetności żołnierza-obywatela, wtedy dopiero stajemy naprawdę zaczarowani u jakiejś studni — na tle sielankowego pejzażu — skąd kraśna dziewczyna czerpie srebrną wodę dla spragnionego ułana i jego pysznego rumaka. Potem odurza nas woń skoszonego siana a potem jeszcze balladowy poszum cienistego lasu, gdzie pod zielone sklepienie bije chóralne echo pieśni o rozmarynie. Na końcu lasu zaś, w chmurach gasnącego zachodu, wstaje daleka mara napoleońskiego wiarusa, który po latach fantastycznych walk i zwycięstw umiera z imieniem cesarza na skrwawionych ustach.

Westchnienie, które się nam wtedy wydziera, to nasza młodość.

Lecz gdy giną zwidzenia, wracamy myślą, do van Loona.

Epoka napoleońska to przecież dzieje jednego żołnierza; to ten mały człowieczek z dużą głową i wypiętym brzuszkiem — to jego wyłącznie działalność, jego kariera i jego los. Francja jest tylko trampoliną, odskocznią, skąd odbity cień korsykanina rozpoczął swój historyczny lot. I wiersz Heinego daje wierne świadectwo tej prawdzie, w powracającej niezmiennie lamentacji grenadiera:...„mein Kaiser, mein Kaiser gefangen". Nic to, że lata obłędnych wojen skosiły mnogie zastępy niewinnych ludzi, nic to że zwycięstwo armii rosyjskiej ujawniło otumanionej Europie całą potworność napoleońskiej awantury;nad wszystkimgórujetylko jedenmotyw, jeden nieukojony i śmiertelny ból:...„mein Kaiser, mein Kaiser gefangen".

I teraz trzeba sobie powiedzieć, że taka nierozumna miłość, takie ślepe, bezgraniczne oddanie, cechujące heinowskiego grenadiera, jest — poza innymi elementami wybitnie złożonego zjawiska — upokarzające, śmieszne i, mimo fałszywych pozorów, niemęskie. Męski stosunek do życia jest krytyczny, analizujący, poparty wiedzą i doświadczeniem, co w sumie stanowi kulturę, jaką dysponuje człowiek. Kultura męska zaś nie znosi egzaltacji, panuje nad porywami, tłumi chaotyczną odruchowość instynktów i stara się zawiłemu procesowi podświadomości nadać spokojny, racjonalny bieg. Kultura męska usuwa mroki naszego istnienia, penetruje

konstelacje rzeczywistości i organizuje życie. Kultura męska — świadoma ludzkiej niedoskonałości — unika napastliwej roli władania, wyrzeka się arbitralnej wszechwiedzy, waży ostrożnie myśli, szuka sprawiedliwości i nie znosi autorytetu ani karnego milczenia. Kultura męska wreszcie odmawia jednemu człowiekowi prawa do „robienia historii”, skupione bowiem w ręku jednego człowieka zawsze było ono, jest i będzie źródłem każdego tyraństwa, oddaje natomiast to prawo gromadzie, która po myśli nieskrępowanej woli większości, kierować ma biegiem ludzkich dziejów. A to zawsze było, jest i będzie demokracją.

Bezkrytyczna wiara i ślepe oddanie są niewątpliwie wynikiem umysłowego ograniczenia, intelektualnej bierności i braku wyobraźni, co często idzie w parze z krewkim temperamentem i hazardowym gatunkiem porywów. Toteż takie jest najpopularniejsze oblicze duchowe wszystkich zwolenników totalnej dyscypliny i dyktatury. Ale przypominamy sobie, że Stendhal, wielki Stendhal, urzekający autor „Pustelni parmeńskiej”, który przyjęty został przez Napoleona w Moskwie na posłuchaniu, w charakterze pułkownika-kwatermistrza, tak potem zupełnie poważnie opowiadał: „Rozmowa była krótka. Cesarz nie miał ani czasu ani zwyczaju rozmawiać z takimi durniami jak ja”.

Wchodzą tu zatem w grę inne jeszcze elementy, głęboko ukryte pod zewnętrznymi pokładami duszy ludzkiej.

Dominujące prawdopodobnie znaczenie ma tu potrzeba mitu, ta sama która ożywiała niegdyś wojny religijne, a która urojony wizerunek boga czy proroka zastępuje z kolei obrazem wodza. Żywe są jeszcze w człowieku nawarstwienia zapomnianych tysiącleci, których szczytową formacją ducha było wojowanie, uświetnione blaskiem wielkich, doskonałych i krwi łaknących bogów. I ta kondycja psychiczna pociąga za sobą bardzo pierwotne pragnienie zależności. Człowiek nieświadomie przerzuca swoje ciężary duchowe na barki gloryfikowanej figury i z wdzięczności za uzyskaną wolność wewnętrzną służy i uwielbia.

Nadto spaczone formy życia, warunków społecznych, nie wyzyskują leżących odłogiem przeogromnych bogactw ludzkiego serca. Ciężka, źle płatna i obca najczęściej praca zarobkowa, to maszyna, pod ciśnieniem której cofają się prężne siły entuzjazmów. Eksplodują one w okresach historycznych przełomów i uwolnione garną się wokół najtrywialniejszych uciech oraz śmiesznych kłamliwych wieszczeń. Tak powstają wykoślawienia, gdy rozmodlone usta bełkocą litanię ogłupiających sloganów.

Nie na ostatnim miejscu jest to tragiczne rozdarcie, ciemna niezgoda świata płci. Paradoksem czasów wyzwolenia kobiety i zupełnej swobody seksualnej, jest zimny mur niechęci, dzielący mężczyzn od kobiet. Konsekwentny rezultat pomieszania pojęć, zadań — zduszonej psychologii nowoczesnego człowieka. Przyrodzoną nam potrzebę ciepła, wspólnoty, zastąpił zwulgaryzowany akt seksualny, pojęty jako konieczność fizjologiczna, sport lub jako źrodło dochodów wreszcie. Zdawało się, że ten najstarszy i najbrzydszy sposób zarobkowania zniknie z nastaniem obyczajowej wolności, tymczasem nigdy chyba nie był on popularniejszy niż po rewolucji francuskiej i nigdy bardziej towarzysko przyjęty niż dziś. Ale tendencyjnie obniżony poziom życia, który wyrugował ze świata płciowego sferę uczucia, nie potrafił zniszczyć w człowieku organicznej funkcji serca — miłości. Dlatego tyle w ludziach niewyżycia, tyle histerii, tyle bestii.

U podstaw zatem t.zw. czasów nowożytnych leży potrzeba mitu, nieskanalizowana potencja mas i głód erotyczny, od których rośnie wielkość i sława wszystkich Napoleonów oraz nowy splendor sztuki wojowania.

W tych pobieżnie nakreślonych ramach jest bodajże miejsce na grenadierów Heinego, Schumana i na smutnego autora książki „O miłości”.

Gdy idzie jednak o nasz smak, o sentymentalny stosunek do obu żołnierzy armii napoleońskiej, sympatyczniejszy nam jest ów tęskniący za

domem i rodziną dlatego, że gatunek naszych pragnień ma dzisiaj, w dobie olbrzymich przeobrażeń, charakter raczej „kameralny". I dlatego również, że czasy krwawych batalij, kłamliwych haseł i zamętu, tak podobne do naszej rzeczywistości, nie wykrzywiły jego uczuć ludzkich. Wyszedł on z masowej infekcji moralnej niestępiony, wrażliwy, ze śladami własnej inteligencji.

Ten człowiek ma dobrze w głowie, ten żołnierz ma serce; co nie przeszkadza wcale, że gdy tak wypadło, bił się pewnie niegorzej od zapamiętałych rębajłów. A że bił się o sprawę nieswoją — nie jego wina; że służył fałszywym ambicjom, próżności oraz oszołomionej powodzeniem megalomanii parweniusza — to tragedia wszystkich ludzi. Fatalna organizacja naszego życia wydaje nas w ręce groźnym awanturnikom, którzy w jednej osobie potrafią być wszystkim: Bogiem i ojczyzną... Ideał demokracji polega na tym, by nas ochronić przed nahalną „miłością" geniuszów, mężów opatrznościowych, legendarnych wizjonerów i heroldów wojen, cierpiących za miliony. Ale ideał rzadko sięga bruku.

Swoją „Historię ludzkosci" pisał van Loon na dobrych parę lat przed obecną wojną, co tłumaczy bardzo wiele. Dla nas wielkość Napoleona nie jest tajemnicą; znamy wszystkie sposoby i drogi prowadzące do Rzymu lub do Berlina. Czytając piękny wiersz Heinego myślimy o tym wielkim grenadierze, który pobity w Rosji wrócił przed 130 laty i o tym drugim, *który właśnie wraca.* I troska nasza i uwaga koncentrują się wokół jednego zagadnienia: jakby się w przyszłości przed takimi „grenadierami" skutecznie obronić.

Słowa van Loona nie odnoszą się do nas.

Pokolenie, które ma za sobą szereg rewolucyj i wojen i znajduje się obecnie w 5-tym roku wojny totalnej, nie jest łatwe. Prawda wymaga abyśmy się przyznali do pewnych cech, które niedobrze o nas świadczą. Jesteśmy cyniczni, pyskaci i podejrzliwi. Mordercza praktyka naszego życia uczyła nas widzieć we wszystkim grandę, podstęp, fałsz i dlatego tak trudno nas zaagitować i dlatego tak łatwo nas poróżnić. Nie tęskno nam do świata heroicznych czynów i znaczenia; dosyć „historii" było w naszym życiu. Od niej pochodzi właśnie, płynąca w naszych słowach czarna, niedobra krew.

Toteż trudno nami rządzić i trudno dla nas pisać wiersze.

FLORIAN SOKOŁÓW

OBITER DICTA

IX.

Ne pouvant fortifier la justice
On justifie la force.

Pascal. Pensées.

Od kilku miesięcy obserwujemy charakterystyczne zjawisko. Im bliżej końca wojny, tym gęstsza mgła opada na drogi, którymi maszerują sprzymierzeni. Zwycięstwo ich wyraźnie się już zarysowało, natomiast jeszcze nie widać, co się za nim kryje. Na próżno szukalibyśmy jakiejś analogii z końcowymi etapami wojny poprzedniej. Wówczas drogowskazy i cele były jasne. Ludzie szczerze wierzyli we wzniosłe ideały i piękne hasła, wypisane na sztandarach wielkiej koalicji Zachodu, wierzyli, że biją się o lepszy świat, o ostateczny triumf demokracji, o wolność narodów i prawa człowieka, które były stokroć mniej zagrożone, niż dzisiaj. Nie przeżyli jeszcze wstrząsów powojennych, nie poznali goryczy rozczarowań, nie

wiedzieli, co to jest totalizm i nie uprzytamniali sobie potęgi zła, tkwiącej w sfanatyzowanych, sterroryzowanych, ogłupionych sloganami trzodach pod wodzą gangsterów hitleryzmu, czy faszyzmu. Wprawdzie tamta „wiosna narodów" była krótką i burzliwą, złudzenia szybko prysły i wiele niespełnionych nadziei pochowano na pobojowiskach razem z milionami nieznanych żołnierzy, ale zdawałoby się, że w porównaniu z ówczesnymi zmaganiami światowymi, kiedy główny wróg, Niemcy, był brutalnym agresorem, lecz nie dojrzał jeszcze do tej potwornej szatańskiej mocy, do tych okropności jakimi obdarzył świat Hitler — sytuacja dzisiejsza winna być jeszcze jaśniejsza. Tymczasem dzieje się inaczej, jakkolwiek każdy trzeźwo myślący człowiek rozumie, że cel wojny jest kategoryczny i najlżejszych nie nasuwa wątpliwości, że nie może być mowy o przystąpieniu do budowy jakiegoś nowego, sprawiedliwego ładu, dopóki zło niemieckie nie będzie doszczętnie zdruzgotane i wytępione.

Na drogach aliantów coraz to nowe piętrzą się trudności, tak poważne, tak dezorientujące, że istnieje obawa, byśmy, mimo dwudziestopięcioletnich doświadczeń, znowu nie wpadli kulawą nogą w zły pokój. Nic dziwnego, że Niemcy widzą dla siebie w mgle tej błogosławioną dymną zasłonę. Rozpływają się w niej bowiem wspólne cele aliantów — po osiągniętym zwycięstwie — a krzepną stare dobrze znane upiory; ambicje mocarstwowe, antagonizmy narodowe, interesy kapitalistyczne, nieufność wzajemna i inne plagi t.zw. cywilizowanej ludzkości. Kalkulacja Niemiec jest bardzo prosta. Wiedzą oni dobrze, że wygrać wojny nie mogą, ale nie stracili nadziei, że mogą się długo bronić, że mogą uczynić inwazję sprzymierzonych bardzo krwawą i kosztowną i że w międzyczasie spadek entuzjazmu wśród aliantów, zmęczenie psychiczne, brak wielkiej jednoczącej idei, zanik wiary w to, co przyświecało im na początku wojny, konflikty wewnętrzne w poszczególnych mocarstwach zwycięskiej koalicji, tarcia międzysojusznicze, liczne czynniki, działające odśrodkowo—całe te olbrzymie pole pozafrontowe, usiane innymi, niż na frontach minami i bombami ze spóźnionym działaniem, których sprzymierzeni nie uprzątnęli między sobą, pozwoli im, Niemcom, osiągnąć taki, czy inny negocjowany pokój na Wschodzie lub Zachodzie, po zlikwidowaniu w odpowiedniej chwili samego Hitlera i wiernej mu bandy oprawców. Ale Niemcy nigdy nie byli dobrymi psychologami. Ich rachuby są oczywiście fałszywe. Ich sprawa jest przegrana. Niemniej jest rzeczą zrozumiałą, że w rozmyślaniach o tym wszystkim trudno oprzeć się uczuciu rozczarowania. Uczucie to występuje coraz wyraźniej w głosach opinii publicznej walczących demokracyj. Trochę zdrowego rozsądku wystarcza, by zrozumieć, że sama wojna nic nie rozwiązuje, lecz stwarza nowe bardzo trudne problemy. Ale wojna daje stronie zwycięskiej szanse rozwiązań, które mogą być dobrze lub źle wyzyskane. Po tamtej wojnie szansę te zostały zmarnowane. Chodzi więc o to, by nie powtórzyć starych błędów i nie popełnić nowych. I tu właśnie powstają największe niepokoje.

* * *

Od czasu, kiedy pisałem moje ostatnie „Obiter Dicta" w marcu b.r., sytuacja na frontach wojennych zmieniła się jeszcze gruntowniej na korzyść sprzymierzonych. Nie było to niespodzianką. Rozwój wypadków idzie z nieubłaganą konsekwencją po linii, wytkniętej przez aliantów, którzy mają inicjatywę i dostateczną siłę, by realizować swe plany strategiczne. Niespodzianką może być wolniejsze lub szybsze tempo ich ofenzywy, zależne od warunków, które często nie dają się przewidzieć. Niemcy nie są już zdolne do ofenzywy na większą skalę. W powietrzu i na morzu zostali pobici. Posiadają jeszcze wielką armię lądową, ale ich forteca kurczy się i oblężeni są obecnie z wszystkich niemal stron. Nie jest przesadą twierdzenie że wkroczyliśmy w fazę wojny, jeśli chodzi o Europę, którą można śmiało nazwać *początkiem końca*. Obecne położenie Niemiec

wydaje się jeszcze gorsze, niż w roku 1918. Wtedy musieli walczyć tylko na dwóch frontach: zachodnim i południowym. Mieli potężną flotę, tysiące samolotów nie bombardowało ich machiny wojennej, ich miasta nie leżały w gruzach i nie istniały fronty podziemne. Dzisiaj muszą bronić się jednocześnie na wschodzie, południu i zachodzie. Drugi wielki front we Francji, z którego jeszcze przed kilku miesiącami drwili Niemcy, jest faktem dokonanym. Operacje rozwijają się pomyślnie. Pamiętne są butne przechwałki Hitlera przed dwoma laty, po raidzie na Dieppe, że sprzymierzeni będą mieli wielkie szczęście, jeśli potrafią utrzymać się przez dziewięć godzin na lądzie Europy. Są oni tam już znacznie dłużej, wypierając nieprzyjaciela, z Francji, tak samo jak z Włoch, gdzie tak pięknie odznaczyły się wojska polskie. Armie sowieckie dawno już wypędziły hordy hitlerowskie z całego niemal terytorium Rosji i walczą obecnie w Rumunii, Polsce, krajach bałtyckich i Finlandii. Zanim słowa te ukażą się w druku mogą powstać nowe fronty na północy lub gdzie indziej, wzdłuż wału t.zw. Atlantyckiego Hitlera, w którym niejeden już uczyniony został wyłom. Pierścień dokoła Niemiec zamyka się coraz szczelniej i żaden cud już ich nie uratuje. Stało się właśnie to, co zawsze było zmorą Niemiec od narodzin militaryzmu pruskiego. Einkreisung! Od czasów Fryderyka Wielkiego podstawową zasadą, aksjomatem ich strategii było niedopuszczenie do jednoczesnej wojny na kilku frontach. Stąd narzucał się kategoryczny imperatyw błyskawicznych ataków celem pokonania każdego przeciwnika oddzielnie. Poczynając od napadu na Polskę, zasada ta stosowana była w całej rozciągłości przez Niemcy podczas obecnej wojny. Niewiele brakowało, by osiągnęli swój cel. Przez pierwsze dwa lata wszystko szło im, tak, jak z płatka. Każdy akt agresji na kontynencie europejskim przeprowadzany był z niezwykłą precyzją przy maksymalnym efekcie i minimalnych stratach. Ich główny błąd polega na tym, że za wcześnie doszli do przekonania, że wojnę wygrali i za późno zrozumieją, że ją przegrali. Ta pewność wygranej pchnęła ich do ataku na Rosję w złudnej nadziei, że uda im się ją rozgromić, zanim Ameryka i całe imperium brytyjskie potrafią wydobyć z siebie olbrzymi wysiłek wojenny. Było to początkiem procesu staczania się ich po pochyłej równi.

* * *

Patrząc wstecz na niespełna pięć lat wojny, wydaje się, że cztery czynniki, bądź zależne, bądź niezależne od woli ludzkiej, działały bezapelacyjnie na rzecz sprzymierzonych. Pomijam tu walory moralne, w imię których podjęli walkę, niezłomny upór ludzi, rządzących Anglią w najcięższych chwilach, a w pierwszym rzędzie samego Churchilla, tężyznę całego narodu angielskiego, która pozwoliła mu przetrwać z podziwu godnym stoicyzmem okres Blitzu. Pierwszym z tych czynników jest fakt geograficzny. Kanał La Manche uratował Anglię, a może i cały świat, jeśli nie od tysiącletniego, to od bardzo długiego panowania Niemiec. Niewiele pomógłby najwspanialszy duch mieszkańców tej wyspy, gdyby nie była ona wyspą i gdyby niemieckie dywizje pancerne znalazły się na jej brzegach. Drugi czynnik to Rosja, jako „shock-absorber" i „killing machine". Fenomenalna zdolność Rosji do wytrzymywania najpotężniejszych ciosów bez załamania się, olbrzymi upust krwi niemieckiej na froncie wschodnim, gdzie zginęły miliony najlepszych żołnierzy Reichu, zdecydowały w dużej mierze o ostatecznej klęsce Niemiec. Trzecim czynnikiem jest Ameryka. Jej fantastyczny potencjał gospodarczy, jej maszyny i rezerwuar ludzki, jej produkcja setek tysięcy samolotów i czołgów oraz dziesiątki milionów ton żeglugi handlowej i marynarki wojennej (od grudnia r. 1941) dały w sumie z potencjałem wojennym imperium brytyjskiego i Rosji tak przygniatającą przewagę orężną i ludzką aliantów, że już od chwili przystąpienia St. Zjednoczonych do wojny można było uważać wynik jej za

teoretycznie przesądzony. Aby jednak nie pozostało to tylko w teorii i by wojna nie przeciągnęła się na dziesięciolecia, potrzebny był czwarty czynnik. Są nim sami Niemcy, ich mentalność i charakter, które pod rządami Hitlera ukazały się światu w całej swej przerażającej zgrozie. Gdyby Niemcy w czasie tej wojny zachowywali się w podbitych krajach choćby tak, jak podczas ostatniej wojny, gdyby przy właściwej sobie bezwzględności nie posuwali się do niesłychanych zbrodni, do masakry milionów, kto wie, czy nie znaleźliby istotnego poparcia ze strony znacznej części ludności okupowanych krajów, rozczarowanej własnymi rządami i spragnionej przede wszystkim pokoju. Kto wie, czy narody europejskie nie pogodziłyby się z hegemonią zwycięskich Niemiec, respektujących ich ograniczone choćby prawa do samodzielnego bytu. Ale upojeni pierwszymi sukcesami stracili hitlerowcy resztki uczuć ludzkich i wpadli w istny obłęd przy stosowaniu krwawego terroru, który mógł pozyskać dla nich jedynie najtchórzliwsze i najnikczemniejsze elementy kolaboracjonistów. Wspomniane wyżej cztery czynniki działają w dalszym ciągu. Pierwszy w odwrotnym sensie. Kanał La Manche uratował Anglię, ale, jak widzimy już z początkowego etapu inwazji, nie dopomógł Niemcom. Potencjał wojenny Ameryki rośnie w przyśpieszonym tempie, a w miarę zbliżania się katastrofy na pewno nie osłabnie terror gangsterów niemieckich, którzy nie mają nic do stracenia. W tym stanie rzeczy jasne jest, że nie pozyskają już oni nowych quislingów.

Przesadą byłoby przypuszczenie, że wszyscy Niemcy dostali obłędu i nie zdają sobie sprawy z beznadziejności dalszego prowadzenia wojny. Powstaje więc pytanie, dlaczego na przykład generałowie, dowódcy Reichswehry, którym nie można odmówić, iż są dobrymi rachmistrzami sił materialnych i którzy napewno mieliby po swej stronie większość armii, nie likwidują Hitlera i jego regime'u, tak jak uczyniono we Włoszech z Mussolinim. Wśród tych generałów znalazłby się niejeden Badoglio. *Ale łatwiej jest wsiąść na tygrysa, niż zejść z niego.* Być może, że jeszcze przed końcem wojny żywioły niehitlerowskie w Niemczech zaryzykują ten eksperyment, chociaż wydaje się to wątpliwe. Sytuacja tam jest zupełnie inna, niż we Włoszech przed upadkiem Mussoliniego, zresztą wariant włoski jest mało dla Niemiec zachęcający. Partia hitlerowska ma nie tylko Gestapo i S.S., ale swoje regularne wojska. O przewrocie na frontach nie może być mowy, a wszelka próba obalenia regime'u w kraju, wywołałaby wojnę domową i chaos. Ważąc się na rozprawę z Hitlerem, jego ewentualni przeciwnicy, ci „lepsi Niemcy" musieliby liczyć się ze stratą największego atutu, jaki posiadaliby — w swoim mniemaniu — pod koniec przegranej wojny, a mianowicie, zorganizowanej siły zbrojnej. Dlatego też sądzić wypada, że tylko wielka klęska może doprowadzić regime nazistowski do upadku. Wszystko przemawia za tym, że nie załamie się on wcześniej od wewnątrz. Taka jest na ogół opinia angielskich i amerykańskich obserwatorów, dobrze znających stosunki niemieckie.

* * *

Mgła, o której mówiłem na wstępie, z różnych płynie źródeł. Jednym z nich jest zamęt pojęć, pomieszanie bezpośredniego celu wojny z dalszymi celami pokoju. Jakkolwiek rzeczy te są ściśle z sobą związane, upraszczającym błędem jest ich identyfikacja. Wojna jest próbą sił fizycznych i ma tylko jeden cel — pokonanie nieprzyjaciela wszystkimi rozporządzalnymi środkami. W akcji tej sprzymierzeńcem jest każdy, kto walczy przeciw wspólnemu wrogowi, niezależnie od tego, jak zapatruje się na przyszłe losy świata i jak rządzi u siebie w domu. Taka jest brutalna logika wojny. Najfatalniejszym błędem demokracyj było to, że tę samą brutalną logikę usiłowały stosować w czasie pokoju, wierząc w zgodne współżycie państw o diametralnie przeciwstawnych systemach i hołdując bzdurnej doktrynie

niemieszania się do spraw wewnętrznych notorycznych agresorów. Twierdzono przed tą wojną, że podważenie tej doktryny pociągnie za sobą powszechny kataklizm — *bellum omnium contra omnium*. Doświadczyliśmy tego już dwa razy właśnie wskutek niedostatecznego uświadomienia sobie, że nie może być dla nas obojętne to, co się dzieje w domu naszego sąsiada, że jeśli on nie chce czy nie może tłumić w zarodku zła, które się u niego lęgnie, trzeba mu w tym dopomóc nie tylko dla jego, lecz i dla własnego dobra i bezpieczeństwa. Dziś chyba już każdy rozumie, że pokój jest niepodzielny, że nie można go rozparcelować, tak samo jak wojny wielkich mocarstw nie dają się zlokalizować. Wszystko to jednak nie dotyczy samego procesu wojny, w której selekcja walczących przeciw sobie stron, jak to ma miejsce obecnie, nie odbywa się na podstawie zbieżności celów, czy też ustrojów wewnętrznych, lecz innych, w pewnym stopniu przypadkowych, czynników sytuacyjnych. Wynika stąd nieodparcie, że podczas wojny, prowadzonej przez koalicję różnorodnych państw, względy ideologiczne muszą ustępować na dalszy plan przed względami strategicznymi. Jasno to podkreślił Churchill w jednym ze swych ostatnich przemówień. Dopóki trwają walki sytuacja jest wciąż płynna i zmienia się stosunek sił nie tylko między wojującymi stronami, lecz między sojusznikami. Wobec tego, że jedynie na podstawie układu sił zapadną ostateczne rozstrzygnięcia, nie należy przypisywać przesadnej wagi poszczególnym konferencjom i oświadczeniom, które z natury rzeczy muszą podporządkowywać politykę wojenną strategii. Inny był stosunek sił sprzymierzonych, będących w akcji, podczas konferencji w Teheranie, inny jest obecnie po zwycięstwach we Włoszech i otwarciu drugiego frontu we Francji, inny jeszcze będzie, gdy setki dywizyj nglo-amerykańskich staną na kontynencie europejskim. Jasne jest, że wówczas różne koniunkturalne rozbieżności, które były wywołane dysproporcją sił i frontów między aliantami, zwłaszcza w stosunku do mniejszych narodów, staną się mniej ostre i głos walczących demokracyj będzie miał należny im wpływ na kształtowanie przyszłości Europy. Sowiety od dwóch lat domagały się drugiego frontu na zachodzie. Polityka ich jest aż nadto realistyczna, by zdawać sobie sprawę z jego nie tylko strategicznego efektu i szukać trwałego porozumienia na szerszej i pewniejszej podstawie, niż chwiejne kombinacje sił wielkomocarstwowych. Taką podstawą mogą być jedynie zasady, proklamowane w Karcie Atlantyckiej. Chwilowy jej zmierzch bynajmniej nie oznacza, iż pogrążyła się bezpowrotnie w odmętach tej wojny, która stałaby się tylko odskocznią do następnej, gdyby zamiast wzmocnienia sprawiedliwości, usprawiedliwiła przemoc.

Niewiele mądrych nauk przekazała nam historia. Zresztą te najmądrzejsze są przeważnie lekceważone. Ale jedna z jej prawd potwierdziła się w całej pełni. Pakty silnych kosztem słabych zawsze doprowadzają do nowych konfliktów. Demokracja ma swoje wady. Jest konwencjonalna, kapryśna, często nieobliczalna, ale absolutyzm czy nowożytny totalizm w każdej formie okazują się w końcu doktrynami zawodnymi i głupimi na dłuższą metę, bo tylko głupota stara się osiągnąć swe cele siłą. Przymus może czasami zapobiec złu, ale nie może wyczarować dobra, które rodzi się nie z tresury, lecz z entuzjazmu wolnych ludzi.

3/- Published by „Nowa Polska" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by John Bale & Staples Limited (A Staples Press Company) 83-91 Great Titchfield Street London W 1 3/-

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

SPIS RZECZY

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 8

W CHWILI ROZSTRZYGNIĘĆ

WARSZAWA

NIE ZNA HISTORIA ŚWIATA CIERPIEŃ RÓWNYCH TYM, KTÓRE SPADŁY NA STOLICĘ NASZĄ TRZYKROTNIE W TEJ WOJNIE SAMOTNIE WALCZĄCĄ. CIERPIAŁO TO MIASTO W BOHATERSKIEJ OBRONIE WRZEŚNIOWEJ, W JEGO TO MURACH ROZEGRAŁ SIĘ POTWORNY DRAMAT GHETTA, A TERAZ OTO WALCZĄC PO RAZ TRZECI SIĘGŁO KRESU SWEJ TRAGEDII.

Z BÓLEM I ROZPACZĄ BEZRADNĄ BIEGNIEMY MYŚLĄ DO CIEBIE MIASTO NIEZNANE. CÓŻ BOWIEM MY, KTÓRZY ZNAMY TYLKO UROK I CZAR TWOICH DWUDZIESTU LAT MŁODYCH WIEDZIEĆ MOŻEMY O PRAWDZIWYM TWOIM NOWYM MĘCZEŃSKIM OBLICZU. JEDNO WIEMY, ŻE CHOĆBY CIĘ SPALIŁY DO SZCZĘTU OGNIE POCISKÓW, CHOĆBY CIĘ STARTO I ZRÓWNANO Z ZIEMIĄ — NIE ZGINIESZ. PRZENIOSĄ TWÓJ OBRAZ, CIERPIENIA TWOJE I BOHATERSTWO POKOLENIA PRZYSZŁE W SERCACH CI WIERNYCH. TRWAĆ BĘDZIESZ PÓKI ISTNIEĆ BĘDZIE MOWA POLSKA I PÓKI ŻYĆ BĘDĄ POLACY.

TRWAĆ BĘDZIESZ STOLICO MĘKI LUDZKIEJ AŻ ZE ZGLISZCZ TWOICH BUCHNIE OCZYSZCZAJĄCY PŁOMIEŃ WIELKIEJ PRZEMIANY, WOLNOŚĆ I WYZWOLENIE NIOSĄCY WSZYSTKIM LUDZIOM TEJ ZIEMI.

LONDYN

SIERPIEŃ

1944

NOWA POLSKA jest największym i najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

NOWA POLSKA służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

NOWA POLSKA pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów emigracji. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bloch, Bramson, Broniewski, Cękalski, Ciołkosz, Czuchnowski, Danilewiczowa, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Gross, Grosfeld, Grubiński, Haupt, Hemar, por. Herbert, Hertz, Hładki, Horzelski, Janta, Karpiński, Konarska Kossowski, Kot St., Kriedel, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Łagniewski, Łęczyc, Łobodowski, Malczewski, Malessa, Malinowski, Markowski, Mrozowicki, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Ordęga, Pawlikowska, Parnicki, Piotrowski M., Potworowski, Pragier, Ksaw. Pruszyński, M. Pruszyński, Słonimski, Sokołów, Stańczyk, Stawiński Stempowski, Strasburger, Szerer, Szczepański, Szczerbic, Szczytt-Lednicka, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Waligórski, Wieniewski, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Żuławski. Żyw.

Nowej Polski zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, a są jednak w przystępnej cenie s. 3/-. Abonament roczny z przesyłką:

w W. Brytanii i Dominiach	£1 16 0
w Ameryce Płn. i Płd.	$7.50
Roczniki Oprawne za 1942	£1 6 0
„ „ „ 1943	£1 15 0

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1.
TEL. MUS. 1409.

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub czeków